

Jacek Jadacki

# **MELGIEW**

## **podczas II Wojny Światowej**

we wspomnieniach

Joanny Rulikowskiej-Ollier, Celiny i Mieczysława Fijałkowskich,  
Krystyny Modrzewskiej, Anny i Antoniego Jadackich,  
Bożeny Jadackiej-Józków, Haliny Pietrzyk,  
Ireny i Mieczysława Wiśniewskich oraz Anny Pisarskiej

Wspomnienia, by się zupełnie nie zatarły,  
przedstawić należy i ku pamięci utrwalić.

Antoni Urbański,  
*Z czarnego szlaku i tamtych rubieży* (1929)

Warstwa inteligencji krajowej  
znajduje się w pełni gubienia narodowej treści.

Andrzej Jałowiecki,  
„Mit narodowy” (1939)

Kam'yanets-Podilskyi 2020

**WIEK XX OCZYMA JADACKICH**  
**TOM I**

*Pamięci Melgiewian,  
którzy zginęli  
podczas II Wojny Światowej  
z rąk okupantów niemieckich i rosyjskich  
oraz miejscowych szumowin,  
których okupacja pozbawiła wszelkich hamulców moralnych*

**Jacek Jadacki**

MELGIEW podczas II Wojny Światowej we wspomnieniach Joanny Rulikowskiej-Ollier, Celiny i Mieczysława Fijałkowskich, Krystyny Modrzewskiej, Anny i Antoniego Jadackich, Bożeny Jadackiej-Józków, Haliny Pietrzyk, Ireny i Mieczysława Wiśniewskich oraz Anny Pisarskiej. – Kam’yanets-Podilskyi: TOV „Drukarnya Ruta”, 2020. – 360 s.

ISBN

Printed in Ukraine



## SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE .....	6
ŹRÓDŁA .....	22
CZEŚĆ I. WSPOMNIENIA .....	25
1. Antoni Jadacki (senior): Pamięci żony i córki .....	26
2. Mieczysław Fijałkowski: 1. Dymy nad Mełgwią. 2. Złe wspomnienie. 3. Doktor Liski .....	33
3. Celina z d. Dangel Fijałkowska: Utracony świat .....	84
4. Anna z d. Modzelewska i Antoni (jr) Jadaccy: Nasza Mełgiew .....	92
5. Krystyna Modrzewska: Zapamiętane obrazy .....	100
6. Joanna Rulikowska-Ollier: Szczęśliwe lata w Mełgwi .....	124
7. Bożena Jadacka-Józków: Moje wojenne dzieciństwo .....	143
CZEŚĆ II. ŚWIADECTWA .....	169
8. Antoni Jadacki (jr): Pierwsze wrażenia z Mełgwi (1938) .....	170
9. Antoni Jadacki (jr): Wielkanoc 1944 w Mełgwi .....	171
10. Halina Pietrzyk oraz Irena i Mieczysław Wiśniewscy. Czarna Wielkanoc .....	179
11. Anna Pisarska: Łapanka .....	181
12. Mieczysław Jadacki: Kartka z więzienia do Anny Jadackiej (1944) .....	183
13. Piotr Kosmala: Oświadczenie .....	185
CZEŚĆ III. ZDJĘCIA .....	187
A. Mełgiew i Janowice. B. Pałac i park na Podzamczu. C. Jadaccy. D. Krewni Jadackich. E. Uczniowie Antoniego Jadackiego (jra). F. Rulikowscy. G. Otoczenie Rulikowskich. H. Lisowscy. I. Mełgiewianie. J. Księża i organiści. K. Władze i	

związki. L. Ochronka i szkoła. Ł. Zespół. M. Wojna. N. Pamiątki. O. Dokumenty i kartki pocztowe. P. Książki i partytury. Q. Literatura dziecięca. R. Obrazy. S. Mełgiew wczorajsza (1992). T. Mełgiew dzisiejsza (2018-2019). U. Pamięć (2019)

SŁOWO KOŃCOWE .....	320
SPIS MIEJSCOWOŚCI .....	322
SPIS OSÓB .....	328

## SŁOWO WSTĘPNE

1. Siostra moja, Bożena Jadacka-Józków, odwiedziła na swoje osiemdziesięciolecie Mełgiew; urodziła się co prawda w szpitalu lubelskim, ale *de facto* jest Mełgiewianką, gdyż zaraz po przyjściu na świat wróciła z Mamą do Mełgwi, gdzie Rodzice przebywali w latach 1937-1945. Muzeum Mełgiewskie, które wtedy obejrzała, zrobiło na Niej tak wielkie wrażenie, że – po naradzie – postanowiliśmy przygotować swego rodzaju podarek dla Mełgwi: właśnie *Mełgiew podczas II Wojny Światowej*. Nad tytułem tej książeczki figuruje moje imię i nazwisko, bowiem ustaliliśmy z Siostrą, że to JA zajmę się zebraniem i opracowaniem tego wszystkiego, co się w książce znajduje.

Ja zaś NAPRAWDĘ urodziłem się nie w Mełgwi, lecz w Puchaczowie, a więc w odległości 20 km od Mełgwi; i urodziłem się dopiero w rok po czasach, o których mowa w tej książeczce. Ma to swoje oczywiste minusy, ale ma też i plusy: daje poczucie pewnego dystansu wobec rzeczy, które się tam wtedy rozgrywały. Chciałbym skorzystać z przywileju, który to poczucie dystansu mi daje – i powiedzieć parę słów o zawartości książeczki z perspektywy chłodniejszej, niż gdybym to i ja uczestniczył w opisanych w niej zdarzeniach. Nie będę ukrywał, że nie będzie to perspektywa zupełnie chłodna: chodzi bądź co bądź m.in. o wspomnienia moich BLISKICH: Rodziców i Siostry, a także Osoby, która stała mi się bliska już w trakcie redagowania tej książeczki, tj. Joanny Rulikowskiej-Ollier.

2. Pierwszą część książeczki nazwałem „Wspomnieniami”.

Nie pasuje ta nazwa do pierwszego paragrafu tej części. Antoni Jadacki (senior), mój Dziadek, napisał co prawda *Pamiętnik* – „z całego mego życia”, jak podkreślał; niestety ta część, która obejmowała wspomnienia z Mełgwi (i nie tylko te wspomnienia), uległa z niewiadomych powodów zniszczeniu: kiedy rękopis *Pamiętnika* do mnie trafił po śmierci Dziadka – odpowiednich stron już nie było.

Wydawało mi się jednak, że nieobecność Dziadka w tej książeczce będzie jej ogromną wadą. Dziadek w rozmowach ze mną często mówił o mełgiewskim okresie swego życia – i zawsze ze wzruszeniem. Lata tam spędzone – u swego syna, a mego Ojca, Antoniego (jra) – przebiegły dla niego pod znakiem niedawnej śmierci ukochanej żony, Walerii, i świeżej śmierci jeszcze bardziej ukochanej córki, Eugenii. Jak ważne były te dwie kobiety w życiu Dziadka – i jak boleśnie odczuł to, że je (właściwie obie przedwcześnie) stracił, świadczą cztery poświęcone im wiersze, które ułożył w Mełgwi, a które zdecydowałem się tu zamieścić. Nazwałem je nie bez powodu „Lamentacjami mełgiewskimi”: „mełgiewskimi” – bo powstały w Mełgwi (jest zresztą aluzja do miejsca powstania „Mojej pieśni”: Dziadek wspomina o swojej pasji życiowej – wędkarstwie, które w tym wypadku zaspokajały stawy mełgiewskie); „lamentacjami” – bo ich forma i treść nawiązuje do obu sensów tego słowa: do żałobnych śpiewów pogrzebowych i do utworów wykonywanych podczas wielkopiątkowej jutrzni (Dziadek – podobnie jak Tata i Stryj Zygmunt – był organistą).

3. Oto, co mnie uderza w tych *Lamentacjach*.

Wiersze poświęcone żonie – napisane są w odstępnie trzyletnim. W pierwszym przeważa żal po stracie; drugiemu ton nadaje uczucie pogodzenia się z losem i poszukiwanie samo-pocieszenia.

Wiersze poświęcone córce – napisane są jeden po drugim. W pierwszym na czoło wysuwa się uczucie zawodu, że modlitwy błagalne na nic się zdały: że córkę zabito, mimo że prosił Ją, Matkę Najświętszą, o opiekę nad nią – i uczucie odrazy wobec morderców. Drugi przeniknięty jest niemożnością uwolnienia się od natręctwa ciągle powracającego obrazu śmierci córki – i cierpką pokorą wobec Boga, że nawet On, Wszechwiedzący, zdaje się nie wiedzieć, gdzie szukać jej prochów.

4. Tytuł „Wspomnienia” nieco bardziej pasuje do zamieszczonych w paragrafie trzecim wierszy Celiny Fijałkowskiej, napisanych w czasie jej pobytu w Mełgwi.

Z jednej strony dlatego, że, jak w wierszu „Dzieciństwo”, Fijałkowska wspomina czasy „wyczarowane z przeszłości dalekiej”, ale na obrazy tych czasów ze Skółt: „mknących w dal pociągów”, „starego

parku”, „czereśni” – nakładają się podobne widoki, które miała na wygnaniu w Melgwi.

Z drugiej strony dlatego, że w wierszach są czytelne aluzje melgiewskie, jak do Betanii w „Inwokacji” (a więc do melgiewskich sióstr-betanek), i aluzje wojenne, jak wzmianki o „płaczących w głos obozach i więzieniach” w wierszu „Święto Wniebowzięcia”, nawiązującym przecież do faktu, że było to zarazem Święto Wojska Polskiego.

Dominującym nastrojem całej poezji Fijałkowskiej była melancholia – ale w jej wierszach melgiewskich nabiera ona odcienia rezygnacji: świat, „obcy i dziwnie szeroki”, staje się „krajem złud”, „straszliwą nocą ludzkiego losu”, „niemiłosiernym życiem”, w którym „ból wytrzebił wszystko całkowicie”...

5. Stanowiące paragraf drugi trzy teksty Mieczysława Fijałkowskiego, męża Celiny, mają wartość nie tylko historyczną, lecz także literacką i edytorską.

Mają wartość historyczną – gdyż jedynie od Fijałkowskiego możemy się poznać nieobecne w innych relacjach szczegóły przebiegu pacyfikacji Melgwi przez Niemców w Wielką Niedzielę 1944 roku. Dzięki Fijałkowskiemu możemy zrozumieć, z jednej strony, na czym polegała «kolaboracja» ziemian z niemieckimi władzami okupacyjnymi (mianowicie: urządzanie dla nich – na ich żądanie – libacji, polowań itd.), jakie były jej motywy („Co począć?”, postępować jak „szaleniec”?) i jaką rolę odgrywał w niej wzajemny szantaż i „nabijanie Szkopów w butelkę”. Z drugiej strony – można u niego znaleźć celne wizerunki Niemców „dobrych” (por. np. malarz berliński z niezwyklej talizmanem), „złych” (por. np. ranny major SS, w którego „drapieżnym spojrzeniu czaiła się rozpacz” i w którym już nie było „nic z rycerza”) i „przeciętnych” (ogarniętych „zbiorową psychozą” i powtarzających bezmyślnie slogany propagandowe, że np. dzięki V2 „Londyn zostanie zniszczony” doszczętnie).

Teksty Fijałkowskiego mają wartość literacką, gdyż Fijałkowski miał literacko wyrobione pióro, będąc m.in. autorem grywanych swego czasu komedii. Może dlatego dużo miejsca zajmują w tych tekstach żywe dialogi – i dominuje aura komediowa (a raczej: tragicomiczna – por. np. «pasiak» obozowy wyglądający na pięknej Żydówce „jak ostatni krzyk

mody”, opowieść jej dziadka o „cudzie” w berlińskim kościele, toasty „Niech żyje Polska” wznoszone przez „przedstawicieli Herrenvolku”). Fijałkowski był przy tym typem rasowego «szlachciury»: stąd gawędziarski charakter jego wspomnień – nie wolnych od wywołujących uśmiech przechwałek (pisał o swoim „miażdżącym spojrzeniu”, o swojej „wrodzonej muzykalności”, o tym, że „w oparach orgii” z gestapowcami stał „bezsilny, choć nieugięty”, że „miał szczęście, bo był cwany i bezczelny” i że „las ufał mu”) i dosadnych charakterystyk swoich bohaterów (naczelnik Traue miał „ryżą gębę” i „obleśny uśmiech Judasza”) uzupełnionych bystrą analizą psychologiczną ich postępowania (por. np. opis przeżyć podrabina – czyli pomocnika rabina – Salmona i jego wnuczki, albo rosyjskiego porucznika Striagina, jak wielu innych żołnierzy Armii Czerwonej kryjącego swoje prawdziwe przekonania światopoglądowe i polityczne), a także samotnych rozterek w postępowaniu własnym. Taka postawa dawała mu komfort zachowania dystansu wobec „szalejących żywiołów” rozgrywającej się na jego oczach hekatombi („dymy Majdanka”, „strzępy Apokalipsy”).

Dwa z zamieszczonych tu tekstów Fijałkowskiego mają ponadto wartość edytorską, gdyż nigdy dotąd nie zostały opublikowane. Są to fragmenty *Dalszego ciągu wspomnień* i sztuki *Wielka gra*; oba te utwory zasługują na wydanie w całości – jako znakomite świadectwo swojej epoki.

6. Trzeci paragraf „Wspomnień” tworzą fragmenty *Pamiętników* moich Rodziców, spisywanych w Wygodzie k. Łomży w latach 1986-1991 – fragmenty rzecz jasna dotyczące bezpośrednio lub pośrednio Melgwi. *Pamiętniki* mają postać dialogu: przeplatających się wypowiedzi Mamy i Taty; taką też postać zachowałem; ingerencja moja polegała jedynie na dodaniu śródtytułów i na usunięciu tego wszystkiego, co nie wiąże się w żaden sposób w pobytem Rodziców w Melgwi.

7. Środowisko, w którym obracali się Rodzice w Melgwi było bardzo różnorodne, ergo różnorodna też była w ogóle społeczność melgiewska. Trzon tego środowiska stanowili miejscowi księża. Byli to – jak wolno sądzić z *Pamiętników* – ludzie dobrze wykształceni, o wysokiej kulturze osobistej, przejawiającej się m.in. w codziennych relacjach z Rodzicami. Poza tym – zgodnie z przywołaną przez Tatę i

stosowaną także wobec siebie zasadą niewynoszenia się nad otoczenie (Tata miał na myśli nie tylko status majątkowy ludzi tworzących to otoczenie, lecz także poziom ich edukacji i ogładę towarzyską) – Rodzice utrzymywali dobre codzienne stosunki ze „zwykłymi” Mełgiewianami. Zrozumiała jest jednak rzeczą, że ciążyli przede wszystkim ku miejscowej inteligencji: nauczycielstwu, urzędnikom gminnym, przedstawicielom służby zdrowia itd., a także okolicznym ziemianom (incydent opisany przez Mamę z p. Rulikowską należał raczej do wyjątków).

Szczególny krąg stanowiła liczna rodzina, która przemieszczała u Rodziców i była przez nich w dużym stopniu utrzymywana. Zdrażnienia się zdarzały (co zrozumiałe przy takim zagęszczeniu), ale sporadycznie – tak, że gdyby nie wybuch wojny, Rodzice mieliby prawo mówić o sobie, że „cieszą się szczęściem”.

Wojna tę sielankę zniszczyła. Trzeba było zacisnąć pasa, uciekać przed bombardowaniami, ukrywać się przed obcymi (Niemcami) i swoimi (rabusiami). Nie dało się uniknąć tortur i kryminału – ale udało się uniknąć wywózki i obozu. Doszło do szczególnej wymiany narodowościowej w najbliższym otoczeniu: przyszli Niemcy, wypędziwszy przedtem miejscowych Żydów. Ale trzeba to powiedzieć wyraźnie: to nie ci, co wypędzali – zostali. Rodzice bowiem zetknęli się z dwoma gatunkami (oni sami powiedzieliby zapewne: rasami) Niemców. Wypędzała – a potem pilnowała porządku we wsi – żuleria niemiecka w mundurach; przyszli do Mełgwi na kwaterunek elegancyjcy lotnicy z elitarnych jednostek Luftwaffe. Na podstawie wspomnień Rodziców można sądzić, że to były dwa różne i prawie niestykające się ze sobą światy. Tacie bliżej było do grającego na jego fortepianie pilota – niż temu pilotowi do strażnika „Krowy”, znęcającego się nad Tatą w Zamku Lubelskim. Te dwie „rasy” Niemców coś jednak łączyło: wszyscy byli u nas – mówiąc najbardziej powściągliwie – nieproszonymi gośćmi.

8. Nie tworzyli też jakiejś jednorodnej grupy ci, których *Nürnbergers Rassegesetze* uznawały za Żydów – a dokładniej ci z nich, z którymi mieli do czynienia Rodzice podczas II Wojny Światowej. Byli wśród nich Polacy żydowskiego pochodzenia, których często nic z tym

pochodzeniem już od pokoleń nie łączyło; to był przypadek prof. Krystyny Modrzewskiej, która spotykała się nieraz w mieszkaniu Rodziców w gronie przyjaciół. Byli Żydzi polscy, którzy szybko zorientowali się, co im gotują hitlerowcy – i różnymi sposobami próbowali oszukać los, m.in. korzystając z pomocy Rodziców. Byli wreszcie «prawdziwi» Żydzi, traktujący ów los jako Boskie przeznaczenie i poddający się mu bezwolnie i – z perspektywy Rodziców – tragicznie.

Stosunek moich Rodziców do Żydów nie różnił się od ich stosunku do ludzi jako takich. Widać to dobrze zwłaszcza wtedy, jak się przeczyta całe ich *Pamiętniki*.<sup>1</sup> Inny był zresztą stosunek do ludzi w ogóle – Mamy, a inny – Taty: Mamy – bardziej emocjonalny, Taty – bardziej «filozoficzny».

Dał temu wyraz, pisząc otwarcie: „Przyjaciół – z którymi bym dzielił wszystkie troski i radości – nie miałem i nie mam. Starałem się zachowywać pewną rezerwę wobec kolegów i znajomych.”

9. Tekst – z którego pochodzą fragmenty umieszczone w paragrafie piątym – jest w zasadzie tekstem literackim, a Krystyna Modrzewska – warto może dodać, że była ona matką chrzestną mego stryjeczno-wujecznego brata, Marka Jadackiego, który urodził się w Mełgwi – opublikowała ten tekst pod pseudonimem „Adam Struś” (stąd męska forma czasowników osobowych odnoszących się do narratora). Nazwa „Mełgiew” się tych fragmentach nie pojawia, ale akcja rozgrywa się niewątpliwie w Mełgwi. (Wspominany jest zresztą pobliski Krzesimów.) Wiele wskazuje też na to, że inne niż w rzeczywistości są też (świadomie? przez zapomnienie?) imiona niektórych Mełgiewian.

Zdecydowałem się dać tu te fragmenty, gdyż napisane są one z nie małym talentem prozatorskim i zawierają ważne informacje o atmosferze panującej w czasie wojny w Mełgwi i o faktach, które tam wówczas miały miejsce. Nie wolno jednak zapominać, że *licentia poetica* dopuszcza modyfikację tej atmosfery i tych faktów i teksty Modrzewskiej historyk musi traktować z należytą ostrożnością.

Opuściłem w wykorzystanych fragmentach opisy i oceny autorki, które dotyczą spraw osobisto-obyczajowych, a które są wyraźnie ten-

<sup>1</sup> Opisałem to szczegółowo w tekście „Zdjęcie spod stosu trupów” [Jadacki 2011].

dencyjne, a czasem nawet karykaturalne – świadczące o nieskrywanej niechęci Modrzewskiej do części swego mełgiewskiego otoczenia.

**10.** Kolejny, szósty paragraf – to „Szczęśliwe lata w Mełgwi”: wspomnienia Joanny Rulikowskiej-Ollier, zredagowane przeze mnie na podstawie wywiadu, nagranego w Lublinie w 2012 roku przez Tomasza Czajkowskiego i autoryzowane przez Joannę.

Wspomnienia te znakomicie uzupełniają panoramę wojennej Mełgwi. Zgodnie ze stereotypem – ale nieodległym w tym wypadku od rzeczywistości – trzy główne środowiska polskiej prowincji od czasów co najmniej imć pana Mikołaja Reya, wyliczone przez niego w tytule *Krótkiej rozprawy między trzema osobami: Panem, Wójtem a Plebanem* (1543), to dwór („Pan”), wieś („Wójt”) i kościół („Pleban”). Wieś i kościół niestety «milczą» w tej książeczce: nie bez powodu. Skrótowna odpowiedź, dlaczego nie ma tu ich wspomnień – jest prosta: wójt Mełgwi i główni księża mełgiewscy zostali zamordowani przez okupantów niemieckich; środowiska te do pewnego stopnia reprezentują moi Rodzice i Siostra – obracający się głównie między wsią i kościołem. Na szczęście dwór – a dokładniej pałac – jest w tej książeczce obecny dzięki wspomnieniom Joanny właśnie.

**11.** Kilka słów należy się rodzinie Joanny.

Przodkowie Joanny ze strony Ojca władali majątkiem mełgiewskim<sup>2</sup> od 1834 roku, przechodząc drogą zapisów od Kazimierza Puchały, poprzez Szlubowskich (1852) do Ojca Joanny, Zygmunta Rulikowskiego (1907). W przeciwieństwie do mego Dziadka, Rodziców i Siostry (a także Fijałkowskich i Modrzewskiej), którzy w Mełgwi byli, mówiąc po góralsku, przelotnymi ptokami – Rulikowskim trudno odmówić miana „pnioków”. W przeciwieństwie też do moich Rodziców, którzy należeli do pierwszego pokolenia inteligencji, wywodzącej się z drobnomieszczaństwa podwarszawskiego i myszynieckich Kurpiów

<sup>2</sup>Ta część Mełgwi, która znajduje się wokół pałacu, nazywana jest „Podzamczem”. Joanna Ollier zwróciła mi uwagę, że określanie samego pałacu jako „pałacu na Podzamczu” jest nieporozumieniem: to tak, jakby powiedzieć o Zamku Wawelskim, że znajduje się przy ul. Podzamcze w Krakowie...

(Ojciec) oraz drobnej szlachty mazowieckiej (Matka) – Rulikowscy byli bogatymi, dobrze wykształconymi ziemianami z uzasadnionymi aspiracjami arystokratycznymi; toteż w pałacu mełgiewskim pojawiali się nieraz przedstawiciele tej warstwy społecznej.

**12.** Dla małej Joanny piękny pałac mełgiewski – z wnętrzami wypełnionymi wspaniałymi meblami, luksusowymi sprzętami, delikatną porcelaną, kosztownymi precjozami i cenną biblioteką (parę woluminów pochodzących z tej biblioteki, gromadzonej jeszcze przez Szlubowskich i opieczętowanych gustownym ekslibrisem z wizerunkiem herbu Ślepowron, znalazło się po różnych perypetiach w moim księgozbiorze) – był po prostu ukochanym i mimo okropieństw wojny szczęśliwym domem rodzinnym. Wzrastała w nim – otoczona miłością rodziców i troskliwością niani i guwernantki oraz licznej służby pałacowej, której córki były często towarzyszkami jej dziewczęcych zabaw. Jedyni «obcy» w tym świecie – to byli ukraińscy mieszkańcy czworaków i żydowscy handlarze: tym, co zostało w jej pamięci po pierwszych – były wieczorne dumki, śpiewane po powrocie z robót polowych; o drugich zapamiętała tylko, że Ojciec załatwiał z nimi, ubranymi w dziwne «chałaty», jakieś «ważne sprawy» w swoim gabinecie.

**13.** W oczach małej ziemianki – a „ziemianin” to pierwotnie znaczyło w polszczyźnie tyle, co „uprawiający ziemię” – równie ważne, co dom rodzinny, było to, co go otaczało: ogród-park wokół pałacu i pola-grunty rozciągające się na zewnątrz parkanu. I ogród i pola miały dwa wymiary: wymiar różnorodnej roślinności i wymiar pór roku, które na tej różnorodności odciskały piętno zmiany – kształtów i kolorów. Joanna sugestywnie opisuje to w paragrafie zatytułowanym „Pory roku”. Naturalnym jego uzupełnieniem jest paragraf „Nasze menu”, który – przyznam się – był dla mnie dużym zaskoczeniem: spodziewałem się, że Joanna będzie wspominała jakieś wyszukane potrawy, które znałbym tylko z nazwy, a to były rzeczy najzwyczajniejsze w świecie: warzywa i owoce, kasza i chleb (z własnej maki), ziemniaki („kartofle”) i bulwy, smażone grzyby i „kwaszona kapusta domowej roboty”. Jedynym zbytekiem były: lemoniada „pellegrino” i ... lody. Joanna nie mogła oczywi-



ście wiedzieć, że kimś, kto „pod koniec wojny w Mełgwi [...] uruchomił produkcję lodów na sprzedaż” była... moja Matka, która umiało to świetnie robić, gdyż ukończyła dobrą warszawską szkołę Grohmanowej.

**14.** Osiami zwykłego biegu zdarzeń – „jak w każdej polskiej rodzinie”, według słów samej Joanny – były święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Znamienne są osobliwości tych świąt – w porównaniu ze świętami w mełgiewskim domu moich Rodziców, opisanymi szczegółowo niżej przez moją Siostrę. W wypadku świąt bożonarodzeniowych – tymi osobliwościami u Rulikowskich były: dzielenie ozdób choinkowych, zrobionych w czasie adwentu, i mak na słodko (a nie kluski z makiem). W wypadku świąt wielkanocnych – to było ukrywanie czekoladowych jaj w ogrodzie; warto to porównać z „grą w mełgiewskie pisanki”, opisaną we wspomnieniach Siostry.

No i były jeszcze polowania, w których zresztą Joanna, będąc dzieckiem, nie uczestniczyła; co więcej była «indoktrynowana» przez swoją nianię, a być może i przez Ojca, że to „bezduszne” krzywdzenie zwierząt.

**15.** Spora część mełgiewskiego dzieciństwa panny Rulikowskiej przypadła na czasy wojenne, ale jej rodzice starali się koszmar wojny przed nią w miarę możliwości maskować lub co najmniej minimalizować.

Joanna w każdym razie wiedziała tyle, że „Hitler jest bardzo niedobry”, że trzeba się chować przed bombardowaniami, a potem – już w Lublinie – że szkoła jest „tajna” i trzeba ukrywać przed niemieckimi patrolami policyjnymi, że się idzie na zajęcia.

Swój dziecięcy stosunek do Niemców Joanna najlepiej wyrażała, pokazując jakiemuś żołnierzowi niemieckiemu język i gorsząc się, że przebywające w pałacu dzieci uciekinierów przyjmują od żołnierzy niemieckich pomarańcze.

O Rosjanach – którzy na krótko zawitali do Mełgwi w 1939 roku – panna Rulikowska wiedziała właściwie tyle, że obrabowali jej dom rodzinny.

**16.** Wspomnienia mojej Siostry, zawarte w paragrafie siódmym – „Moje wojenne dzieciństwo” – zaczęły być przez nią spisywane po wizycie w Mełgwi na swoje osiemdziesięciolecie. Zbieg okoliczności sprawił, że nie czytała nigdy dokładnie *Pamiętników* Rodziców, więc

to, co w tym paragrafie pisze, ma walor niezależnego świadectwa. Myślę, że większość – to są wspomnienia naocznego świadka; wykluczyć się jednak nie da tego, że niektóre fakty są z drugiej ręki – z ówczesnych lub późniejszych ustnych opowieści Rodziców.

Są skądinąd drobne rozbieżności między Ich świadectwem, a świadectwem Siostry. Inny jest np. opis przywitania przez nią Taty po zwolnieniu Go z więzienia.

**17.** Inna sprawa, że czasy wojny widziane oczyma kilkuletniego dziecka, nabierają szczególnego kolorytu. Najważniejszym punktem tego wojennego świata byli Rodzice. Stąd w swoich wspomnieniach Siostra poświęca im tyle miejsca, opisując w szczegółach, jacy byli, co robili i o czym – w Jej mniemaniu – myśleli.

Dla dziecka istotne były też uroczystości rodzinne – przede wszystkim związane ze świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Z opisu Siostry wynika, że wyprane lalki z nowo uszytymi przez Mamę ubrankami pod bożonarodzeniową choinką – były nie gorszym prezentem niż kupowane dziś gotowe, drogie i „wydumane” zabawki.

Uderzające jest, że Siostra odnotowała coś, o czym nie ma wzmianki we *Wspomnieniach* Rodziców: że wśród uczniów Taty, dojeżdżających do niego na lekcje z okolicy, było dwóch wspaniałych śpiewaków: Dobrowolski (któremu początek kariery przerwał Konzentrationslager Auschwitz) i Paprocki (który uniknął losu swego kolegi i osiągnął sukces).

Uderzające jest też, że szczegółowiej zapamiętała «wizyty» bandziorów podszywających się pod partyzantów.

**18.** Podobnie jak Rodzice – Siostra rozróżniała dwie kategorie Niemców: jedni – to byli ci, co zabrali jej Tatusia; drudzy – to byli ci, co dawali jej (ukradkiem) czekoladę lub obwozili samochodem po Mełgwi.

Znamienna była różnica w jej – dziecka – stosunku do Wehrmachtu i do Armii Czerwonej. Wehrmacht – to były dla niej wzbudzające strach naloty Luftwaffe; Armia Czerwona – to były walczące w jej składzie oddziały polskie, które się zatrzymały w Mełgwi w trakcie marszu, jak to przedstawiano, na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Trzeba przyznać, że propaganda rosyjska była bardziej wyrafinowana niż niemiecka.

**19.** Wpływ wojny na dziecięcą osobowość zwięźle opisuje sama Siostra, więc najlepiej będzie, jeśli zacytuję Jej słowa:

Moje życie uczuciowe ukształtowała w dużym stopniu wojna. Dzięki niej już jako małe dziecko rozumiałam, co to jest tajemnica, i nauczyłam się jej przestrzegać, a także niepytana – o nic nie pytać. [...]

Oswoiłam się ze śmiercią. [...]

Wojna nie zabiła jednak we mnie radości życia.

**20.** Druga część książeczki – „Świadectwa” – to sześć rzeczy mających status dokumentów.

Pierwszy z tych dokumentów – to krótki fragment listu Taty do Mamy, napisany tuż po ślubie; w liście tym Tata na gorąco zwierza się Mamie z tego, jak został przyjęty przez Mełgiewian po przyjeździe na początku 1938 roku.

Trzy następne dokumenty – to opis „Wielkanocy 1944 w Mełgwi” pióra Taty oraz spisane przez Dagmarę Spodar świadectwa Haliny Pietrzyk oraz Ireny i Mieczysława Wiśniewskich [Spodar 2010], a także Anny Pisarskiej. Wiarygodność pierwszego jest dodatkowo potwierdzona podpisami Stryja Mieczysława i Mełgiewianki – prof. Marii Siudówny-Witkowskiej. Opisy te różnią się nieco – co do sposobu, w jaki SS-mani odkryli kryjówkę Mełgiewian,<sup>3</sup> co do ich liczby<sup>4</sup> i co do powodów ich zwolnienia.<sup>5</sup>

<sup>3</sup> W pierwszych trzech relacjach powtarza się informacja, że klucz do kryjówki przekazał Niemcom ówczesny kościelny. Wszystko wskazuje na to, że został przez nich do tego zmuszony, kiedy jeden z żołnierzy ustalił, gdzie jest kryjówka (o czym wspomina Tata i Anna Pisarska). Nie była to więc ze strony kościelnego „zdrada” samego miejsca ukrycia mężczyzn, jak utrzymywali niektórzy z moich rozmówców. Z kolei Anna Pisarska sugeruje, że cała łapanka była efektem zdrady konfidenta, który dostał się w szeregi AK.

<sup>4</sup> Tata podaje liczbę 133, rozmówcy Dagmary Spodar mówią o ponad 100 osobach. Natomiast Piotr Kosmala – w zamieszczonym poniżej „Oświadczeniu” – pisze o 223 osobach.

<sup>5</sup> W relacji Taty tym powodem był szantaż AK. Według Joanny Rulikowskiej-Ollier powodem miała być interwencja jej ojca u władz niemieckich, który przekonał Niemców, że bez zwolnienia aresztowanych mężczyzn nie będzie mógł wywiązać się wobec władz niemieckich z nałożonych na niego kontyngentów. Ze słów Mie-

Nie jest to w opisie Taty sprawa najważniejsza, ale warto ją odnotować, jako uzupełnienie dowodu na efektywność propagandy komunistycznej, znajdującego się w tekście Siostry: więźniowi rosyjskiemu skutecznie wbiła ona do głowy, że w „jaśniepańskiej” Polsce panuje głód i bułka jest towarem niespotykanym. *Eo ipso* – należy w Polsce zaprowadzić komunizm.

**21.** Piąty dokument, zamieszczony w „Świadectwach” – to rodzinna relikwia: karta z więzienia lubelskiego, napisana po części (zasadniczej) przez Stryja Mieczysława, a po części (drobnej) przez Tatę. Miejsca do pisania było na niej mało, a każde słowo ponadto musiało być tak dobrane, żeby nie wzbudzać zastrzeżeń cenzury więziennej. Żeby wyrobić sobie zdanie na temat tego, jak wyglądał pobyt na Zamku Lubelskim – warto przeczytać kilkakrotnie tę kartkę. Prawie wszystko bowiem, co kluczowe – jest tu między wierszami: że chorują (choć „czują się zdrowi”); że im więcej paczek, tym lepiej („na każdego z osobna”); że przesyłki są rozkradane („przysyłajcie w dobrym pudełku”); że jest deficyt bielizny („przyślij zmianę”); że żyją tacy a tacy Mełgiewianie (i też „czują się zdrowi”).

**22.** Zamieszczenie – jako szóstego dokumentu – „Oświadczenia” Piotra Kosmali (szwagra Stryja Zygmunta) ma podwójną funkcję: uzu-

czysława Wiśniewskiego wolno wnosić, że interwencja Zygmunta Rulikowskiego dotyczyła specjalnie robotników dworskich – ale przyniosła pożądany skutek w odniesieniu do wszystkich aresztowanych. Być może zresztą działania Niemców wobec Mełgiewian wpisują się w ogólną politykę okupantów niemieckich w tym okresie, którą Czesław Górniewicz opisywał następująco: „Na wiosnę 1944 roku, kiedy spotęgowały się niepowodzenia «niezwyciężonej armii niemieckiej» na różnych frontach, wzmożła się znacznie aktywność lubelskiego gestapo. Początkowo zupełnie niespodziewanie zwolniono z więzienia około 250 (chłopów, zakładników i tym podobnych. [...]) Podobno zwolnienia były pomysłem gestapo. Miały złagodzić stosunek Polaków do Niemców, a wzbudzić nienawiść do Rosjan, wkraczających już do Polski. Wkrótce potem hitlerowcy rozpoczęli zupełnie inne działania. Był to bardzo tragiczny okres w więzieniu na Zamku. Coraz częściej wysyłano transporty do obozów koncentracyjnych; wzmożły się egzekucje na terenie Lubelszczyzny” [Górniewicz 2016: 167-168].

pełnia *Pamiętniki* Rodziców o informacje, których tam zabrakło, a które dotyczą współpracy Taty z AK – i zarazem informacje te uwierzytelnia.

**23.** Część trzecia – „Zdjęcia” – ma, nie waham się tego powiedzieć, wartość historyczną. Są tu nigdzie nie spotykane (a w każdym razie nie pokazywane publicznie) portrety Mełgiewian – pojedyncze i zbiorowe, zdjęcia okolicznościowe, fotografie miejsc, budynków i przedmiotów związanych z Mełgwią przełomu lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku itd. Najbardziej wstrząsające są fotografie Mełgiewian z KL Auschwitz (od M-12 do M-17) oraz zdjęcia zrobione przez Tatę w 1943 w Lesie Krępieckim (M-19) i w obozie na Majdanku 24 lipca tego roku, tj. dwa dni po opuszczeniu go przez niemiecką załogę (od M-20 do M-26).

Niektóre ze zdjęć wymagają komentarzy.

Szkaplerz (N-01) wisiał na zewnętrznej ścianie budynku, w którym mieszkali Rodzice – nad szklanymi drzwiami I piętra, prowadzącymi na balkon, z którego widać było pałac Rulikowskich; z balkonu zostały już tylko szyny. Jest to pamiątka szczególna, gdyż wiąże się z reakcją Siostry na uwięzienie Taty w Zamku Lubelskim. Często wtedy wychodziła na ten balkon i patrząc w stronę Pałacu, który brała za Zamek – prosiła go: „Zamku, zwróć mi Tatusia!” A potem klękała przed ryngrafem i modliła się do Matki Boskiej, żeby uratowała Tatę.

Kwiatki (N-02) – z ogródka Rodziców – zasuszyła Siostra.

Aparaty fotograficzne (N-03 i N-04) były dwoma z trzech aparatów, na których Tata robił zdjęcia w Mełgwi i długo później; trzeci aparat był małoobrazkowy.

Dwie drewniane rzeźbione szkatułki (N-11 i N-12) i blaszane pudełko na guziki (N-13) należały do Mamy. Nie wiem, po co Rodzice kupili brązową popielnicę (N-07) – ponieważ żadne z Nich nie paliło papierosów. Nie wiem też, dlaczego znalazł się w mieszkaniu brązowy słoń (N-05). Kominkowy zegar (N-10), metalowy kałamarz (N-08) i drewniany stojak na listy (N-09) towarzyszył Rodzicom w każdym z Ich późniejszych mieszkań; wiązali z nimi więc pewnie jakieś ważne wspomnienia.

Zamieszczam wreszcie nuty pastorałki „Ucichnij Jezuleńku” Feliksa Nowowiejskiego (P-09a-c), o której w swoich wspomnieniach

mówi Siostra – jako „ulubionej kolędzie Taty” – a zamieszczam, gdyż dziś się jej nie słyszy, a jej melodia dobrze oddaje nastroje, jakie panowały w naszym mełgiewskim domu w czasach wojennych. Nastroje te wyraża również ulubiony wiersz Taty – od czasów mełgiewskich recytowany przez Niego podczas różnych uroczystości rodzinnych: XXI fragment poematu Słowackiego *W Szwajcarii*: „Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą, tam pójde...”. Już jako dorosły człowiek dowiedziałem się od Rodziców o «poetyckim» pochodzeniu moich imion: noszę imię „Jacek” po św. Jacku Odrowążu, którego konterfekt znajduje się z w zwieńczeniu prawego bocznego ołtarza w kościele mełgiewskim, oraz po Jacku Soplicy z *Pana Tadeusza* Mickiewicza (zgodnie z wolą Mamy), a imię „Juliusz” po Słowackim (zgodnie z wolą Taty).

Nieco tajemnicze jest pochodzenie książek, których zdjęcia umieściłem wśród innych fotografii.

Zbiór *Najpiękniejszych bajek polskich* (Q-02a-d) był klockiem złożonym z trzech części (76 + 26 + 16 stron). Zawierał następujące bajki. I: 1. O Janie królewiczu, żar-ptaku i wilku wiatrolocie. 2. O królownie zaklętej w żabie. 3. O macosze i pasierbicy. 4. O córkach dziadka i baby, i o królu zaklętym w niedźwiedzia. 5. O kmiotku Roztropku i o jego kmiecym rozumie. II. Madejowe łożo. III. O biednym i bogatym bracie. W bajkach zaczytywała się nie tylko Siostra, ale i później także ja. Pamiętam, że niektóre przez wiele lat wzbudzały we mnie lęk. *Bajdy krasnoludkowe* (Q-01a-b) dają głównie dlatego, że wydane zostały w 1942 roku w Krakowie; znamienity jest fragment pod reprodukowaną ilustracją z hasłem „Pracuj wytrwale”: to był fragment wychowawczego programu niemieckich okupantów dla ludności tubylczej. Reprodukuję autograf Siostry i ks. Cąkały; we wspomnieniach Siostry jest opis okoliczności, w których stała się właścicielką *Bajd. Śpiewanki szkolne* (Q-04a-b) służyły Siostrze jako szkolny podręcznik do nauki śpiewu.

Na *Kancjonale* (P-08a-b) są autografy Jana Budzyńskiego (przekreślony) i ks. Cąkały. Przypuszczam, że Budzyński przekazał go ks. Cąkale, kiedy opuszczał Mełgiew, a do Taty trafiły po zamordowaniu ks. Cąkały.

Książki począwszy od P-01a-b do P-05 mają pieczęć z herbem Ślepowron i napisem „Mełgiew”. Jeśli się nie mylę, znalazły się one w bibliotece Rodziców w następujących okolicznościach. Kiedy nadciągała



ofensywa sowiecka, Tata został zaproszony do pałacu mełgiewskiego przez jego właścicieli, Rulikowskich, i zaproponowano mu wybranie z ich biblioteki książek, które go interesują. Tata wziął parę książek dla siebie dla mnie. Rulikowscy pieczętowali się herbem Korab; przypuszczam, że pieczęć na książkach ma herb Ślepowron, gdyż był to herb Szlubowskich, poprzednich właścicieli Mełgwi, z którym Rulikowscy się skoligacili.

Z książką *Memento kresowe* Urbańskiego (P-05) wiąże się moje osobiste wspomnienie. Już jako dorastający chłopiec przeglądałem księgozbiór Rodziców i natrafiwszy na nią – zapytałem Tatę:

– Po co Wam ten album? Przecież oboje pochodzicie z Mazowsza?

Tata wziął książkę do ręki, otworzył i odpowiedział wolno dobierając słowa:

– Obejrzyj sobie fotografie z pałacu w Dobośni. I przeczytaj, co w tym pałacu jeszcze było: „Duża galeria obrazów... Biblioteka z drukami XVI wieku, pamiątkowe fascykuły i diariusze...”. Wszystko zniszczyli nasi sąsiedzi... Takich rozgrabionych albo wypalonych pałaców, dworów i dworków na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej były setki, a może i tysiące...

I dodał po chwili:

– Nigdy już nikt nie napisze prawdziwej historii kultury polskiej. Można się tylko domyślać, jak była bogata. I dlatego – żeby o tym stale pamiętać – trzymamy ten album. I zaglądamy do niego od czasu do czasu...

Tyle o naszych mełgiewskich książkach.

Tata przez całe życie – a najbardziej chyba w Mełgwi – malował, robiąc głównie kopie obrazów, do których miał dostęp dzięki reprodukcjom pocztówkowym. Były to obrazy o tematyce religijnej, pejzaże wiejskie i martwe natury. Tata był z natury pogodny, ale koloryt kopiowanych obrazów był raczej mroczny i smutny. Zrobione przez Tatę kopie w większości wisiały w kolejnych naszych mieszkaniach; tylko niektóre trafiły do krewnych lub przyjaciół.

Zamieszczam zdjęcia tych pocztówek – od R-01 do R-12 – na których Tata się wzorował.

Zdjęcia 4 i 5 pochodzą ze zbiorów Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Źródłem zdjęć od A-08 do A-10, I-12 i M-09 oraz O-07 są zbiory Andrzeja Szczepanika. Zdjęcia od H-03 do H-21 pochodzą ze zbiorów

Anny i Mirosławy Lisowskich, a od B-01 do B-23 oraz od F-01 do F-11, od G-01 do G-18 i L-01 pochodzą z archiwum rodzinnego pp. Rulikowskich. Zdjęcia I-01, od K-01 do K-05, K-13, L-05 i L-16 udostępniła mi Joanna Matys, natomiast zdjęcia L-02, L-03 i U-20 – Adam Pidek. Zdjęcia od M-12 do M-17 – są z Muzeum KL Auschwitz. Zdjęcia 16, D-21 i I-10 skopiowane zostały z albumu rodzinnego Stryja Zygmunta Jadackiego, a zdjęcie M-02 – z albumu rodzinnego Stryja Mieczysława Jadackiego; zdjęcie I-08 podarowała Rodzicom prof. Witkowska ok. 1990 roku; zdjęcie K-07 zreprodukowane zostało z książki [Spodar 2018], a zdjęcia od K-14 do H-16 – z książki [Modrzewska 1992]. Pozostałe zdjęcia wzięte zostały w rodzinnych albumów Rodziców i Siostry.

Zdjęcie M-10 jest autorstwa Jana Bułhaka, zdjęcia 07, 08, C-01 i H-06 – wykonane zostały w Zakładzie Fotograficznym Ludwika Hartwiga w Lublinie, zdjęcie G-15 w atelier „Rubens” (Warszawa, ul. Miodowa 1), a zdjęcie E-01 zrobił Edward Hartwig.

Pamiętki od N-01 do N-14, O-04a-b, O-08 i O-09a-b, książki od P-01a do P-09c i od Q-01a do Q-04c, oraz pocztówki od O-10a-b do Q-13b oraz od R-01 do R-12 – wszystkie z naszego archiwum – sfotografowaliśmy z Siostrą. Dokumenty od O-01 do O-03, O-05 i O-06 pochodzą ze zbiorów Anny i Mirosławy i Lisowskich. Zdjęcia od S-01 do S-05 zrobiłem ja w 1992 roku; natomiast zdjęcia od T-01 do U-19, od U-21 do U-24 i U-27 zrobiliśmy w Mełgwi (T-48, U-25 i U-26 – w Lublinie) w latach 2018-2019 wspólnie z moją Siostrzenicą, Małgorzatą Józków.

Kopie zdjęć E-01, od E-4 do E-6, H-01, I-13, J-01 oraz od M-04 do M-06 pochodzą z naszego archiwum rodzinnego, ale są nieustalonego autorstwa. Pozostałe zdjęcia zrobił osobiście Tata (ewentualnie za pomocą samowyzwalacza).

#### 24. Książkę zamykają „Spis miejsc” i „Spis osób”.

W „Spisie osób” autorzy tekstów, zamieszczonych w niniejszej książeczce, mają dłuższe biogramy. W wypadku pozostałych osób dałem jedynie krótkie informacje o ich życiu – tam, gdzie takie informacje udało mi się uzyskać.

Wszystkie przypisy pochodzą ode mnie.

## ŹRÓDŁA

Chciałbym wyrazić wdzięczność wszystkim tym, którzy pomogli mi w ustaleniu danych biograficznych. Na pierwszym miejscu jest – co oczywiste – moja Siostra, Bożena Jadacka-Józków, dzięki której ustaliłem wiele faktów biograficznych dotyczących naszej bliższej i dalszej rodziny. Dalej – p. Grzegorz Chowicki, wielki pasjonat historii Lubelszczyzny, oraz p. Dagmara Spodar, Mełgiewianka, historyk, która wypełniła wiele białych plam w biografiach bohaterów tej książeczki. Na liście pozostałych moich dłużników znajdują się m.in.: Maria Biegańska-Plonka, Janina i Wacław Bogutowie, Barbara Brandt-Golecka, Alicja Daszuta, Marian Dec, Bożena Dubel, Waldemar Dubieniecki, Łukasz Faszcz, Marek Gorliński, Janusz Górniak, Maria Hajkowska, Krzysztof Jadacki, Wojciech Jadacki, ks. Zbigniew Jaroszewski, Małgorzata Juchimowicz, s. Karolina (Beata Dworczak?) z Otwocka, s. Karolina Anna Kołodziejczyk, Hanna Kosińska, Wit Krysa, ks. Grzegorz Legutko, Michał Łanczont, ks. Piotr Lenart, Hanna Łopuszańska, Anna Łosowska, Joanna Matys, Katarzyna Mieczkowska, Grzegorz Mielczarek, ks. Marek Milanowski, Barbara Nazarewicz, Maria Nowak, Barbara Oratowska, Adam Pidek, Anna Pogoda-Łukasiewicz, Agnieszka Polak, Paweł Radziejewski, Ewa Rokicka-Ślusarska, Joanna Rulikowska-Ollier, Beata Sejnowska-Runo, Emilia Siuda, Jan Wojciech Siuda, Andrzej Spóz, Anna Styczyńska-Marciniak, ks. Paweł Szczygliński, Piotr Świeczko, Janusz Tajchert, Marlena Woroch, Krystyna Zajac i Halina Załoga.

Wiele mi dało także spotkanie z mieszkańcami Mełgwi – z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi – które odbyło się 15 listopada 2019 roku.



Spotkanie Bożeny Jadackiej-Józków (stoi pierwsza z lewej) z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi mieszkańcami Mełgwi (15.11.2019).

Spośród tych ostatnich siedzą od lewej pod ścianą: Anna Wilczyńska (1), Jan Siuda (5), Halina Załoga (6), Dagmara Spodar (7) i Urszula Kowalczyk (8).

Niektóre informacje – oraz fragmenty zamieszczonych w książce tekstów – zacerpnałem m.in. z następujących publikacji:

Chmielak, Jadwiga & Gajowniczek, Jolanta & Gąsczyk, Maria & Murawska-Gryń, Zofia & Rosiak Elżbieta (red.)

1984 *Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego. 1939-1944.*  
Warszawa: Wydawnictwo MON.

Fijałkowski, Mieczysław

1962 *Uśmiechy lat minionych.* Katowice 1969: Wydawnictwo Śląsk.  
1973 *Cholerny świat.* Katowice: Wydawnictwo Śląsk.

Górniewicz, Czesław

2016 *Wspomnienia z okupacji niemieckiej.* Pamiętnik więźnia  
Zamku Lubelskiego. Lublin: Muzeum Lubelskie.

Jadacki, Jacek

2001 Ogień zawleczony przez obcych generałów. *Życie* nr 187  
(z 11.12.08), s. 18.  
2011 Zdjęcie spod stosu trupów. *Odra* nr 11, s. 42-50.

- Juchimowicz, Małgorzata  
2004 *Dzieje kościoła w Czarni. 1904-2004*. Łomża: Parafia Rzymskokatolicka w Czarni.
- Mącik, Elżbieta *et al.*  
2018 „Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy Mełgiew.” Mełgiew: Rada Gminy.
- Modrzewska, Krystyna  
1967 *Słowa pierwsze i ostatnie*. Warszawa: Instytut Wydawniczy Pax.  
[Wydane pod pseudonimem „Adam Struś”.]  
1991 *Trzy razy Lublin*. Lublin: Wydawnictwo Panta.  
1992 *Czas przedostatni*. Lublin: Wydawnictwo Izan.  
1994 *Na krawędzi chaosu*. Lublin: Wydawnictwo Izan.
- Przesmycka, Elżbieta & Boguszevska, Kamila  
2013 „Park w założeniu pałacowym dóbr Mełgwi Podzamcze w zbiorach archiwum Zygmunta Rulikowskiego”. *Teka Kom. Arch. Urb. Stud. Krajobr.* – OL PAN, 2013, IX/1, 89-98.
- Spodar, Dagmara  
2010 *Epizody II Wojny Światowej*. Mełgiew: Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego.  
2018 *Rodzina Rulikowskich i ich majątek ziemski Mełgiew-Podzamcze w XX wieku*. Lublin: Wydział Humanistyczny UMC-S.
- Talarek, Zofia & Woźniak-Gołąb, Monika  
2016 *Śladami przeszłości gminy Mełgiew. Zespół pałacowo-parkowy i „Dolina Krzyży” w Krzesimowie*. Krzesimów: Publiczna Szkoła Podstawowa im. Jaworzników w Krzesimowie.

## CZĘŚĆ I. WSPOMNIENIA

## 1. Antoni Jadacki (senior)



1. Antoni Jadacki (senior).

### Pamięci Żony i Córk (Lamentacje melgiewskie 1942-1946)



2. Waleria Jadacka z d. Pyszna.

Waleria z Pysznych, żona Antoniego Jadackiego (seniora), zmarła w Ostrowi Mazowieckiej – i tam też została pochowana. Po jej śmierci – mąż wyjechał wraz z synem Zygmuntem oraz córkami Eugenią i Ireną do Piekut Nowych, gdzie jego syn, Antoni (jr), był przed przeniesieniem się do Mełgwi organistą. Potem wszyscy przyjechali się do Mełgwi.



3. Eugenia Jadacka.

17 lipca 1943 roku – w odwecie za śmierć 5 żołnierzy Wehrmachtu i 3 żandarmów z rąk partyzantów AK, działających w pobliskich lasach – niemiecka żandarmeria, z udziałem landrata łomżyńskiego Karla von Groeben, przeprowadziła pacyfikację wsi Krasowo-Częstki; decyzję w tej sprawie podjął Obersturmbannführer SS Herbert Zimmermann, doktor prawa (!), szef gestapo w Białymstoku. Niemcy zamordowali 257 osób (w tym co najmniej 71 kobiet i 91 dzieci poniżej 17 roku życia), wieś spalili, a dobytek zrabowali. Była to druga co do liczebności masakra ludności wiejskiej dokonana w granicach przedwojennego województwa białostockiego. Wśród ofiar znalazła się Eugenia Jadacka, córka Antoniego (seniora), która przyjechała do Krasowa-Częstek z Mełgwi w celach zarobkowych (była guwernantką w domu Władysława Kaczyńskiego); nie bez znaczenia jest, że we wsi mieszkał jej narzeczony, poznany jeszcze przed wojną w pobliskich Piekutach Nowych.<sup>6</sup>

### 1. Ona umarła

Ona umarła. Smutniejszaż żałoba,  
Kiedy z najbliższą osobą się żegnasz?  
Zmogła ją ciężka, śmiertelna choroba,  
Co to żadnego ratunku już nie ma!

<sup>6</sup> O tragedii tej piszę w tekście „Ogień zawleczony przez obcych generałów” [Jadacki 2001].

Dobrze pamiętam straszliwą tę dobę,  
 Gdy przy Jej łóżku siedziałem blisko.  
 Ona mi mówi: „Na śmierć się sposobie...  
 Wszystko wybaczam! I ty wybaczone wszystko!”  
 „Jakże – spójrz! – jasne na niebie dziś słońce!” –  
 Mówi mi jeszcze. „Jak ciepło mu w chmurach!  
 A ja tak wcześnie swe życie już kończę!  
 Żal mi odchodzić! Dlaczego umieram?”  
 Nagle zamilkła... I łapiąc daremnie  
 Oddech... Już dusząc się – tylko szepnęła:  
 „Wiosno cudowna... Ach! Wiosno nikczemna!  
 Czemu co zima złączyła<sup>7</sup> – rozdzielasz?”  
 Słońce ciekawie przez okno zadrżało:  
 Twarz jej rozjaśnić na chwilę próbując –  
 Ale na próżno, bo twarz już ściemniała.  
 Zaszło więc szybko ze wstydem za chmurę...

Pisałem w szóstą rocznicę śmierci mej Drogiej Żony.  
 Mielgiew, dnia 27 kwietnia 1942 roku.

## 2. W błogim śnie

Tyle minęło już lat, gdym Twe truchło  
 Złożył do ziemi i krzyżem drewnianym  
 Przybił. I niebo z mych łez już obeschło –  
 Modły żałobne do końca wybrzmiały.  
 Śpisz tam spokojnie, o Żono ma miła.  
 Śmierć – to wytchnienie po życia zawiei.  
 Bo Twoje oczy – zamknięte – w mogile  
 Już nie zabłyszcza łzą beznadziei.  
 Tam nie dosięgną już Ciebie zwątpienia.  
 Nie ma radości i nie ma tęsknoty,  
 Nie ma już wzruszeń i nie ma cierpienia,

<sup>7</sup> Antoni (senior) i Waleria pobrali się 19 stycznia 1909 roku w Myszyńcu.

Nie ma rozmyślań wśród nocy samotnych...  
 Dawnom o Tobie – o Żono! – nie myślał...  
 Z wiosną dopiero, co przyszła z powrotem,  
 Słowik zaśpiewał jak niegdyś srebrzyście,  
 Aby znów we mnie obudzić tęsknotę.  
 Pewnie i tam już słowiki śpiewają.  
 Pewnie tam lipa wsłuchana w śpiew – płacze,  
 Lekko ku Tobie gałązki zginając.  
 Błogo śpij, Żono! *Requie in pace*...

Pisałem w dziewiątą rocznicę śmierci mej Drogiej Żony.  
 Mielgiew, dnia 27 kwietnia 1945 roku.

## 3. Skarga

Matko Najświętsza! Gdzieś wówczas była –  
 Kiedy mi Córkę zamordowano?  
 Czyś Ty ku ziemi z nieba patrzyła,  
 Kiedy ich wszystkich powystrzelano?  
 Wszak Ją oddałem Tobie w opiekę,  
 Byś Jej przez cały czas pilnowała –  
 I gdy już skończy podróż daleką,  
 By się Jej jakaś krzywda nie stała?  
 Kiedym co wieczór zmaśniał pacierze,  
 Tylko o zdrowie dla Niej prosiłem.  
 Skądże ja miałem, Matko, to wiedzieć,  
 Że powinienem błagać o życie?!  
 Tyle tam było jęków i krzyków:  
 Dziewcząt i chłopców, matek i dzieci...  
 Czyś Ty widziała hordę tę dziką  
 Co ich do stodół gnała – jak w sieci?  
 Ginać – wołali pewnie z nadzieją:  
 „Przecież niewinni wszyscy jesteśmy!  
 Ratuj, nas! Ratuj! Za co giniemy?”  
 Czyś Ty słyszała głos ich boleści?

Wszystko dokoła w końcu ucichło.  
Horda skończyła dzieło piekielne...  
Nagle ze sterty ofiar dobiegło  
Jakieś dziecięce, wątłe kwilenie...  
    Podszedł do dołu żandarm-bandyta:  
    Przebił bagnetem żywe niemowlę..  
    Kopnął jak ścierwo butem zbrodniczym  
    Ciało krwawiące, lecz już bezwładne.

Nikt nie zapłakał nad nim po ludzku,  
Tylko zawyły psy mu z oddali  
I zaryczały krowy; i w kojcu  
Konie zarżały smutno – bezradnie.

    Konie zabrali; krowy zabrali.  
    Domy wymarłe, obory i stajnie,  
    W ogniu stanęły... Budy zgorzały...  
    Zgasło w płomieniach psie ujadanie.

Zgliszczą pod wieczór z zagród dymyły –  
Czarne kominy wznosząc do nieba,  
Jakby o litość jeszcze prosiły:

„Pocieszycielko! Panno Chwalebna!”

    Matko Najświętsza! Gdzieś wówczas była –  
    Kiedy mi Córkę zamordowano?  
    Czyś Ty ku ziemi z nieba patrzyła,  
    Kiedy ich wszystkich powystrzelano?

Pisałem w pierwszą rocznicę śmierci mojej Ukochanej Córkę,  
zamordowanej przez zbirów hitlerowskich w Krasowie-Częstkach.  
Mełgiew, dnia 17 lipca 1945 roku.

#### 4. Moja pieśń

Żyłas za krótko, dużo za krótko –  
Córko kochana, Córko ma droga!  
Gdzie się obrócę – wszędzie mi smutno.

Prawda mnie goni – twarda i sroga.

    W polu, na łące – w lesie, nad rzeką,  
    Wszędzie ta prawda ściska mi gardło.

Nawet i ryby mnie już nie cieszą,  
A tak lubilem łowić niedawno...

    Choćbym i synów poszedł odwiedzić,  
    Niby coś mówię – lecz nie na temat...  
    Chwili nie umiem u nich wysiedzieć;  
    Ciągle powtarzam: „Gieni już nie ma!”

Chodzę i chodzę – tam i z powrotem –  
Tęsknić wciąż do Niej przestać nie mogąc...

Gdy się w modlitwie cały zatopię,

Wszzechwiedzącego pytam więc Boga:

    „Powiedz, czy gdybym szedł tym bezdrożem,  
    Córkę kochaną znajdę – o Boże?!  
    Powiedz, czy jak popłynę przez morze,  
    Córkę odszukam moją – o Boże?!  
    Powiedz, czy jeśli wzlecę w przestworze,  
    Córkę tam Drogą spotkam – o Boże?!”

    Wszędzie bym poszedł, żeby Cię znaleźć...  
    I znów jak dawniej tulić do siebie...  
    Życie bym oddał swoje w ofiarę,  
    Gdybym raz jeszcze ujrzeć mógł Ciebie...

Tyś mnie w chorobie zastępowała,

Podczas nabożeństw grając w kościele.

Jakże cudownie wtedy śpiewałaś!

Jakże Twe skrzypce brzmiały przepięknie!

    Podczas tułaczki Tyś się troszczyła

    O nas: o mnie, i siostrę i brata.

    Powiedz! Dlaczegoś nas zostawiła?

    Mogłaś odłożyć wyjazd na potem!

    Teraz – bez Ciebie – czasy pogardy

    Stały się dla mnie nie do zniesienia...

    Pewnie już Ciebie nigdy nie znajdę:

    Nie ma Twych kości już na tej ziemi.

Pisałem w drugą rocznicę śmierci mojej Ukochanej Córkę,  
zamordowanej przez zbirów hitlerowskich w Krasowie-Częstkach.  
Mełgiew, dnia 17 lipca 1946 roku.



\*\*\*

Napis na nieistniejącym pomniku mojej Córkę – Eugenii:

Pod tym ciężkim głazem – snem wiecznym spoczywa  
Córka ukochana i Polka cnotliwa.

Ojciec po Niej w wielkiej zostaje żałobie,  
Wieniec z łez serdecznych złożywszy na grobie.

Ty, co przejdiesz obok, za duszę jej westchnij –  
I proś Boga, by ci zgotował los lepszy.

## 2. Mieczysław Fijałkowski



4. Mieczysław Fijałkowski

### 1. Dymy nad Melgwią<sup>8</sup>

#### 1. W pałacu

Świat szalał – a ja znowu<sup>9</sup> orałem, siałem i sprzątałem. Tym razem był to majątek pod Lublinem, zaniedbany jeszcze przed wojną.

Niemcy zabierali na Liegenschaft tylko majątki dobre; tym razem na ten nie mieli jakoś ochoty, więc poczułem się tu pewniej niż w „ordynacji”.

Przesiedziałem tam trzy lata<sup>10</sup> [...].

Był to okres Majdanka, miasta śmierci, gdzie w piecach krematoryjnych palono bezustannie ciała wielu milionów Żydów i Słowian skazanych przez Hitlera na zagładę. Nie zapomnę do śmierci dymów, które ciążyły nad piękną ziemią lubelską, a które wydzielwały z siebie szczególną woń, zatruwającą zapach pól i lasów.

<sup>8</sup> Są to fragmenty książki *Uśmiechy lat minionych* [Fijałkowski 1962: 379-399]. Tytuł całości i śródtytuły pochodzą ode mnie.

<sup>9</sup> Po usunięciu Fijałkowskich ze Skłót – i krótkim pobycie w Warszawie – Mieczysław Fijałkowski w latach 1940-1943 administrował „małą ordynacją” (sześć folwarków) Wincentego Reklewskiego w Mirogonowicach, zastrzelonego w końcu 1939 roku w czasie bandyckiego napadu na plebanię w Waśniowie.

<sup>10</sup> Chodzi o lata 1942-1944.

W tych warunkach musiałem gospodarować. Nie było to łatwe, zwłaszcza że stary właściciel majątku nie znaczył prawie nic. Żył w sferze dawnych pojęć i cieszył się, że za pieniądze wygospodarowane będzie mógł pokryć lśniąca miedzianą blachą dach na starym pałacu, pamiętającym jeszcze najazdy tatarskie. Sam jeździł do Lublina szukać upragnionej blachy, zrobił umowę z majstrami i od tej chwili można go było widzieć codziennie na dachu z miarą i planami w ręku.<sup>11</sup>

Ja zabawiałem się cokolwiek odmiennie. «Trząchnąwszy» swoim zwyczajem mocno zapuszczonym warsztatem, robiłem co mogłem, aby go rozruszać.

Żona moja i córka<sup>12</sup> miały tym razem odpowiednie dla siebie warunki mieszkaniowe i bytowe – a Magda razem z córką właściciela majątku<sup>13</sup> miały nauczycielkę, córkę profesora z Lublina, która przygotowywała je do gimnazjum.<sup>14</sup>

Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był kreislandwirt Traue o rudych włosach i gębie Judasza; nie wtrącał się do gospodarstwa, czyniąc mnie odpowiedzialnym za wszystko. Przyjeżdżał jedynie polować na dziki i zajęce w lasach będących pod moim zarządem. Pierwszy rok mego tam pobytu minął stosunkowo spokojnie, aż skończyło się to pewnego dnia nocą, gdy stary pies Bernard, stróż domu, dał znać basowym szczekaniem o pojawieniu się nocnych gości. Wkrótce rozległo się stukanie, a gdy służący Bolesław otworzył drzwi wejściowe, zapytano o administratora majątku, przy czym wymieniono moje nazwisko.

Byli to uzbrojeni ludzie w maskach. Bandyci czy patrioci? Podali się za patriotów. Zażądali posiłku oraz wydania z chlewu paru świń. Rad nierad musiałem zakrzętnąć się koło tych spraw, nie wiedząc z kim mam do czynienia (później okazało się, że byli to bandyci). Wizyty nocne zaczęły się coraz częściej powtarzać (były to lata 1943-1944), aż w końcu zacząłem odróżniać plewy od ziarna. [...]

<sup>11</sup> Zarówno negatywna ocena stanu majątku mełgiewskiego, jak i osoby Zygmunta Rulikowskiego – dokonana przez Fijałkowskiego – nie znajduje potwierdzenia w świadectwach innych osób, m.in. moich Rodziców.

<sup>12</sup> Chodzi o Celinę i Magdalenę (Magdę) Fijałkowskie.

<sup>13</sup> Chodzi o Joannę Rulikowską-Ollier.

<sup>14</sup> Chodzi o Halinę Juszczańską.

## 2. Dni i noce

Czas mijał, a dymy z Majdanka snuły się ociężale nad nami, mieszając do zapachu pól odór palonych ciał.

Podczas gdy Warszawę wstrząsały raz po raz zamachy i głośnie wyuczyny partyzanckie – tu na prowincji nie dawano za wygraną. Jeszcze w lutym 1943 roku nastąpiło wysadzenie mostu kolejowego na rzece wpadającej do Wieprza i przepływającej nieopodal nas.<sup>15</sup> Ponieważ nocą Niemcy woleli nie pokazywać się na oczy – więc zmobilizowano podwozy i wożono do samego rana broń i sprzęt wojenny z rozbitego pociągu do lasu.

[...] Z całego pociągu pozostał tylko szkielet i kilkadziesiąt niemieckich trupów.

Niemcy byli bezsilni, gdyż w ciągu dnia sieci konspiracyjnej nie mogli osiągnąć. Dokonywane tu i ówdzie na chybił trafił aresztowania nie dawały rezultatu, mimo przepełnionego więźniami zamku w Lublinie i metod badawczych, w okrucieństwach swych w niczym nie ustępujących Alei Szucha w Warszawie. W nocy bali się szukać bezpośredniego kontaktu z partyzantką i w ciemnościach czuli się jakoś niepewnie.

## 3. Gestapowcy i partyzanci

Z tego okresu upamiętnił mi się wypadek, który przeżyliśmy ja, mój pomocnik – główny księgowy majątku Rosjanin Maczuła, oraz dawny służący właściciela majątku Bolesław W.<sup>16</sup> – Parę słów o nich.

Maczuła – Rosjanin spod Tambowa w zamęcie rewolucji październikowej zawadził o polskie kresy, tak się w nich zadomowił, że już od nas nie wyjechał.<sup>17</sup> Wśród wielu księgowych, jakich znałem, przeważnie ludzi poważnych, statecznych, umiarkowanych, pedantów itd., ten,

<sup>15</sup> Mowa o rzece Sławce (w części biegu w okolicach Mełgi – zwanej „Mełgiewką”). Warto dodać, że za zniszczenie mostu na Wieprzu pod Ciechankami (Łęczyńskimi) we wrześniu 1943 roku Niemcy nałożyli na gminę mełgiewską 100 000 zł kontrybucji.

<sup>16</sup> W istocie – mowa jest o Bolesławie Matyjaśkiewiczu.

<sup>17</sup> Tekst Fijałkowskiego został opublikowany w okresie PRL-owskiej cenzury, która dbała m.in. o to, aby nie ukazały się żadne publikacje, które by kwestionowały dogmat o powszechnym poparciu dla „władzy robotniczo-chłopskiej”. Tymczasem właśnie w rejonie Tambowa miały miejsce w latach 1918-1921 wielkie rozruchy



mimo 65 lat, odznaczał się ogromną fantazją, znakomitą poczuć humory i wigorem nad stan. Dopełnialiśmy się wzajemnie i można powiedzieć, że osiągnęliśmy właściwy poziom techniki obcowania ze wszystkimi szalejącymi obok nas żywiołami. Dopomagał nam w tym Bolesław, stary wyga, przechera i cynik. Wszyscy trzej zgrani byliśmy doskonale i orientowaliśmy się w aurze każdego nadchodzącego dnia, który niósł różne niespodzianki. A jednak przeżyliśmy wspólnie jeden wieczór, który zaskoczył nas i dostarczył niezapomnianych wrażeń.

Nad wieczorem zjawiała się u nas grupa gestapo (piętnastu ludzi) i poczuwszy się u nas jak u siebie zażądali Kaffee, Eier, Butter, Wurste, Marmelade und Schnaps [kawy, jajek, masła, kielbasy, marmolady i wódki]. Po godzinie libacji towarzystwo było dostatecznie «gotowe». Wieczór zapadał, a im nie śniło się nawet nas opuścić.

Tymczasem około dziesiątej wtargnął do domu sztab BCh (też piętnastu ludzi), który uważał nas za bazę operacyjną. Gdy oświadczyłem komendantowi, że gości u nas gestapo ten spojrzął na mnie tępym wzrokiem człowieka, który popijał przed chwilą z samym diabłem i oświadczył: „Mam ich w du...”. Okazało się, że był już urżnięty, podobnie jak i jego towarzysze. Nie było rady, wprowadziłem ich do drugiej sali po przeciwległej stronie korytarza.

Tak tedy obaj z Maczułą mieliśmy pijane gestapo w jednej, a niemniej pijanych partyzantów w drugiej sali.

Co począć? Lada chwila mogła się zacząć strzelanina o niewiadomym wyniku. Wtedy zjawił się Bolesław, a uświadomiwszy sobie sytuację, spojrzął na mnie świdrującymi oczkami i oświadczył bezapelacyjnie.

– Wódki! Natychmiast trzy litry wódki i niech piją!

W mig dwa gąsiorki tak zwanej kontyngentówki były w pogotowiu. Pozostawało nam tylko krzątać się w roli gościnnych gospodarzy i dolewać.

Działo się to w półmroku, bowiem elektryczność była popsuta. Mimo zamroczenia wódką, instynkt samozachowawczy kazał wszyst-

---

przeciwko zaprowadzaniu «porządków sowieckich», a w szczególności przeciwko bezpardonowym rekwizycjom żywności i produktów rolnych przez bolszewików. Nie jest wykluczone, że Józef (vel Osip) Maczuła opuścił Rosję w związku z tymi rozruchami.

kim gościom zachowywać się względnie cicho. Żarli i pili! A my krążyliśmy między nimi z butelkami, jak duchy. Po pewnym czasie jednak przestaliśmy panować nad sytuacją.

Jeden z gestapowców pod wpływem naładowanego brzucha, wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza i... o zgrozo! W mojej obecności natknął się na udającego się podobnych celach na dwór partyzanta. Trzasnęły latarki elektryczne, spojrzeli na siebie groźnie, a ja na nich.

Bomba... spaliła na panewce.

Obaj przeciwnicy uszanowali się wzajemnie, jeden drugiemu ustąpił i każdy poszedł swoją drogą. Stopniowo obie grupy śmiertelnych wrogów zaczęły się wynosić, a nad ranem zasiedliśmy, ja, Maczuła i Bolesław do resztek wspianiałej uczy.

– Tchórze – zawyrokował Bolesław.

– Dyplomaci – skorygował Maczuła.

– Pijacy – zakończyłem ja.

#### **4. Wielkanoc nad Wielkanocami**

Tego roku przeżyliśmy Wielkanoc nad Wielkanocami!

Ponieważ tego czasu jadło się w Polsce na wsi mimo przelewu krwi nie najgorzej, spiżarnia nasza zaopatrzona była jak należy. Samogonu nie brakło, kury mimo przerzedzenia niosły jeszcze jaja, a kielbas i szynki jak na złość nie brakowało.

I oto nagle do dnia w pierwszy dzień Wielkiej Nocy... zbudzono nas wystrzałami z pistoletów.

Okazało się, że cała gmina była obstawiona gestapowcami, którzy mieli przeprowadzić tak zwaną akcję pacyfikacyjną, jako odwet za pół roku temu wysadzony most i zrabowany przez partyzantów pociąg. Niewątpliwie nie wiedzieli oni, że byliśmy w tej akcji zaangażowani. Wszystkich chłopów za wyjątkiem starców w ilości około dwustu osób spędzono przed koszary służby folwarcznej i ustawiono w dwa szeregi ze mną na czele na baczność, obstawiono drabami z gestapo i wzięto się do plądrowania spiżarni.

W ciągu dwóch niemal godzin musieliśmy patrzeć jak ci niewiarogodni barbarzyńcy pożarli wszystkie szynki, jaja, kielbasy, salcesony, zapili samogonem, zaczęli nam śpiewać *Deutschland über alles*,

a potem zagnali nas na wielki cmentarz przy kościele, wraz z innymi grupami ustawili w cztery szeregi pod kątem prostym, a naprzeciw nas ustawili siedem maszynek gotowych do splunięcia. W tej pozycji przetrzymano nas trzy następne godziny, a my nie wiedzieliśmy nawet, czy nas rozstrzelają czy nie!

Po upływie tych godzin zapędzili nas w ostrym marszu do Lublina na zamek, gdzie wtoczyli nas do kilku pustych sal i tam spędziliśmy straszłą noc w smrodzie, duszności i w piekielnym ścisku. Nad ranem zaczęto nas sortować, a ja najniespodziewaniej w świecie, podobnie jak kilku starszych włodarzy i fornali, zostaliśmy zwolnieni. Było to na skutek interwencji Trauego, który bał się, aby gospodarstwa nie zostały doszczętnie ogołocone z ludzi.

Gdy tylko zostałem zwolniony, po spożyciu skromnego posiłku (bo wszystko było zjedzone) udałem się do gminy, gdzie urzędował wybitny i wpływowy volksdeutsch Orzechowski (rodem z Łodzi i nic nie mający wspólnego z Niemcami). Łączyły mnie z nim zawsze poprawne stosunki.

Gdy znaleźliśmy się w cztery oczy oświadczyłem mu.

– Pan mnie zna i ja pana też. Wiemy, co każdy z nas może się po drugim spodziewać.

Milczał. Spojrzałem mu prosto w oczy... Nie spuszczał swoich.

– Pan wie, co się stało?

– Tak jest!

– Otóż ja przyszedłem do pana z prośbą, raczej z żądaniem, aby pan użył wszystkich swych wpływów dla uwolnienia tych ludzi, z których większość jest niewinna, o czym pani wie!

– Tak jest! – potwierdził.

– Jeśli pan tego nie uczyni, ja osobiście zajmę się panem. – Zachnął się. – Ale ani na chwilę nie wątpię, że pan uczyni wszystko, co będzie w pana mocy. – Wstał.

– Panie Fijałkowski, daję panu słowo, że uczynię to, gdyż jako przewodniczący gminy uważam to za swój obowiązek, bez względu na politykę.

Wyciągnął rękę.

Nie zdradził mnie [...] – nie złamał słowa. W ciągu paru miesięcy większość ludzi powróciła z zamku. Pozostali ci, co do których były podejrzenia, że należeli do partyzantki.

## 5. Polowanie z kreislandwirtem

Atmosfera dokoła robiła się coraz gorętsza; wyczuwało się, że Niemcy cofają się i że przyjdzie na nich sądny dzień.

A tymczasem kominy Majdanka dymiły nadal spalenizną ciał ludzkich.

W ciągu dnia panami byli Niemcy, a w ciągu nocy – partyzanci.

Z tego okresu utkwiła mi w pamięci scena z polowania między mną a kreislandwirtem Traue.

Przyjechał kiedyś ustrzelić w lesie parę zajęcy, bo żołądek jego oraz jego przyjaciel domagał się gwałtownie mięsa. Zrobiłem dla niego dwa mioty<sup>18</sup> w zagajniku. Zabił ich cztery, pozostał jeszcze jeden miot. Staliśmy na drodze leśnej, a nagonka powoli przemykała się gąszczem ku nam.

Za parę minut mógł wyskoczyć kot.<sup>19</sup>

Zwrócił się do mnie z obleśnym uśmiechem i spytał.

– Pan myśliwy?

– Tak.

– Dawno pan strzelał?

– Przed wojną – odrzekłem.

– A miałby pan ochotę na jednego Hase [zająca] ..., he?

Milczałem.

– Proszę, niech pan sobie zrobi tę przyjemność. – I podał mi broń.

Wziąłem ją z rąk Niemca i odstąpiłem o krok. Słońce świeciło, a nad nami wisiały dymy Majdanka.

Patrzyliśmy sobie w oczy.

Nagle pod wpływem niepohamowanej przekory spytałem, trzymając fuzję w pogotowiu:

– Pan się nie boi?

– Nie rozumiem – odrzekł zaskoczony.

– Ich bin doch ein Feind [Jestem przecież pańskim wrogiem]! – powiedziałem dobitnie. Patrzyliśmy na siebie, a w tym spojrzeniu wyraziliśmy zda się wszystko, co mieliśmy na sercu.

<sup>18</sup> W języku łowieckim: część lasu, z którego nagonka pędzi zwierzynę podczas polowania w kierunku myśliwych.

<sup>19</sup> W języku łowieckim: zając.

– Nie boję się – odrzekł.

Tak, gdybym do niego strzelił, byłby to z mej strony czyn szaleńca. Poprzestawszy na geście dialektycznym oświadczyłem:

– Śrut jest tylko na zającą. – W tej chwili wyszedł kot. Spudłowałem. Speszył mnie ten Niemiec, którego miałem już na muszce. Rozstaliśmy się uprzejmie i poprawnie.

## 6. Talizman

Innym razem dla kontrastu, dane mi było zetknąć się z Niemcem zgoła innego pokroju.

Było to na komisji końskiej, które zwoływano periodycznie, aby zafasować [zarekwirować] najlepsze konie z majątków dla Reichu, dla kawalerii. Komisje te odbywały się w Łęcznej, gdzie robiliśmy rozpaczliwe wysiłki, aby nam tych koni jak najmniej zabrano. Zazwyczaj dla komisji złożonej z Niemców wydawaliśmy obiad z sutym napitkiem, aby wytworzyć atmosferę przychylniejszą dla targów. Prezesem komisji był jakiś emerytowany pułkownik,<sup>20</sup> a jego sekretarzem – wojskowy w randze kapitana o przyjemnym obliczu człowieka obecnego, ale nieprzytomnego.<sup>21</sup>

Miał duże, niebieskie, marzycielskie oczy i, mimo wyraźnego podniecenia alkoholem, zachowywał się w odróżnieniu od kolegów jakoś inaczej. Starłem się zagać z nim intymniejszą rozmowę, co mi się niespodziewanie udało, gdyż zaczęliśmy rozmawiać o licznych reprodukcjach obrazów pozawieszanych na ścianach salonu, w którym urzędowaliśmy. Był tam Kossak, coś Jacka Malczewskiego, Böcklin i inni. Okazało się, że rozmówca mój był malarzem znanym w Berlinie (nazwiska zapomniałem). Miał on duże uznanie dla sztuki polskiej i wypowiadał ciekawe sądy o takich malarzach, jak Ślewiński, Makowski, Boznańska.

Gdy rozmowa zdawała się coraz bardziej kordialna, zauważyłem nagle, że do złotej bransoletki na jego prawej ręce przypięty jest medalion rzadkiej piękności. Gdy zagadnąłem go, że zapewne chroni tam podobiznę jakiejś pięknej kobiety, odrzekł, że nie jest to podobizna, ale ucięte włosy i to nie kobiety, ale małej dziewczynki.

<sup>20</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>21</sup> Osoba niezidentyfikowana.

– Może córki? – spytałem delikatnie.

– Nie, to włosy waszej dziewczynki, Polki, której uratowałem życie.

– Kiedy?

– Teraz, podczas wojny.

Zdumienie moje nie miało granic, zwłaszcza, że dymy Majdanka ciążyły nad nami jak zwykle.

– Czy to możliwe? – zapytałem.

– Tak – odrzekł – czasem nawet włos może przydać się w nieszczęściu. Było to na rynku w Piątku, który zdobywaliśmy. Bitwa gorzała, a ja znalazłem się z moim oddziałem motocyklistów obok płonącego domu, skąd wybiegła na wpół obłąkana kobieta, wołając, że najmłodsze dziecko pozostawiła w płomieniach. Momentalnie kazałem umoczyć worki w studni, obłożyłem się nimi wraz z kolegą i wszedłem do płonącego domu. Po chwili wyniosłem płaczące dziecko, któremu nic złego się nie stało. Zawsze kochałem dzieci. Biedna matka nie wiedziała, jak mi dziękować; zwróciła się do mnie tylko ze słowami: „Co mam dla pana uczynić przez wdzięczność?” „Niech Pani obetnie pukiel jej złotych włosków, które schowam do medalionu, a kule na pewno nie będą się mnie imać.” Nieomal uwierzyłem w to, co powiedziałem! Oto włosy tej dziewczynki (tu otworzył medalion), a ja pozostałem z kompanii sam tylko. Kompanów moich wszystkich wyniszczyliście na błotach pod Piątkiem.

Spojrzał na mnie wzrokiem człowieka, w który nagle odezwało się to drugie „ja”, tak rzadko dochodzące do głosu, a dające o sobie znać tylko w wyjątkowych chwilach życia.

Uściśnąłem mu dłoń.

## 7. Słupnicy

Nastał rok 1944. Na początku tego roku przeżyliśmy emocję charakterystyczną dla trybu ówczesnego życia.

Gestapo raz po raz zapuszczało wywiadowcze sieci, chcąc odkryć źródło spędzających sen z ich oczu, a wciąż powiększających się partyzantek. No i najczęściej wyławiali ludzi Bogu ducha winnych. Podejrzewali wszystkich; nerwy coraz częściej odmawiały im posłuszeństwa.

Kiedyś, pod nieobecność Maczuły i Bolesława, dopytywał się o nich przejezdny gestapowiec. Pojechali za jakimiś osobistymi sprawa-

mi w dość nieokreślonym kierunku. Gdy wrócili i dowiedzieli się o tym, padł na nich błady strach, gdyż obaj mieli nieczyste sumienie. W nocy mogli spać spokojnie – ale w dzień?

Trzeba będzie przez pewien czas gdzieś się ukryć.

Na strychu w zamku, pod drewnianym dachem, który niebawem miano naprawić pod nadzorem samego dziedzica (wspaniała blacha miedziana była już na ten cel zakupiona i zwieziona), istniała skrytka, w której ulokował on co najcenniejsze przedmioty i osobiste archiwum.

Była ona genialnie wydrążona w jednym z bocznych filarów podtrzymujących krokwie u samego boku ściany tuż obok dymnika przykrytego kapturem, widocznym z zewnątrz na wysokości piętra. W skrytce tej mogło się pomieścić czterech ludzi, a deska, którą zakrywano otwór wejściowy, była tak skrzętnie dopasowana do powierzchni filaru, iż chyba tylko diabeł mógł się domyślić, że tam jest jakiś otwór.

Otóż Maczuła i Bolesław w porozumieniu z właścicielem – postanowili czas jakiś spędzać dnie w owej skrytce, chcąc w ten sposób przeczekać niebezpieczny okres, lub doczekać się jakiejś konkretnej o ich poszukiwaniach wiadomości.

Nie sprzeciwialiśmy się temu, mając opracowane na wypadek wywiadu odpowiednie dla nich alibi. Trzeciego dnia pobytu dzielnych mężów na dobrowolnym wygnaniu w słupie drzewa (nazwaliśmy ich „słupnikami”) zjawiał się oficer gestapo<sup>22</sup> ze świtą, który wezwawszy naprzód mnie, a potem właściciela, przeprowadził z nami rozmowę wywiadowczą, nie wymieniając zresztą nazwisk słupników.

Gdy Niemcy wyrazili chęć oprowadzenia ich po zamku, uczyniłem to, wiedząc ich po pustych, ogołoconych salach. Zapytali o strych. Z beczelną miną wskazałem ich schody na górę i otworzyłem przed nimi widok na miejsca mogących się – w ich mniemaniu – znajdować się skrytek. Nie mieli jednak ochoty zagłębiać się w te labirynty, a obrzuciwszy je spojrzeniem znawców, machnęli ręką.

Gdy wróciliśmy do jadalni, na stole stała już butla. Dziedzic, który doskonale sobie w takich razach radził zarówno z bandytami, jak i z gestapowcami, zaczął z miejsca rozpytywać ich o V2.

Oznajmili nam, że Londyn zostanie zniszczony najdalej za dwa miesiące, zjedli, wypili, po czym w doskonałym nastroju ruszyli ku sa-

<sup>22</sup> Osoba niezidentyfikowana.

mochodowi, który stał na podwórzu. Odprowadziłem ich, idąc z nimi tuż obok skrzydła zamkowego, w którym skryci byli słupnicy. Szliśmy obok wspomnianego już przeze mnie dymnika z kapturem, rozmawiając o mającej niebawem nastąpić ofensywie na Anglię.

Nagle zdrętwiałem ze strachu. Przez dwa sterczące nad nami dymniki rozległo się potężne chrapanie ludzi o pełnych żołądkach, lekkim sumieniu i potężnych płucach.

Słupnicy chrapali na dwa tony, dopełniając się nawzajem, co w całości dawało muzykalnemu uchu wrażenie niemal symfoniczne. Mimo wrodzonej muzykalności, nie mogłem poddać się temu wrażeniu, natomiast szarpnięty przez instynkt samozachowawczy zacząłem coraz głośniej rozwódzić się nad geniuszem Hitlera, który za pomocą pocisku raketowego niebawem zlikwiduje potęgę Albionu, władającą od czasów zwycięstwa nad Armadą – nad kolonialnym światem.

Ów nagły przypływ elokwencji wydał się moim rozmówcom nieco podejrzany, gdyż – zadawszy mi kilka pytań, przypatrywali mi się badawczo. Nie zwrócili jednak uwagi na chrapanie! Przepełnęło mimo swych wagnerowskich motywów obok ich germańskich uszu. Ja sam słyszałem je coraz ciszej, coraz dalej, jak echo gry Wojskiego na rogu,<sup>23</sup> aż wreszcie na podwórku odetchnąłem.

Dygnitarze, popatrzywszy raz jeszcze na mnie podejrzliwie, odjechali. Niebezpieczeństwo raz jeszcze rozeszło się po kościach. Złego diabli nie wezmą. A przecież, gdyby się wydało – ja, dziedzic i obaj słupnicy powędrowalibyśmy do Majdanka. Tego wieczora doszło między mną a słupnikami do rozprawy, która skończyła się przy kieliszku.

## 8. Osip i Iwan

Tydzień po tym epizodzie przeżyłem noc, która dodała mi otuchy.

Front wschodni zbliżał się ku nam powoli ale nieustannie, a o coraz większej dywersji na tyłach armii niemieckiej dowiadywaliśmy się z prasy podziemnej.

Kiedyś o północy usłyszałem nieomylnie szczekanie naszego bernardyna; posłyszałem jakieś okrzyki i przekleństwa w rosyjskim języku!

A to co nowego?

<sup>23</sup> Aluzja do wersetów z Mickiewiczowskiego Pana Tadeusza: „Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało”.

Zbiegłem ze schodów i zamiast Bolesława – sam otworzyłem drzwi wejściowe. Wraz z wiatrem wpadł do dworu olbrzymi chłop z dwoma adiutantami, wycelował do mnie z pistoletu, wrzeszcząc po rosyjsku:

– Ty kto takoj – pamieszczik [Ktoś ty – dziedzic]?

– Nikak niet [W żadnym razie]! – odrzekłem.

– A kto?

– Administrator!

– Czort z taboj – dawaj pamieszczika [Idź do diabła – prowadź mnie do dziedzica]!

Poprowadziłem go na górę i zameldowałem nowego gościa. Na dziedzicu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia – wdział szlafrok i wyszedł robić honory domu.

– Ty burżuj? – wrzasnął gość.

– Da, ja burżuj [Tak, jestem burżujem] – odrzekł tamten.

– Nu, rek wizycja! Tak dawaj pięć świnię i berkowiec<sup>24</sup> sacharu [Daj więc pięć świń i berkowiec cukru]!

Dziedzic – jak to było w jego zwyczaju – zaczął targować się z nim. Interweniowałem. Wtedy przyczepił się do mnie.

– Cukru w magazynie nie mamy, ale świnię są – rzekłem.

Rozmowa nie była łatwa, zwłaszcza, że nie był sympatycznie usposobiony ani do większej własności rolnej, ani do administracji budynku.

– Berkowiec sacharu [Berkowiec cukru]! – powtórzył, przykładając mi pistolet niemal do głowy.

Nagle wpadłem na genialną myśl.

– U nas jest wasz ziemiak [rodak] – Maczuła z Tambowa!

– Czto? – zdumiał się. – Iz Tambowa? Ja tożę iz Tambowa – dawaj jewo [Z Tambowa? Ja też jestem z Tambowa – prowadź mnie do niego]!

Chwycił mnie pod rękę i spłynęliśmy po schodach. Idąc w kierunku oficyny, usłyszałem kwik zarzynanych świń. Zacząłem stukać do mego przyjaciela.

– Kto tam?

– Ziemiak iz Tambowa – odrzekłem.

Nie chciał mi otworzyć, aż w końcu uczynił to na moją odpowiedzialność.

<sup>24</sup> Rosyjska miara wagi – równa mniej więcej ok. 150 kg.

Gdy zobaczył draba, zaczął wpatrywać się w niego. Z początku podejrzliwie, a potem coraz jaśniej.

– Ty – towariszcz iz Tambowa [Czy jesteś towarzyszem z Tambowa]?

– Maczuła Spiridonowicz.

– Ojciece miał w rynku sklep i dom z ogródkiem, z którego kradłem jabłka. A tobie jak było na imię?

– Osip.

– Toż ty mnie pewno kijem ognił, a ja tobie pokazywałem język. Ja Iwan Piotrowicz Myszkina.

– Wania – wrzasnął Maczuła i otworzył ramiona.

Zaczęli się ścisnąć i całować. Jak się okazało był to znany z odwagi i wspaniałych wyczynów spadochroniarz radziecki, organizujący dywersję na tyłach armii niemieckiej. Zapędził się bestia w miarę cofania się Niemców aż w lubelskie. Już dawno było o nim głośno. Był to zatem nie lada gość! Gdy oba „ziemiaki” zaczęli dogadywać się wspólnych znajomych, Wania w przystępie wezbranych uczuć nagle zaczął wyrzekać się wszystkich zdobytych od nas świń na rzecz swego przyjaciela Maczuły. Trudno go było od tego odwieść, ale w końcu zrezygnował. Zjawiła się butelka i nowi przyjaciele solidnie przepili, dopuszczając mnie do towarzystwa.

– Na zdrowie niezwyciężonej Armii Czerwonej!

Dowiedzieliśmy się od niego, że Niemcy uciekają na grandę i że niedługo już...

## 9. Nach Grünwald

Od tej chwili wypadki potoczyły się jak lawina. Nadeszła godzina, gdy posłyszeliśmy huk armat i bomb od strony zbliżającego się frontu. Żandarmeria i urzędy niemieckie nagle spuściły o dwie oktawy z tonu, a choć nie dawali tego znać po sobie, to jednak zaczęli się nas bać. Administracja Majdanka zatrzeszczała, a dyrektor więzienia, pan na zamku – zniemczały Czech,<sup>25</sup> nagle pierwszy odezwał się w rozmowie z któryms z naszych:

<sup>25</sup> Komendantem więzienia na Zamku Lubelskim był Paul Peter Domnick. W dokumentach podawał, że urodził się w Wartenburgu (obecnie: Barczewo) i że językiem obcym, który zna, jest polski. Był to zatem nie Czech, lecz Mazur; *nb.* niektórym więźniom mówił o sobie, że jest Ślązakiem.



– Z Niemcami źle!

Był to eks-dyrektor cyrku, żonaty z wołyżerką.<sup>26</sup> Kochali się oboje w koniach i można było, pod pozorem zamiany koni, dobrych na gorsze, których się pozbywali – wyjednać dla niektórych więźniów znośniejsze warunki bytowania. Zarząd więzienia pierwszy szykował się do ucieczki!

Partyzantów spotykało się już nie tylko w nocy, ale i w blasku słońca. Wielki dzień, na który czekaliśmy przez pięć lat męki – powoli zbliżał się, aż nadszedł.

Zjawiły się nad nami radzieckie bombowce i jęły prażyć uciekających szosami Niemców. Pociągi ewakuacyjne grzmiały jeden za drugim... Nach Vaterland [Ku ojczyźnie]! I oto ożyła nagle aktualność piosenki Boda... oraz napisy na wagonach z artylerią konną, jadącą na front w 1939 roku: Nach Grünwald [Na Grunwald].

Naród «panów» powalony został na kolana za pychę, za zbrodnie popełnione nad dorobkiem cywilizacyjnym Europy, za sprzeniewierzenie się podstawowym zasadom humanizmu, za podporządkowanie się zbiorowej psychozie, którą rozniecił w nich ich przywódca, potworna karykatura Nietzscheańskiego «nadczołowieka».

Nadszedł jednak dzień sądu, który stał się dla nas dniem wyzwolenia.

### 10. «Odwet» na zwyciężonym

Spośród wielu spraw, które jak w filmie, wyświetlanym przez historię przesuwwały mi się przed oczami w Lublinie i obok nas – utkwіło mi w pamięci jedno zdarzenie, które mi dało satysfakcję rozprawienia się z wrogiem w odwet za matkę i za wszystkie krzywdy i upokorzenia doznane czasu tej wojny.

Gdy znaleźliśmy się na odcinku frontu, który opuszczony został przez Niemców, a nie zajęty był jeszcze przez zwycięzców – przeżyliśmy chwile chaosu i zamętu. Z powietrza prażyły uciekających Niemców bombowce radzieckie, a lasy i pola wypełnione były maruderami częściowo rozbitej armii.

W pociąg sanitarny, wiozący z frontu rannych oficerów i podoficerów SS, który przejeżdżał przez nasze pola – trafiła bomba i unie-

<sup>26</sup> Osoba niezidentyfikowana. Według świadectwa więźniów – była to pokojówka z Elku; ona także mówiła po polsku (choć gorszej niż jej mąż).

ruchomiła go. Ranni, którzy rozporządzali resztą sił, poczęli masowo wypełzać z wagonów i uciekać... przed siebie. Była to ucieczka beznadziejna. Pola wypełniły się widmami ludzkimi w postrzępionych mundurach, pasiakach, obwiązanych bandażami – i o laskach i kulach... Herrenvolk na dzień upadku!

Wielu z nich chroniło się do lasu w strachu przez zemstą ludności. Spotkałem pośród nich nagiego, obandażowanego chudzielca, przykrytego dywanem, który dosiadłszy na łacie pasącego się osła – jechał na nim przed siebie z błędnymi oczami, raz po raz pokrzykując z bólu.

Gdy ta fala widm odpłynęła, wróciłem do pałacu, gdzie na żądanie *ad hoc* zaimprovizowanego zarządu gminnego, urządziło się szpital dla rannych żołnierzy radzieckich i niemieckich, który nie byli w stanie iść już o własnych siłach. Była to inicjatywa jednego ze starych gospodarzy. Taki – ot – naturalny odruch humanitarny. Mieliśmy na wsi ośrodek zdrowia, doktora<sup>27</sup> i dwie siostry, które natychmiast objęły urządowanie. Stwierdziwszy, że na sali znajduje się już około dziesięciu osób, leżących na siennikach i poznoszonych łózkach, a doktor i siostry udzielają im pomocy, powróciłem do parku, aby zorientować się co się, dalej dzieć będzie. Przechodząc obok narożnika muru, skąd drzwi wiodły do piwnicy, będącej pomieszczeniem dla narzędzi ogrodniczych – usłyszałem nagle jakiś szelest i jęki, dobywające się z głębi klatki schodowej. Zaciekawiony, zszedłem na dół i nagle w półmroku zobaczyłem na pół leżącego i opartego plecami o mur z rozpiętym wojskowym mundurze – majora SS z odznakami w kształcie narzędzi tortur na kołnierzu... i orderami na piersi.

Był to wspaniały typ nordycki o jasnych oczach i blond włosach. Mógł mieć około czterdziestu lat. W drapieżnym jego spojrzeniu czaiła się rozpacz, wzmożona jeszcze przez tępy ból w ranie na boku, która świeciła bandażami spod munduru. Prawdopodobnie odłączył się od kowrodo widm, podążających w przestrzeń i na skutek utraty sił schronił się w parku do piwnicy. Leżał i jęczał, z trudnością poruszając się.

Nagle ujrzał mnie. Zbladł i zatrzęsął się. Patrzyliśmy na siebie. Nie był w stanie oderwać swoich oczu od mego miażdżącego spojrzenia, wyczytał w nich bowiem wyrok śmierci. Przeczuwał, że zastrzelę

<sup>27</sup> Mowa o doktorze Marianie Lisowskim.

go jak psa. Drżał na całym ciele. Włożyłem ręce w kieszeń i pokiwałem głową z wyrazem najwyższej pogardy i obrzydzenia. Stanął mi przed oczami Majdanek, Aleje Szucha, moja matka i setki pomordowanych krewnych, przyjaciół i znajomych. Ten Niemiec był uosobieniem zła, które już blisko sześć lat ciążyło nad nami. Czułem doskonale, że nie nawidzi nas i że ma niejedną ofiarę na sumieniu.

Niema rozmowa między nami trwała już dobrą chwilę, gdy nagle do piwnicy zajrzeli dwaj ludzie.

– Brać go! – ryknąłem, wskazując prosto na niego.

Podbiegli i podnieśli go...

– Pod mur!

Wstrząsnął nim blady strach. Wywlekli go po schodach z trudem, a ja tymczasem szepnąłem – jednemu z nich do ucha:

– Do szpitala.

I oto zamiast pod murem – czego spodziewał się – znalazł się w obszernej sali w obliczu doktora i dwóch sióstr w białych fartuchach. Wnieśli łóżko, położyli go na nim, a ja raz jeszcze spojrzałem mu w oczy. Patrzył na mnie z najwyższym zdumieniem; nie było w nim nic z rycerza, nic a nic.

Nad wieczorem, po odprawieniu licznych spraw, wróciłem do izby chorych do mojego jeńca. Leżał z przymkniętymi oczyma. Spytałem doktora o stan jego zdrowia.

– Wytrzyma. Tęgi byk!

Miał zaatakowane kiszki. Przyszła siostra z zastrzykiem. Błysnęła mi sadystyczna myśl!

– Tę przyjemność to ja już biorę na siebie – rzekłem po niemiecku.

– Niech poczuje rękę wroga... proszę zostawić nas samych.

Ocknął się, spojrzał, a gdy zobaczył mnie ze strzykawką w rękę – zbładł. Był pewny, że to jakaś wyrafinowana tortura, jak na Majdanku. I nie omylił się. Przytrzymał skórę, wbiłem mocno igłę. Krzyknął, a jednocześnie niemal zgłupiał. Wtedy ja dałem folgę językowi.

– Myślałeś, że Polak dobija rannych, tak jak ty; a tymczasem patrz, jak się obchodzimy ze zwycięzonymi i ucz się. Zabiliście mi matkę, brata żony, męża i syna jej siostry oraz miliony innych bezbronnych i niewinnych. Uważacie się za rycerzy, chcecie tworzyć nowe prawa na ziemi,

a tymczasem jesteście nikczemni tchórze, a odważni wobec słabych i pokonanych.

Oparłem się ręką o łóżko, a on tymczasem uchwycił ją i chciał przycisnąć do ust. Wyrwałem ją, splunąłem i wyszedłem.

Prawdopodobnie, gdyby spotkał mnie z rewolwerem bezbronnego, palnąłby mi w łeb. A może trzeba było zrobić to samo?!

Nie potrafiłbym!

## 11. Nadzieja

Następne dni mijały w oczekiwaniu. Fala wojny stopniowo oddalała się od nas. Wyczuwało się, że jakiś ciężar, który przez lata całe przygniatał nam piersi i gwałcił w nas istotę człowieczeństwa – nagle ustępuje. Wdychaliśmy przypływ ożywczego tchnienia, a jednocześnie czuło się, że nad nami, nad Europą i nad światem całym coś się rozgrywa, coś rozsypuje się w gruzy, rozpada, a jednocześnie nadpływa nowa fala dziejów.

Wyszedłem w pole. Szumiały dojrzewające zboża.

Należało przygotowywać się do sprzętu, bo bez względu na takie lub inne wypadki historyczne – praca rolnika w istocie swej jest zawsze ta sama, nieunikniona, podporządkowana odwiecznym, nieubłagany prawom przyrody. Spotkałem na drodze chłopów z zatroskanymi obliczami, z których jednak wyzierała... nadzieja.

Gdy wróciłem do domu, spotkałem na podwórzu wojskowy oddział «radzistów» (radiotelegrafistów), którzy podczas mego spaceru zagospodarowali się na folwarku. Byli to nasi chłopcy w rogatych czapkach z oddziałów imienia Kościuszki. Uściskałem się z nimi.

Byli oni zapowiedzią nowego rozdziału naszej historii, która jest nieśmiertelna.

## 12. Wstrząs<sup>28</sup>

Pojawienie się oddziałów polskich w rogatywkach po sześciu latach beślonecznych dni i nocy bez gwiazd wywołało wstrząs!

<sup>28</sup> Ten i następne paragrafy pochodzą z nieopublikowanego maszynopisu Fijałkowskiego *Dalszy ciąg wspomnień*, spisanych w 1972 roku – a więc już po opublikowaniu wspomnień [Fijałkowski 1962].

Parę dni temu spotkałem starego Bzdyka na dworskim polu z garścią świeżo wyoranej ziemi. Rozcierał ją lubieżnie ręką.

– Panie, co będzie?

– Nie wiem – odrzekłem.

– Za kim iść? – wygarnął. – Za Mikołajczykiem czy za Wasilewską?

Był już wtajemniczony w nowe problemy, które razem z rogatą czapką zarysowały się dziś nagle i wyraziście nad szarymi działkami lubelskiej ziemi.

– Chłopaki rozgościły się u nas jak u siebie!

Rozmowa potoczyła się wartko. Był to jakby pierwszy, dyskretny uśmiech historii skierowany ku nam. Nie pierwszy i ostatni – pomyślałem witając się z dowódcą oddziału «radzistów», którym był Rosjanin Nietkin, nieźle mówiący po polsku, również w rogatywce z orłem. Z miejsca lojalnie ustosunkował się do mnie jako do administratora dużego majątku – prosząc o wyznaczenie należytą i wygodną kwatery.

– Przechodzić będą tędy liczne pułki – rzekł. – Jesteście tu na historycznym trakcie.

– Dokąd?

– Nach Berlin!

W tej chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich Maczuła, były ochotnik armii Bałachowicza z poprzedniej wojny, he, he, mimo że podszyty strachem z pewnością siebie podbiegł do majora i zachrypłym głosem starego pijaka wrzasnął „Zdrowstwujić!”, po czym rozplakał się szczerze. Wnet pojawiła się butelka starki i pięć kielichów dla sztabu.

Ja tymczasem pomaszerowałem z kwatermistrzem, by przygotować pokoje dla pięćdziesięciu osób przydzielonej załogi i sprzętu. Idąc myślałem: W porę zjawili się! Żyto już trzeci dzień gotowe do cięcia – stało coraz niżej chyląc kłosa prażone przez słońce, a moja brygada na wieści rozpuszczone w Lublinie dostała jakby zbiorowego paraliżu i ociągała się wyjść na dworskie pola. Jednak na drugi dzień po zjawieniu się rogatych czapek stanęła z kosą i sierpem jak jeden mąż.

Tak to wraz z przybyciem polskiego żołnierza ze wschodu, a nie – jak to powszechnie oczekiwano – z zachodu, rozpoczął się dziejów polskich rozdział nowy, Jakim będzie? Co z sobą przyniesie? Czy dobro, czy zło? Do licha! Naród polski zbyt wiele dawał znać o sobie w ciągu

dwudziestu lat po wskrzeszeniu państwa, a ta druga wojna wybuchła przecież o Polskę! Tak czy inaczej – musi być dobrze! Wrodzony optymizm nie pozwalał mi zwątpić o tym ani na chwilę. Przecież samostanowienie narodów, owo naczelne hasło Traktatu Wersalskiego, popierane przez cały świat, jest już chyba nieodwracalne. Postawa chłopów i robotników, mając swą milczącą na razie wymowę, była pozytywna i nieprzejednana.<sup>29</sup> Nie zginiemy!

Z wielką radością patrzyłem jak ci, którzy jak jeden mąż przed sześciu laty stanęli na mobilizacyjny zew, dziś znowu jak jeden mąż stanęli do pracy w polu.

### 13. Dziedzic

Poszedłem do pałacu odwiedzić dziedzica. Wielkie rulony miedzianej blachy leżały na dziedzińcu, a z oddali słychać było kanonadę ciężkiej artylerii i czołgów pracujących naprzód za uciekającym nieprzyjacielem. Koniec pieśni! Ale dalszy ciąg epopei jeszcze trwa. Co nam przyniesie, co się stanie z tym majątkiem – pomyślałem marginesowo. Dach pałacu częściowo pokryty lśnił w słońcu, ale czy i kiedy i kto go ukończy, trudno przewidzieć.

Dziedzic przyjął mnie w szlafroku z miną jakby nic się nie zmieniło ani w kraju, ani w jego posiadłościach. Miał już wówczas 78 lat<sup>30</sup> i robił zawsze na mnie wrażenie jakby nigdy nie przeżywał prawdziwej młodości. Obok Ordynacji Zamoyskich – był bodaj największym latyfundystą w Lubelskim. Poza tytułem własności dość zapuszczonego majątku – społecznie niczym się nie legitymował. Był jednak swego rodzaju indywidualnością. Uważał, że mimo zadłużenia swojego warsztatu, nie wolno mu ani kawałka ziemi sprzedawać, gdyż byłoby to sprzeniewierzeniem się tradycji przodków. Może tylko kupować. Niewątpliwie wzbudził on moje zainteresowanie swymi dziwactwami i sympatię swą odwagą. Dał jej dowód „bijąc w mordę” bezirkslandwirta Wilczka, gdy ten ostatni w czasie gorętszej dyskusji ośmielił się go pchnąć. I o dziwo ów zniemczony Polak ze Śląska został po tym fakcie zawieszony w

<sup>29</sup> Trudno powiedzieć, w jakim stopniu opinie tu i niżej wyrażane przez Fijałkowskiego odzwierciedlały jego rzeczywiste poglądy.

<sup>30</sup> W istocie Zygmunt Rulikowski w 1944 roku miał 70 lat. Por. też przyp. 9.



czynnościach przez kreislandwirta Trauego. Mając osobiste porachunki z Wilczkiem stanął on po stronie Polaka, który kolegował z jego ojcem w Halle i był również ziemianinem.

Dziedzic uczył mnie dobrym koniakiem, a na wiadomość, że pojawili się żołnierze polscy ze wschodu – machnął lekceważąco ręką i zaczął rozmowę o jakichś śmieciach, które należy wywieźć. Na moje zapytanie o dach i zwrócenie uwagi, że to może inwestycja nie na czasie, odrzekł wyniośle:

– To moja rzecz. Nie mogę przecież mieszkać bez dachu nad głową. . .

Westchnąłem nad losem ziemiaństwa. Historycznie kończąca się warstwa, obfitująca w śmiertelne grzechy, a jednocześnie i rzadko spotykane cnoty, często z galerią wspaniałych typów, chyliła się niewątpliwie od wielu lat ku upadkowi.

#### 14. «Współgospodarze»

Była niedziela.

Zapowiedź wojsk, które niebawem ciągnąć będą przez Mełgiew do Berlina i to w towarzystwie naszych rogatywek, wypełniła mnie podwójnym niepokojem – jak to prowadzić w tych warunkach gospodarstwo, no i, do licha, jak to się wszystko rozgrywać będzie na naszych umęczonych bojami i przez Niemców ziemiach, jak ułożyć się stosunki polityczne w Europie i kto będzie jej panem?

Co do pierwszych spraw – miałem już dostateczne doświadczenie, gdy – jak to powiedział jeden mój sąsiad małorolny z Kutnowskiego:

– Daliśmy sobie radę z sanacją, daliśmy z Niemcami, to przecie i z Rusami nie będzie chyba gorzej.

Stwierdziwszy, że żona zajęta jest niekończącą się nigdy reperacją bielizny, a córka kuje do egzaminu, poszedłem na podwórze, nie mogąc otrząsnąć się z myśli, które obsiadły mą głowę jak natrętne ptaki. Po drodze słyszałem nieco zachrypnięty głos Maczuły. Jak dobrze, że go tu mam! Był zawsze gotów na wszystko. Lubił nucić: *Boże Stalina chrań*.

– A to co? – spytałem go.

– Pochoż na Pietra Wielikiego – nie znajduje pan?

Wołałem nie odpowiadać. Przedwcześni władzą byli jeszcze Niemcy. Nagle stało się. Przede mną zjawił się nowy kwatermistrz.

– Pułkownik Myszkina ze sztabu dla wojskowej ochrony uwolnionych rejonów zielonych.

Poszliśmy z kwatermistrzem obejrzeć lokal i w ten sposób zaczęła się pracowita niedziela. [...]

Nazajutrz przyjechał Myszkina z dwoma oficerami, sekretarką i rozgościł się we dworze. Mieliśmy więc współgospodarzy [...].

Ludzie wyszli w poniedziałek w pole o godzinę wcześniej bez przynaglenia, a puszczane w ruch maszyny i wiązalki ciągnięte przez traktory zawarczały.

Tymczasem zjawił się nowy dygnitarz w osobie komisarza do spraw kontyngentów dla wojska. Kazał zwołać zebranie służby folwarcznej w samo południe. Ledwie mieli czas zjeść obiad. Na zebraniu wygłosił propagandowe przemówienie – sławiąc zwycięstwo sowieckich wojsk, uczynił mnie osobiście odpowiedzialnym za zbiory, podporządkowując mi równocześnie ludzi pracujących w polu na prawach wojskowych.

Uśmiechał się zresztą do wszystkich towarzyszy przyjacielsko i przy każdym frazesie bił sobie brawo, dając słuchaczom na migi zlecenie, aby robili to samo. Całe podwórze rozbrzmiało oklaskami, po czym wszystkich wyrzucił w pole.

Dopiero wieczorem zauważyłem, że powracając po ciężkiej pracy w upalny dzień, wszyscy miny mieli jakby zgazowane i rozczarowane.

Gospodarstwo było przygotowane do żniw i do siewów na 102%; kasa i książki podciągnięte *à jour*, nad czym czuwał Maczuła, który z całym oddziałem «radzistów» i z towarzyszem Nietkinem był już za pan brat.

Od dnia tego co dzień niemal miałem wieczorem wizyty Batalionów Chłopskich, które nie zdemobilizowały się jeszcze i wciąż były bardzo ciekawe, co się we dworze dzieje. Łączyła nas zresztą ścisła współpraca z czasów okupacji.

Na zachodzie rozlegała się rześista kanonada, z nieba i z ziemi, która stopniowo jakby cichła i nabierała cech stabilizacji. [...]

#### 15. W roli Polaka

Ciekawa była konfrontacja Myszkina z dziedzicem, który nie wzbraniał się, lecz wspaniałomyślnie oznajmił, że przedstawicielowi

wojsk sojusznicznych musi oddać honory domu. Naradzał się z kucharką, wygrzebał z piwnicy wytrawnego szampana, kazał w lesie uchwycić w sieć zajaca, wydobył surdut i zaprosił pułkownika w niedzielę. Dziedziczka, zajęta korespondencją z hrabiną, odmówiła udziału, oznajmiwszy, że wystąpi, dopiero gdy zjawi się tu jakiś generał.

Prócz mnie miał uczestniczyć w obiedzie jeszcze Maczuła, który miał u dziedzica specjalne łaski jako dawny minister finansów mocno zadłużonego i wymagającego sztuczek finansowych gospodarstwa. Temu powodziło się nienajgorzej. Co prawda małe ciareczki przechodziły mu czasem po plecach, miał bowiem swoje zadawnione białogwardyjskie grzeszki na sumieniu i osobistą znajomość z Bałachowiczem. Posiadał jednak nieocenioną a rzadką u buchalterów pogodę ducha. Swego syna chciał zaciągnąć do szeregów Armii Kościuszkowskiej. Czuł się trochę jakby Polakiem, choć i Rosjaninem jednocześnie; stąd mógł na dwóch stołkach siedzieć, gdyby zaszła tego potrzeba. Z kapitanem Nietkinem popijał niezgorzej, ten zaś z przetrąconą rączką pod Stalingradem i ze swoim oddziałem «radzistów» na przedpolach wielkiej rozprawy, czuł się jakby urlopowo, a jednak aktywnie. Będąc Rosjaninem, był w tym czasie kapitanem Armii Polskiej i z Maczułą «świadczyli» sobie nawzajem. Nigdy mu uśmiech nie schodził z twarzy; czuł się w roli Polaka wyśmienicie; nic szelma nie ryzykował; obaj z Maczułą w razie zmiany wyroków Opatrzności zmieniliby czapki bez większego wysiłku i bez ryzyka.

Lepiej jest grać rolę Polaka – niż być nim naprawdę.

## 16. Durak

Tymczasem w sąsiednich Wierzchowiskach, wielkim majątku Koźmiana, rozgościł się centralny szpital dla rannych i ochwanych koni wielki taborów Armii Rokossowskiego, przeznaczonej do następnej ofensywy. Za zdobycie Warszawy wypito tam już niejedną butelkę.

Kierownik centrali szpitali końskich, rozrzuconych po kilku majątkach, przydzielił sobie w naszym folwarku Jacków stajnię na 50 koni z obsługą fachową pod kierunkiem młodego, również rannego rekonwalescenta z wojny, porucznika Striagina.

Jak *deux ex machina* zjawił się z nim, jako swym adiutantem, i z miejsca obsztorcował Maczułę, że nikt z naszych się jeszcze u niego nie

zameldował. Maczuła po sutej libacji nie stracił postawy, a ośmielony już przez Myszkina i towarzyszy z jego sztabu, zapytał z głupia frant:

– A więc to ludzki szpital?

– Nie ludzki, a koński.

– Nu tak, ja – czujesz – człowiek, a nie koń.

– Ale w charakterze końskiego delegata nie zameldował się u mnie.

Przewinienie karne!

– Winowat.

I tak powstała znajomość między Maczułą, a sztabowym majorem Smorgońskim, emerytem jeszcze z carskiej armii. Przyjaciół samego Budionnego – był typowym carskim oficerem, tak że Maczuła, któremu z miejsca mówił „ty”, poczuł ku niemu szczególny respekt i zaczął go traktować w stylu *ancien regime*. Major był srogim pijaczyną z bardzo mocną głową i wśród kolegów oficerów, na ogół dość umiarkowanych w picu, a nawet rzadko trafiających się abstynentów, był kimś w rodzaju carskiej odmiany Athosa. Pił nie upijając się nigdy. Dlatego pokochał z miejsca Maczułę o niemniej twardej głowie jak brata – i spośród całej kompanii ówczesnych mieszkańców Mełgwi zrobił sobie z niego coś w rodzaju swego błazna, który wciąż musiał mu potakiwać. (Major był codziennym niemal u nas gościem.)

Maczuła z miejsca wpadł we właściwy ton i po wygłoszeniu każdego aforyzmu w stylu zgoła carskim, podskakiwał na baczność i potakiwał:

– Ta toczno, Wasza wysokobłagorodie.

– Tak znaczy ty durak – zagadnął kiedyś znienacka major.

Maczuła tym razem zamilkł.

– Nu czoż ty nie otwiczasz?

– Myślałem, że pan major mówił do siebie – skłonił się uniżenie.

Po takich przekomarzaniach dostawał zwykle pieszczotliwego policzka, po którym musiał zaraz nalać *spiritu*.

## 17. Ikona

Ciekawym okazem był jego podwładny – porucznik Striagin.

Kiedyś, przypadkiem będąc u Maczuły, zauważyłem, że spogląda na ikonę wiszącą w kącie – dyskretnie i lękliwie. Po obiedzie, gdy zostaliśmy sami, zapytałem go:

– Czy to prawda, poruczniku, że u was w Rosji naród odwrócił się od Boga?

Porucznik zachnął się i zbladł, nalał sobie kieliszek wina – co było dość dziwne, bo był abstynentem; tym razem jednak wypił, dodając sobie odwagi, a potem wstał (byliśmy w pokoju sami), otworzył nagłym ruchem drzwi od korytarza, a stwierdziwszy, że jest pusty, zamknął je ponownie, zamknął rozwarne okna, po czym podszedł do mnie i drżąc na całym ciele szepnął z wielką pasją przez zęby:

– Eto nieprawda, nieprawda – uderzył pięścią w stół, który o mało nie pękł.

– Nieprawda, nasz naród rosyjski – rzekł ochrypłym głosem – nigdy ani na chwilę nie odwrócił się od Boga i nie odwróci się nigdy!

Wyprostował się, oczy błyszczały mu; był niemal piękny; cóż, kiedy w chwilę potem znów chyłkiem zajrzał na korytarz, czy kto nie słucha, a potem z lękiem otworzył okno i usiadł wyczerpany.

Byłem zdumiony!

Stwierdziłem potem niejednokrotnie, że mniej lub więcej szczerze wszyscy nasi sojusznicy mówili, gdy nie było świadków, a rzadko w zespole. Zauważyłem również, że zjawiały się wśród nich od czasu do czasu jakieś typy, które choć niepostrzeżone i milczące – wywierały na całe otoczenie magnetyczny wpływ. [...]

### 18. Polskie pany

Nadszedł dzień obiadu, który dziedzic wydał dla pułkownika Myszkina. Wystąpił w przepisowej czarnej marynarce, a Bolesław w liberii i białych rękawiczkach. Na stole zupa rakowa i zając, do tego starka, suflet brabancki i szampan. Wbrew wszelkim przewidywaniom rozmowa z miejsca potoczyła się gładko. Próba zaskoczenia gościa nieco sztuczną postawą nie udała się: trafiła kosa na kamień. Gość był tak naturalny i swobodny, jakimi tylko Rosjanie być umieją – oczywiście nie wszyscy, a Myszkina należał do wybitniejszych okazów starej szkoły. Dobrze reprezentował Moskali.

– Co za wspaniały obiad – rzekł.

– Czym chata bogata – odparł dziedzic.

Myszkina pokiwał głową z uśmiechem.

– Polskie pany niepoprawne.

– Że co?

– Toć przecie wojna, a wy sobie z nią żarty stroicie. Na co te wspaniałości?

– Stary zwyczaj: zastaw się, a postaw się.

– I co z tego przyjdzie i panu, i mnie? Ani gardła u nas takie mocne, ani żołądki takie chwytny. Inne czasy.

– Pan szlacheckiego stanu, he?

– Wsio taki sądzone z pozoru. Jeśli ojciec tam kiedyś był nim, to ja już zapomniał. Świat się zmienia – uśmiechnął się do dziedzica jakby serdecznie.

– Są rzeczy trwałe.

– Nie, panie, wszystko się odmienia. Trzeba iść z młodymi naprzód.

Nie pamiętam już dokładnie słów przez obu dostojnych mężów wyrzeczonych, ale sens ich wyrażał się w tym, że według pułkownika należy żyć w zgodzie z historią, a według dziedzica w zgodzie z sobą i dobrym obyczajem. Gość potrafił sobie jednak zjednać gospodarza, a ja starałem się rozniecić iskrę humoru, który rozbraja, bo ukazuje całą nicość i komizm człowieka [...]

### 19. Żołnierze

Pojechałem do Lublina. [...]

Wróciwszy [...] do domu [...], zastałem ludzi przy pracy. Chłopi spotykając się ze mną mieli na języku jakieś pytanie, ale krępowali się szczerze rozmawiać, bo byłem jednak przedstawicielem dziedzica, który majątek dzierżył. Wójt był ciągle w strachu, bowiem podobnie jak ja nawiedzany był nocą przez leśnych ludzi o różnych «odcieniach», a on sam – choć władza – jeszcze bez broni. [...]

Tymczasem trwało to niezapomniane lato wielkich nadziei, które przeżywaliśmy w ogromnym wysiłku, ale i w harmonii, byle dotrwać i doczekać bez względu, jakim będzie ów oczekiwany kształt odzyskanej po raz drugi Ojczyzny.

Dlatego wesoło był w Mełgwi, a do Maczuły, który dzięki majorowi Smorgońskiemu stał się już sławny w różnych garnizonach i jednostkach bojowych oraz administracyjnych na zapleczu Armii Rokossovskiego, zjeżdżało dużo gości. Nastrój był wesoły i światoburczy, a duszą jego był gospodarz, *ex-białogwardzista*, dziś nucący pod nosem

parafrazę *ex-urzędowej* pieśni *Boże Stalina chrani*, zawsze schlebiallycy wszystkim – jak *Maniłow* z *Martwych dusz* Gogola.

Dla ukrycia strachu, który od czasu do czasu trząsł nim po kątach, odtńczył kiedyś podczas jednej z popijawek sojusznicznych, urządzanych co tydzień w sobotę, trepaka przed majorem Smorgońskim. Dawny carski służbista całował go potem w czoło, mianując „towarzyszem” z miną, jakby całe życie był rewolucjonistą i wielbicielem tylko Sowieckiego Sojuza.

Podtrzymywała mnie na duchu gromadka moich «radzistów» z dowódcą pełniącym obowiązki Polaka – na czele. Byli tam ludzie różnych profesji i pochodzenia, a więc wzięci do niewoli z wycofujących się oddziałów polskich w 1939 roku; byli różnego rodzaju Polacy z Rosji i inni wstępujący w różnych okolicznościach do Armii Kościuszkowskiej. Dominowali wśród nich potomkowie zesłanych na Sybir i synowie mieszanych małżeństw polsko-rosyjskich. [...]

Przeważała jednak grupa tych, co w Polsce urodzenie chcieli za wszelką cenę znaleźć się w Ojczyźnie.

Najciekawszą osobowością był sam ich dowódca – kapitan Nietkin. Był synem Polki, której ojciec, wzięty do niewoli podczas wojny w 1920 roku, pozostał w Rosji, gdzie jako zdolny marynarz żeglował po Morzu Czarnym i przyjaźnił się z Tatarami. Tam wyszła za mąż też za marynarza. Syn jej w osobie kapitana Nietkina odziedziczył sentyment ku Polakom za ich waleczność i umiłowanie wolności. Sam po polsku mówił słabo, ale ot, zakochał się w Polce, która jako siostra na tyłach armii wzięta została do niewoli, a spotykając w Rosji różnych Polaków, wszystkich chciała nawracać na polską wiarę. [...]

## 20. Koniec

Nastała wiosna, po niej gorące lato, a ja tkwiłem na posterunku w Mełgwi pod Lublinem. [...] Roboty rozpoczęły się w polu na dobre – tylko służba folwarczna była jakby pochłonięta jakąś myślą, która ją podniecała nawet w pracy. Oczekiwali.

Przypominam sobie rolę, jaką już na drugi dzień po wkroczeniu Sowietów do Lublina począł odgrywać dawny szofer dziedzica.<sup>31</sup> God-

<sup>31</sup> Chodzi o Jana Łanczontę.

ny jest kilku słów, które mu poświęcam. Stał się bohaterem naszych czasów – jako organizator i znawca spraw parcelacyjnych. Przed wojną był typowym służbistą, basującym dziedzicowi. Dawny piłsudczyk, podczas wojny zwolennik Sikorskiego, zaczął potem w miarę pochodzenia historii skłaniać się ku Wschodowi. Szybko zorientował się, że na tej fali będzie można zrobić dobry interes. Bo czyż historia nie jest wypełniona wyczynami ludzi ze zmysłem kariery, którzy korzystając z nowych ideologii chcą przy okazji upiec i własną pieczeń? Jest to czynnik, bez którego udziału sami idealisci osiedliby prawdopodobnie na mieliznie w trakcie realizacji swego dzieła. Z drugiej zaś strony, ileż to ideologii w historii stopniowo zmieniało swe oblicze (choćby pierwsze chrześcijaństwo – a papieństwo z okresu odrodzenia, rewolucja francuska – a rola Napoleona).

Dawny więc szofer dziedzica stał się aktywistą i niemal wodzem rewolucji społecznej na terenie gminy.

Już wczesną wiosną 1945 roku miał cały plan parcelacji Mełgwi gotowy, a każdy kandydat do działki musiał się z nim liczyć.

Kiedyś zjawił się u mnie i oznajmił niemal urzędowo, że jako stojący na czele komitetu parcelacyjnego Mełgwi prosi mnie o poinformowanie dziedzica, by dla uniknięcia osobistych przykrości opuścił Mełgiew i zamieszkał w swoim pokoju od dawna wynajętym w Lublinie.

Uprzedzony po koleżeńsku w porę – miałem krótką rozmowę z dziedzicem, który wywiózłszy już dawno co cenniejszego do Lublina, wyjechał po cichu, ale dopiero w lipcu. Mimo obojętno-oziębłego stosunku do służby folwarcznej nie doznał on żadnej przykrości. Widocznie farnale docenili jego odwagę i determinację, jaką okazał przy rozprawie z Niemcami. Do ostatniej chwili dozorował majstrów, którzy kończyli właśnie pokrywać miedzią dach zamku pamiętającego jeszcze najazdy tatarskie. Płacił im z własnej prywatnej kasy, a na moje zapytanie, dlaczego nie przekazuje tej należności do uregulowania nowym posiadaczom w osobie prawomocnego komitetu parcelacyjnego Mełgwi – odpowiedział krótko: „Bo tak mi się podoba”.

Najwyższy czas postarać się o nowy kawałek chleba, bo tu wszystko się kończy – pomyślałem.

Żona moja już od jesieni mieszkała w pokoju wynajętym w Lublinie, gdzie córka chodziła do gimnazjum.



## 2. Złe wspomnienie<sup>32</sup>

### 1. W chmielniku i na dachu

Śni mi się czasem ów las, a w nim trzy wielkie jakby ule, po myśliwsku „ambony”, wtulone w ciemny gąszcza sosnowy dokoła tysej polany, nad którą [unosi się] smród końskiej padliny; pośrodku kamionka, a obok mogiła, obłożona głazami z jednym «na sztorc», jak na żydowskim kirkucie, z napisem po polsku i hebrajsku. Dziś już z tego napisu pewno nie zostało śladu.<sup>33</sup>

Zanim usypano tę mogiłę – zjeżdżali tu za czasów okupacji niemieckiej liczni dygnitarze. Kreislandwirt Traue, rudy, podobny do Judasza, brzuchaty Fleck, jego zastępca, w towarzystwie asów gestapo itp. Lasem tym i majątkiem Melgiew pod Lublinem, do którego należał, zarządzałem ja.

Trwając na wojennym niemal posterunku (bo ziemię polską trzeba było uprawić i obsiać pod grozą głodu), nabijaliśmy Szkopów w butelkę, szmuglując do miasta co się dało. Niejedni za to poszli w piach. Ja miałem szczęście, bo byłem cwany i bezczelny, a takim los sprzyja.

Tedy Melgiew w roku 1943 była miejscem, gdzie nocą gościliśmy sztab Batalionów Chłopskich, przyczajonych w lasach w oczekiwaniu na zbliżającą się godzinę obrachunku – w dzień zaś był to teren myśliwski, w którym wiecznie głodni Niemcy zaopatrywali się w mięso. Dlatego polowano tu na dziki z «ambon», strzelając do nich z bliska i z ukrycia, gdy żarły padlinę. Jako rasowy myśliwy patrzyłem na to ze zgrozą.

Kreislandwirt jednak wyraźnie sprzyjał mi za to polowanie właśnie. Lubił mięso! Kiedyś obwieścił, że przyjedzie tu jakiś dygnitarz gestapo z Warszawy, kreischef (naczelnik powiatu) z Lublina<sup>34</sup> i generał z adiutantem.<sup>35</sup>

– No Fijałkowski, stary Raubschütz [kłusowniku]! – pokaż, co umiesz! Heil Hitler! – zatrąbił i pomknął samochodem dalej.

<sup>32</sup> Opowiadanie umieszczone w tomie *Cholerny świat* [Fijałkowski 1973: 21-38], noszące podtytuł „Zdarzenie prawdziwe”. Śródtytuły pochodzą ode mnie.

<sup>33</sup> Prawdopodobnie chodzi o mogiłę dekarza Salmona, o którym jest mowa niżej.

<sup>34</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>35</sup> Osoby niezidentyfikowane.

Splunąłem! Mimo starszego wieku (blisko sześćdziesięciu lat) dość miałem tej «rycerskiej» postawy, jako administrator majątku w okupowanym kraju; wolałbym, psiakrew, urzędować gdzieś pod Stalingradem lub Monte Cassino.

Żując podobne myśli, podążyłem z wolna na podwórze, gdzie na obstrzępionym dachu spichrza gospodarował Salmon, jeden z gromady Żydów, którymi w dni sprzętu chmielu, uszczęśliwił mnie mój mocodawca Traue.

– Jak zrobią swoje, przyjedzie po nich ciężarówka z gminy i odstawi ich na Majdanek! – powiedział mi. Wiedziałem, co ich tam czeka.

Dowództwo Batalionów Chłopskich w lesie było o tym powiadomione. Niedwuznacznie dałem im do zrozumienia, że mogą sobie ich zabrać, strzegł ich bowiem jeden tylko uzbrojony żandarm z psem. Z tej grupy dwudziestu ludzi, złożonych przeważnie z cudzoziemców, nie znających naszego języka, wyodrębniłem polskiego Żyda z Lublina, imieniem Salmon,<sup>36</sup> z wnuczką Rebe.<sup>37</sup>

Na tle różnojęzycznej, a jednak związanej ze sobą tajemniczymi niemi gromady, wyglądał niby polskie wcielenie jednego z proroków, który zjawił się, aby asystować przy ofierze, jaką za sprawą Hitlera składali Jehowie z samych siebie – przedstawiciele narodu przezeń wybranego.

Był podrabinem i znanym na całą okolicę specem w zakresie papy, gontów, eternitu, a nawet słomy. Wnuczkę, która była córką zamordowanego przez Niemców syna jego, doktora,<sup>38</sup> wojna zaskoczyła jako studentkę na Wydziale Historycznym Uniwersytetu w Warszawie. Była niewątpliwie piękna, a «pasiak» obozowy wyglądał na niej jak ostatni krzyk mody. W czarnych, krótko ostrzyżonych włosach, tkwił kwiatek, który wraz z zagadkowym uśmiechem na twarzy, zadawał jakby kłam ostatnim być może dniom jej młodego życia. Była przecież skazana na śmierć, na którą czekała jak w sklepowym ogonku. Podobnież dziadek jej też chyba nie zdawał sobie sprawy z tego. Stojąc na dachu z rozwianą brodą i dużą szczotką w rękę, patrzyła na współskazańców na dole w chmielniku, segregujących szypułki chmielowe, jakby z politowaniem. Była to jedyna robota, do której się nadawali.

<sup>36</sup> Nazwisko niezidentyfikowane.

<sup>37</sup> Nazwisko niezidentyfikowane.

<sup>38</sup> Osoba niezidentyfikowana.

Gdy raz po deszczu odkomenderowałem ich do trzęsienia gnoju, byli bezradni. Stali, jak strachy na wróble z tragicznymi twarzami, trzęsąc zamiast widłami z gnojem – nogami, rękami i brzuchami. Wydelegowali do mnie jednego z nich.<sup>39</sup>

– Herr Direktor [Panie dyrektorze]! My nie nadajemy się do takiej roboty! – rzekł po niemiecku.

– Dlaczego?

– Ja jestem księgowy – dodał nieśmiało.

– A ta pani? – wskazałem na tragiczną jejmość w pasiaku uwydatniającym jej obwisłe kształty.

– Ta pani – to kierowniczką domu publicznego w München<sup>40</sup> – dodał niemal z godnością. Skrzywiłem się.

Odkomenderowałem ich natychmiast do spichrza i kazałem dać podwójną porcję jedzenia. Zachowywali się sennie, jakby już nie żyli. To ich jednało z pracą, która im przypominała życie. Żandarm z psem spoglądał na mnie jakoś podejrzenie i uśmiechał się.

Na drugi dzień Żydy siedziały znów w chmielniku, a stary z wnuczką na dachu. Był majstrem w swym fachu; przed wojną już tylko dozorował uczniów, a teraz przypominały mu się widać młode lata i mimo sztywnej nogi chodził po dachu z rozwianą brodą i siwym włosiem – pokrzykując na Rebe. Przyniosła mu po drabinie gorącą smołę w wiadrze, którą zręcznie rozprowadzał po świeżo ułożonej papie i posypywał piaskiem.

## 2. Chodźmy, Matko!

Z czasem zżyłem się z nimi i lubiłem zagadywać. Rebe pozornie nie zwracała na mnie uwagi; za to stary uśmiechał się niemal wesoło i pochlebnie. Jednak w lewym oku (prawe miał zamglone i z lekka przymknięte) czaiło się coś, co trudno było ułoić. Jakiś błysk przypominający Szekspirowskiego Szajloka,<sup>41</sup> który za krzywdę swą chciał kawałka „chrześcijańskiego mięsa”. Mimo to oczy te wyrażały dyskretną jakby nadzieję, że może ja właśnie choć trochę odczuwam bunt, który

<sup>39</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>40</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>41</sup> Chodzi o jednego z bohaterów *Kupca weneckiego*, Żyda-skąpca. Warto odnotować, że w czasach Szekspira w Anglii nie było w ogóle Żydów.

nosił w swym starym, umęczonym sercu: bunt przeciw obywatelom całego świata, którzy patrzyli na ich męczeństwo jakoś... jakoś...

– Jak? – zadawałem sobie pytanie, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi... Czasem zdrowe oko Szajloka wpijało się we mnie drapieżnie, a jednocześnie bezsilnie. Może przypominał sobie to, co wyczytał w księgach, że naród wybrany – Ziemię Obiecaną, władzę i bogactwo, musi odkupić męką.

On tego już nie będzie oglądał, ale Rebe?... W spojrzeniu, z którym odbierał z jej rąk każde wiadro dymiącej smoły, było tyle miłości, że równoważyła chyba żywioł nienawiści i zemsty.

Gdy podczas mych wizyt na dachu Rebe znikająca nam z oczu, a ja starałem się porozmawiać z nim na ten temat, zmieniał treść rozmowy. Nie dowierzał mi dostatecznie. Jednak kiedyś nie wytrzymał. Gdy stałem oparty o komin, zjawił się nagle żandarm z jakimś poleceniem do mnie.

Salmon zgasł i poderwał się na baczność, zamieniając się w słup. Odchodząc, Niemiec podszedł do niego i pieszczotliwie szarpnął go za brodę. Rebe nie było. Gdy znikł, stary spojrzał w jego stronę i stał nadal, jakby płonąc niewidzialnym płomieniem. Podszedłem do niego. Wówczas zwrócił się do mnie.

– On jest katolik! – wskazał Niemca. – Słyszysz pan – zasyczał – chodzi do kościoła! Czy pan wie?

– Pierwszy raz słyszę!

– Niemcy to nie tylko lutry, ale i chrześcijańskie katoliki – ciągnął chropowatym głosem.

– Tak! – potwierdziłem.

– A wie pan, co się stało niedawno w Berlinie?

– Nie!

– Jakiś hitlerowiec ksiądz z amony, słyszysz pan – z ambony kazał Żydom katolikom iść precz z kościoła. – Tu spojrzał na mnie jakimś innym wzrokiem wypuszczonego z klatki tygrysa i spytał:

– I wiem pan, co się stało?

– Nie!

– Cud! Pan Chrystus, namalowany na obrazie zawołał do swej mamusi „Mame kim! [Chodźmy, Matko!]” i wyszli oboje z kościoła! He, he!

W tej chwili weszła na dach Rebe i spojrzała na nas swymi wielkimi oczami, jakby słyszała te mściwe słowa, które tu padły przed chwilą. Wyniosły uśmiech, z jakim spojrzała na mnie, nie był uśmiechem sympatii, a przecież dostrzegłem w nim błysk jakby nadziei... że może ja, właśnie ja...

– Co? – znów zadawałem sobie to pytanie. – Czyżby uważała mnie za innego niż wszyscy, których spotykała w tym kraju ojczystym, a jednak nie ojczystym!

Pamiętam, jak w trakcie tej niemej sceny rozległ się sygnał samochodowy. To Traue. Opuściłem dach i pobiegłem do wozu, skąd przez okno ukazała się ryza gęba i uśmiech Judasza.

– Fertig [Gotowe]? – spytał.

– Jawohl [Tak jest]! – Jutro szósta rano wedle rozkazu! – odszczeknąłem po wojskowemu głosem jeńca.

– Danke [Dziękuję]! – zawołał. Sechs Personen [Sześć osób]! Wino, sznaps i Bier [piwo] przywozimy! – Uśmiechnął się obleśnie i ruszył, ale zatrzymał się jeszcze. Tym razem twarz jego była inna, jakby poczuł święconą wodę.

– A jak tam z bandytami? – spytał.

– Będą nieobecni! – odrzekłem niema dwuznacznie. Pogroził mi i odjechał. Stałem długo w miejscu pod podwójnym wrażeniem: tym na dachu i tym na drodze. Jednak jesteśmy poddawani coraz cięższym próbom... „Hartujemy się!” Nagle uczułem przypływ energii.

– Historia jest mistrzynią życia – mruknąłem do siebie.

– Stara kurwa! – dodałem – poszedłem zarządzić wszystko, co potrzebna dla jutrzejszych gości.

Leśna komenda, z którą byłem w kontakcie, uspokoiła mnie:

– Nie pora jeszcze na takie wybryki. Przyjdzie czas.

### 3. Niech żyje Polska!

Nazajutrz od czwartej rano byłem na nogach. Przyjechało sześciu. Poprowadziłem ich do lasu sam, ale widziałem, że każdy miał rękę na kolbie pistoletu. Wepchnąłem ich do ambon, wchodząc do jednej za Trauem. Smród rozrzuconej padliny dziś jeszcze czuję. Niebawem zjawily się dziki. Padło ich siedem sztuk. Radości na widok takiej ilości świńskiego mięsa nie było końca!

W oficynie, którą zajmowałem, było głośno i gwarno. Przedstawiciele Herrenvolku [narodu panów] chlali sznaps i żarli Wurst [kielbasę] z twardymi jajami, a potem wątrobę z rogacza i deser zakrapiany zdobytecznym szampanem z Paryża. Usługiwał lokaj ze dworu, Bolesław, we fraku. Ja byłem nieobecny. Jednak pod koniec uczty zjawił się u mnie tenże Bolesław, a przymknąwszy oko, zameldował:

– Panowie proszą!

– Kogo?

– Pana! Chcą pić pańskie zdrowie – dodał z ironią.

Cóż miałem począć? „Śmiej się pajacu!” Gdy przestąpiłem próg z opuszczoną głową, sam kreisschef, nieźle już wstawiony, szczechnął:

– Achtung [Uwaga]!

Sześć par ślepiów strzeliło we mnie. Wyprostowałem się i odwzajemniłem spojrzeniem prosto w twarz. Kreisschef, wskazując puste krzesło osobie siebie, zachrypiał:

– Miejsce dla pana!

Siadłem jak skazaniec i wykonałem jeden z najbardziej nieudanych uśmiechów w moim życiu.

– „Mumm”<sup>42</sup> – chrypiał dalej i nalał mi pełny kielich.

– A teraz zdrowie naszego gospodarza i gościa w jednej osobie – tu wskazał na mnie.

– Prosit [Na zdrowie]! – wypilem z niesmakiem... Wino było przednie, choć zatrute.

– Pan jest rasowy myśliwy – rzekł gość z Warszawy, z odznakami tortur na kołnierzu.

– Przyznam się – odrzekłem, możliwie uprzejmie – że nigdy nie strzelałem do dzików z ambon.

– Warum [Dlaczego]?

– Za łatwy strzał!

– Bo trudne wykonujemy na froncie, na przykład z V2 – chlapnął generał. Zarechotali.

– To przez was! – pogroził mi. Łeb miał jak karbunkuł. Ślina płynęła mu na gołą pierś, bo mundur i koszulę miał rozpiętą.

– Pan jest wszystkiemu winien, Herr Inspektor! – powtórzył.

<sup>42</sup> Chodzi o markę szampana.

– Dlaczego ja?  
– Bo upierałeś się, że Wit Stwosz war ein Pole und Kopernik auch [był Polakiem i Kopernik też].

Zarechotali znów. Nagle duch we mnie wstał.

– To nie ja – zaprzeczyłem głośno po czwartym już kieliszku.

– A kto?

Milczałem, skupiając się w sobie.

– Ach, to może Herr Inspektor [pan inspektor] nie chciał nas puścić przez Gdańsk na wschód?

– Nie ja!

– A kto?

Milczałem.

Nagle zarechotali wszyscy, a ja poczułem kordialną rękę kreisschefa, który klepał mnie jak konia. Po chwili zaczęli mnie klepać niemal wszyscy. Traue wyciągnął z tego klepania sens moralny.

– Nie wolno bić się Polakom z Niemcami, bo od tego bolszewikowi brzuch rośnie!

Ryknęli uciechą! Rozległ się plusk i brzęk!

– Also sprach der alte [Podobnie mówił stary] Piłsudski, wasz narodowy bohater – ryczał gestapowiec.

– Niech żyje – krzyczał po polsku młody adiutant – deutsch-polnische Freundschaft [niemiecko-polska przyjaźń]!

Zaczynali brać mnie pod włos.

– Ale Wit Stwosz und [i] Kopernik byli rechsdeutsch [czystymi Niemcami] – ryknął pijany generał.

Wtedy nie wytrzymałem. Niech się dzieje, co chce – i wstałem. Zrobiła się pijana cisza, przerywana czkawkami.

– Sie haben recht [Ma pan rację]! – zwróciłem się do dygnitarza z Warszawy.

– Wit Stwosz był Reichsdeutsch. Kopernik auch [tak]! Ależ tak, tak; oddaję ich wam gratis!

Huknęło brawo! „Hail, prosit!” – potem znów plusk i brzęk. Stałem nieporuszony.

– Ale! – krzyknąłem uderzając ręką w stół. – Ale! – spojrzeli na mnie, jak psy, gdy widzą w rękę spyrkę.

Ale – ciągnąłem sadystycznie, patrząc im w ślepią, każdemu po kolei.

– Ale Bismarck war ein Pole! – Polakiem był!

Oniemieli!

– Był synem polskiego chłopca z Pomorza, a nazywał się „Bezmiarok”.

Otrzeźwieli.

– Bezmiarok – powtórzyłem.

Żaden nie mógł się zdobyć ani na gest, ani na słowo. Byłem panem sytuacji.

Nagle kreisschef ryknął potężnym śmiechem. Zawtórowali wszyscy. Poczułem ten śmiech, jak grad kul skierowanych w mą pierś.

– Brawo, brawo! To się panu udało!

– Bismarck – Bezmiarok, ha! ha! ha!

Pluli we mnie śmiechem, a potem pili za moje zdrowie, klaskali łapskami.

– Niech żyje Polska! – wrzasnął wreszcie szef gestapo.

– Niech żyje!

Stałem w oparach tej orgii bezsilny, choć nieugięty. Może w ten sam sposób patrzyli na Niemców wszyscy Polacy, którzy mimo klęski nigdy nie zwątpili w zwycięstwo. W tej chwili nie miałem w ręku żadnej karty, ale za to pełny kielich, a więc utopiłem w nim swą rozpacz. Wszyscy byli pijani. Poczuli wychodzi na dwór sich losen, ale ja nagle poczułem przypływ jakby jasnowidzenia w głowie.

Teraz, albo nigdy!

Nie przestałem jednak być pijanym i po pijanemu upatrzawszy stosowną chwilę, odciągnąłem na bok Trauego, który był najtrzeźwiejszy z nich, wielce ze mnie zadowolony.

– Mam do pana prośbę, Sir!

– Dla pana wszystko! Jest pan bohaterem dnia. Siedem dzików, no i ten Bismarck. Ha! ha! Słucham!

– Otrzymałem papier z Majdanka, by odstawić więźniów (tu wyciągnąłem urzędowy gryps), a tymczasem robota na dachu przez Salmona nie skończona.

Zmarszczył brwi. Zorientował się w mig; spojrzał na mnie ostro.

– Was wollen Sie [Czego pan chce]?!]

– Zostaw mi pan ich dwoje – improwizowałem. Długo patrzył na mnie badawczo.



– Nie ma w Lublinie rzemieślników, a deszcze za pasem i zboże zgnije w spichrzu, zamoknie w stodole. Kto za to dostanie po łbie – ja!

– Oni panu mogą uciec!

– On ma sztywną nogę i astmę, a ona...

– Co ona? – spojrzał mi w oczy plugawie.

– Ona go nie opuści.

– I wpadła panu w oko, Herr Inspektor.

– Za stary jestem – dał mi sójkę w bok.

– Weź pan z gminy tego starego żandarma – inwalidę z psem. „Hans” mu na imię, a psu „Moltke”.

– Rozkaz.

– No i odpowiadasz za nich głową – chwycił mnie pieszczotliwie za siwe włosy.

Za kwadrans pojechali, bo zapadał mrok – bandy mogły wyjść z lasu.

Zostałem sam. Sam na placu z Bolesławem, który raczył się przy stole resztą wątroby i zapijał szampanem z Paryża.

– Ale pan im uciał kuranta!

– No i co z tego? – wykonałem beznadziejny ruch ręką.

– Nadejdzie czas! – ujął pełną flachę w duże dłonie.

– Niech żyje Sikora!<sup>43</sup> – całą butlę wychlał jednym tchem, a potem rznął o ziemię.

#### 4. Nadzieja

W kancelarii czekał na mnie wójt Orzechowski, volksdeutsch. Poprosiłem go w imieniu Trauego o przysłanie mi na parę dni inwalidy żandarma imieniem Hans i psa Moltke, biorąc jednocześnie z jego rąk nakazy płatnicze. Za godzinę spałem jak nieżywy. Śniła mi się szubienica, na której mieli mnie wieszać. Obudziłem się w porę; nie powiesili mnie; za to głowa latała mi na karku z prawa na lewo; ledwo sobie mogłem przypomnieć dzień wczorajszy. Gdy szeregując kronikę faktów, natknąłem się na Salmona i Rebe i rozmowę, po pijanemu, na ich temat z Trauem – zdrętwiałem. Przecież to było szaleństwo z mej strony. Dachy co prawda trzeba połatać, bo może być skandal, ale co potem? Oddać ich tak na zimno w ręce kata? Tamtych innych nie znałem. Przy-

<sup>43</sup> Osoba niezidentyfikowana.

słali ich i zabierają bez mej woli; ale tych dwoje, których spomiędzy nich wyodrębniłem, z którymi zawarłem bliższą znajomość i niemal przymierze – to do czegoś zobowiązuje. Odesłać ich tak po prostu pod strażą żandarma Hansa i psa Moltke na śmierć! Boże! Co ja zrobiłem! ... Ale czy tak, czy tak, czekała ich śmierć przez spalenie żywcem, spalenie, od którego dymy unoszące się z kominów Majdanka nad całą gminą ciążyły nad nami jak strzępy Apokalipsy, rozgrywającej się tu – na naszej ziemi. Tak czy tak, wpłątany w tragiczny splót wydarzeń, stanę się pośrednim sprawcą ich śmierci. Do licha! Jaką ja tu odgrywam rolę w tym przeklętym majątku? Tego, kto musiał uprawić, zasiać i sprzątnąć, choćby pod kulami, bo żaden kęs ziemi naszej nie może stać odłogiem... A do lasu jestem za stary, mam żonę i nieletnią córkę – sytuacja bez wyjścia.

Jednak mimo to coś ciągnęło mnie na dach! Stary z rozwianą brodą nakładał łaty, a raz po raz po drabinie wstępowała i zstępowała Rebe..., spoglądając w stronę Majdanka, skąd ciągnął potworny kłęb dymu. Z tymi wielkimi, natchnionymi oczami była niemal piękna. Nagle spojrzała na mnie – poczułem to spojrzenie jak wystrzał skierowany w mą pierś. Ona wyraźnie dawała mi znać, że to ja właśnie, ja mogę i powinienem ich ocalić. W oczach jej był gniew i słodycz zarazem. Krzyk „Na pomoc!” i groźba w razie jej nieudzielenia. Czymże ona mogła mi grozić?

Nie zamieniłem z nią ani słowa... Powoli znów zstępowała w dół. Stary ze swych łat z papy lepił na dachu jakieś znaki, które odczytywał potem, szepcząc coś do siebie. Zapytałem go.

– Rabbi (tak go nazywałem), co tam czytasz z tych swych znaków na dachu?

Zerknął ku mnie wymownie.

– Robota w chmielu kończy się; przyjadą po nas.

Milczałem.

– A co będzie z robotą na dachu? – krzyknął niemal. – Kto ją zakończy?

Nie mogłem znieść jego spojrzenia i mimo woli spuściłem oczy jak winowajca. Gdy podniosłem je, uśmiechnął się do mnie wymownie i szepnął:

– Co będzie z Rebe?

Byłem zdemaskowany. Jakaś siła trzymała mnie na miejscu, a język odmawiał posłuszeństwa. Cóż ja mu mogłem odpowiedzieć? A odejście bez odpowiedzi było dezercją. Dopiero głos z dołu wybawił mnie – wołano mnie. Zstępując po drabinie, spojrzałem na Rebe, która stała nad kotłem ze smołą – teraz wyglądała jak czarownica. Oddaliłem się szybko.

W parę dni potem zajechała ciężarówka. Żandarm, który przyjechał po więźniów, był już powiadomiony przez Trauego, że stary z córką mają pozostać na moją odpowiedzialność aż do ukończenia robót dachowych pod opieką Hansa i jego psa. Jakoż ten zjawił się niespodziewanie, meldując mi, że już od rana czeka na zmianę wart.

Żydzi siedzieli w chmielniku, gdzie robili ostatnie porządki po ukończeniu pracy. Uszeregowano ich jak nieżywe figury, przeliczono i kazano wyjść parami. Księgowy i gruba jejmość z Monachium skłonili mi się z niemym uśmiechem, jakby pożegnaniem. Nie wiedziałem, czym się im odwzajemnić. Gdy odjechali, zauważyłem, że Hans i pies Moltke siedzieli już na tym samym miejscu, na którym siadywał ich poprzednik – od strony szczytu spichrza, na którym stary z córką stali teraz zdumieni i niezauważeni przez tych, którzy przed chwilą odjechali do obozu śmierci.

Nie padło między nimi nawet jedno słowo pożegnania. Wszyscy ci ludzie żyli na jakiejś niepojętej dla mnie płaszczyźnie. Czym właściwie różniłem się od nich? Czym? – Nadzieją?! Olśniło mnie. Nadzieja wypełniała mnie po uszy i to był główny motor mych ruchów, postawy i myśli. Oni już nie żyli nadzieją. Ci dwoje na dachu – ci mieli jeszcze nadzieję – wyczuwałem ją w ich spojrzeniu. Hans i pies Moltke oddali mi cześć, gdy przechodziłem; Hans dzierżył w ręku cekaem, a pies, zerkając na dach, szczerzył zęby i jeżył sierść. Między ich nadzieją a moim pobożnym życzeniem byli oni – Hans i Moltke. Splunąłem, jakby w same ślepia okrutnego w swej ironii losu, jaki był wtedy moim udziałem. Niewola obejmowała swymi kleszczami mnie całego, wraz z moim sumieniem, wzbraniając mi wypełnić nawet to, co było moim obowiązkiem. Przeszedł mnie śmiertelny dreszcz. Czy się to kiedy skończy?

## 5. Pochówek

Dni mijały monotonnie; starałem się wypełnić je pracą, która koła. Praca i jej rezultaty stały się wartościami samymi w sobie, które pozwoliły nam «przetrwąć». Mimo to z zazdrością patrzyłem na las, w którego wnętrzu ukryte było serce narodu. Las szumiał nadzieją. Miałem z nim kontakt; to dodawało mi otuchy. Las ufał mi.

Właśnie w chwili, gdy uświadamiałem to sobie, stanął przede mną ktoś z lasu. W dzień był taki sam jak inny; w nocy urastały mu skrzydła nadziei. Czułem się nagle pokrzepiony jego pojawieniem [się]... Czuwał.

Stałem wtedy i patrzyłem na dach. Wskazał na żandarma, psa i tych dwoje na dachu.

– A gdzie inni? – spytał.

– Zabrali ich. Ci zostali kończyć pracę.

– A jak skończą? – zapytał.

– Wezmą ich! – spojrzałem u prosto w oczy.

– Przyjadą tu po nich autem z gminy; będą jechać przez las. Wiem już, którego dnia i o której godzinie! Może... – przerwałem, dostrzegłszy jakiś dziwny uśmiech na jego twarzy.

– Dziewczyna mogłaby być łączniczką – szepnąłem.

– A stary? – Mamy już takich; kłopot z nimi.

Straszny jest los ludzi starych – pomyślałem. – Niepotrzebni.

Ten był potrzebny jeszcze przez trzy dni na dachu, a potem potrzebny będzie chyba jej – kocha go – pomyślałem.

Ten z lasu widać odgadł me myśli.

– My ich nie potrzebujemy – orzekł.

– A jednak – spojrzałem mu w oczy raz jeszcze – w piątek jechać będą autem na Majdanek przez las, w samo południe – powtórzyłem.

Odszedł zwolna, a ja poczułem, jak nadzieja znów oddala się ode mnie. Pozostaje mi praca sama w sobie, jak w obozie.

Nazajutrz podczas śniadania stary Żyd, zanim zdążył je zjeść na dachu, poczuł się nagle słabo i runął na ziemię. Gdy Rebe podbiegła do niego, nie dawał już znaku życia. Niemym świadkiem tej sceny był Hans i pies Moltke, który tylko zawarczał. Rebe nadaremnie jęła najczulszą pieczęcią rąk masować mu serce. Był martwy.

Wezwałem lekarza, który wystawił świadectwo zgonu. Gdy wróciłem na podwórze, ciało Rebe wstrząsały spazmy i zawrota głowy «płaczki». Klęczała nad nim.

Żandarm zwrócił się do mnie z zapytaniem, co mają robić?

– Trzeba pochować go jak człowieka! – W tej chwili oczy me spotkały się z jej oczami. Patrzyła na mnie jak na kogoś jedyne, na kim mogła jeszcze polegać.

Zawołałem czterech ludzi i kazałem przenieść ciało starego Żyda ku kamionce w lesie, gdzie wykopano grób. Rebe skandowała skargi swe według rytuału ich liturgii, po czym uczyniwszy jakieś znaki nad jego głową, wzniosła ręce ku niebu.

Ciało opuszczono na sznurach. Gdy usypiano mogiłę, Rebe, ujawniwszy w swe młode sprężyste ręce płaski kamień, na który wypisała coś kredą, zwróciła się do mnie z niemą prośbą.

Kazałem ludziom ustawić kamień na sztorc, według jej wskazówek. Gdy wszystko było ukończzone, ludzie odeszli i pozostało nas czworo – ja, ona, Hans i pies Moltke. Rebe szeptała jakieś rytualne słowa, Hans uśmiechał się chytrze, pies merdał ogonem jak na weselu, a ja... ja właściwie nie miałem ani twarzy, ani postawy. Byłem pusty w środku. Dusza uciekła ze mnie w popłochu i zgorzeniu. Stałem jak pod pręgierzem. Wytrzymać dłużej w tej roli było ponad moje siły; dlatego zwróciłem się do Hansa w gniewie i krzyknąłem:

– Czego pan stoisz? Idźcie do koszar i czekajcie na auto z gminy. Powinni zaraz przyjechać!

I tu nagle spotkałem się oko w oko z nią – stała wyprostowana i spojrzeniem swym miażdżyła mnie. Cóż jej miałem powiedzieć? Nie znalazłem ani jednego stosownego słowa w żadnym języku! W oczach jej, w których przed chwilą była jeszcze nadzieja, odczułem całą gamę uczuć. Nagle z ponurej tragedii, w której szamotała się, wypełził kamienny spokój i uderzył we mnie. Poczułem w tej jedynej, niepowtarzalnej chwili mego życia obrzydzenie do wszystkich spraw ludzkich!

Pozostałem sam!

### 6. Początek końca

A jednak czuwało nade mną jakieś przeznaczenie, czy też czyjaś dobra wola.

W tydzień potem dowiedziałem się, że dziewczynę odbito w lesie w tym właśnie miejscu, o którym mówiłem w komendancie Batalionów Chłopskich.

Nie obiecał mi, a jednak wykonał.

Nie zdążyłem mu złożyć podziękowania, bo przerzucono go wraz z oddziałem w inną okolicę, a wśród Niemców nastąpiły przejawy rozluźnienia i zamętu.

Początek końca!

### 3. Doktor Liski<sup>44</sup>

Postacie: Weronika Hertz – właścicielka restauracji „Walhalla” w Lublinie (pierwowzór niezidentyfikowany); kapitan Hans Schmidt – komendant gestapo (pierwowzorem był zapewne Hans Müller); Morritz – porucznik, pomocnik Hansa Schmidta (pierwowzór niezidentyfikowany); pułkownik, szef dystryktu lubelskiego (pierwowzorem był zapewne Ernst Zörner); doktor Lipski – lekarz lubelski (pierwowzorami byli być może częściowo dr Marian Lisowski i dr Stanisław Wrona-Merski); Maria Magdalena Żarska – siostrzenica Weroniki Hertz, barmanka (pierwowzór niezidentyfikowany).

Rzecz dzieje się w Lublinie podczas okupacji niemieckiej – w okresie największych sukcesów państw osi [...].

Gabinet Hansa na Uniwersyteckiej. Biurko. Na ścianie portret Hitlera i Göringa. Mały patefon. Na małym stolczku butelka z koniakiem i kieliszki, pudełko z papierosami. Na scenie pusto. Telefon dzwoni. Wchodzi Hans z teczką. Chwyta słuchawkę.

Hans: Hallo... Jawohl [Tak jest]! Co? W lesie dwóch zabitych? Donnez! Nikogo nie schwytano!... No to aresztować wieś... całą? Nie... co dziesiątego i przysłać natychmiast raport. (*Kładzie słuchawkę.*) Chwili spokoju!

(*Wchodzi Morritz z teczką.*)

Morritz: Heil Hitler [Chwała Hitlerowi]!

<sup>44</sup> Jest to fragment III aktu sztuki *Wielka gra*, gotowej w 1945 roku, która jednak nigdy dotąd nie została wystawiona ani opublikowana. Jak pisał sam Fijałkowski, sztuka osnuta jest na historii inż. Finota, Francuza pracującego w czasie II Wojny Światowej w lubelskiej wytwórni samolotów „Plage i Laśkiewicz” (upaństwowionej w 1935) – opowiedzianej autorowi przez jednego z redaktorów *Warschauer Zeitung*, mutacji gazety *Krakauer Zeitung* wydawanej przez okupantów niemieckich w Generalnym Gubernatorstwie.

Hans: Heil.  
 Morritz: – Melduję... Stan ludzi pod śledztwem dziesięciu – w tym trzech chorych. Do badania pięciu. Oto numery... Dyżurny Morritz.  
 Hans: Słyszałeś? W Wólce zabito dwóch naszych.  
 Morritz: A wczoraj porwano do lasu wójta.  
 Hans (*uderzając pięścią w stół*): Co sobie ci ludzie myślą? My zdobywamy świat, a oni śmieją się po lasach, jak te wszy we włosach, i gryzą.  
 Morritz: Wyrąbać lasy! Drzewo do Niemiec, dywersantów na Zamek, a zające dla nas!  
 Hans: Dowcipniś! Jeszcze ci z głowy nie wylazło wczorajsze wino.  
 Morritz: A dobre było, panie kapitanie!  
 Hans: Ale po nim dobrze by było posiedzieć choć dwa dni w spokoju. A tu alarm od rana! Bardzo mi to nie na rękę.  
 Morritz: Mnie też.  
 Hans: Dlaczego?  
 Morritz: Pani kapitanie – melduję posłusznie, że... (*Zaciął się.*)  
 Hans: No?  
 Morritz: Zakochałem się!  
 Hans (*niemile dotknięty*): Co?  
 Morritz: Pięć lat służby bez urlopu, bez wytchnienia i bez kobiety, to można dostać zapalenia gruczołów mózgowych.  
 Hans (*zaniepokojony*): – Cóż to za kobieta?  
 Morritz: Polka!  
 Hans: Co takiego? (Zerwał się...) A cóż cię skusiło, żeby to powiedzieć właśnie mnie!  
 Morritz (*z głupia frant*): Mam dużo zaufania do pana kapitana!  
 Hans: Niech cię diabli wezmą.  
 Morritz: Właściwie to pół-Polka, bo mąż jej ma niemieckie nazwisko.  
 Hans: Jednak my odbiegliśmy daleko od zasad narodowosocjalistycznych.  
 Morritz (*z głupia frant*): Dlaczego „my”?  
 Hans: Donnez! Miałem na myśli tylko ciebie!  
 Morritz: Dlatego... ja chciałem prosić pana kapitana... o tydzień urlopu.

Hans: Zwariowałeś? (*Ostro:*) Przede wszystkim służba!  
 Morritz: Rozkaz!  
 Hans: Ślicznie mi się zaczyna dzisiejszy dzień.  
 Morritz: Oto lista badanych. (*Kładzie na biurku.*)  
 Hans (*czyta*): Masz! Doktor Liski na pierwszym miejscu.  
 Morritz: To bardzo niebezpieczny typ!  
 Hans: Dlaczego?  
 Morritz: Ma kontakt ze stacją nadawczą i posyła miesięczne raporty do Londynu i Moskwy. Według poufnych wiadomości stoi na czele szajki.  
 Hans (*zaniepokojony*): Bezpośrednia przyczyna aresztowania!  
 Morritz: Anonim... Oto on. (*Podaje.*)  
 Hans (*czyta*): ... Ktoś pisał przez złość.  
 Morritz: Ale to pretekst, a już co w trawie piszczy... my się od niego dowiemy.  
 Hans: Pięknie to pan wymyślił.  
 Morritz (*nie bez ukrytej myśli*): Jak służba – to służba!  
 Hans (*czyta dalej*): Ksiądz Tkaczyk.<sup>45</sup>  
 Morritz: Posądzony o fabrykowanie bomb w kościele w Piaskach.  
 Hans (*podchwytuje skwapliwie*): O! To coś dla nas.  
 Morritz: Ech... Każdy ksiądz tchórzem podszyty i myśli o pogrzebach i chrzcinach – nie o bombach...  
 Hans: Ksiądz więcej podejrzany niż doktor! Kto robił doniesienia?  
 Morritz: Praczka, która słyszała, jak mówił do organisty<sup>46</sup> ... „Ja im z ambony spuszczać bombę!”  
 Hans (*podchwytuje*): Ooo! To jest coś! My sobie lekceważymy kościół, a to jest rozsądnik opozycji! Księży mi dajcie!  
 Morritz (*przekornie*): A dlaczegoż nie doktorów?  
 Hans: Bo ci przynajmniej leczą! Jak pan dostaniesz tyfusu, to ksiądz na to nie pomoże, a doktor Liski – tak!... Nasi na froncie!  
 Morritz (*z głupia frant*): Ja mam tyfus zaszczipiony. (*Rozlega się z pokoju obok przytłumiony jęk.*)  
 Hans: Kto to?

<sup>45</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>46</sup> Osoby niezidentyfikowane.

Morritz: To ten posadzony o kontakt z bandą, która wylądowała pociąg z amunicją na linii Lublin-Świdnik.

Hans: ... Sęk?<sup>47</sup> ...

Morritz: Kazałem go powiesić na trapezie... Sądzę, że wyśpiewa wszystko.

Hans (*puszczając patefon na nutę walca „An der schönen blauen Donau”* [Na pięknym modrym Dunajem]): Nie mogę ścierpieć tych wrzasków!

Morritz: Widzę to!

Hans: Wszystko na opak. (*Jest zły. Chodzi.*)

Morritz: Przyszedł rozkaz, że należy uwalniać tylko w trybie wyjątkowym, a każdego, co siedzi, trzymać.

Hans: Pokaż!

Morritz (*podając*): Proszę!

Hans (*przeczytawszy*): A gdzie pan znajdziesz pomieszczenie na Zamku?

Morritz: Jest Majdanek.

Hans: I tam coraz ciaśniej. (*Chodzi.*)

Morritz (*obserwując*): Co się panu kapitanowi stało?

Hans (*chodząc*): Jestem szczęśliwy, że jestem Niemcem. (*Chodzi.*)

Morritz (*po chwili*): Więc jak z doktorem?

Hans (*zatrzymując się głośno*): Z księdzem! Nie podsuwaj mi swych myśli. To nie jest służbowo!

Morritz: Tak! Służbowo... powinienem odgadywać myśli p. kapitana!

Hans (*zaniepokojony*): Ja nie chcę, aby odgadywano moje myśli!

Morritz: Och! Pan kapitan nie w humorze!

(*Dzwonek. Morritz wyszedł.*)

Hans (*sam*): Jak ja z tego wybrnę?!

Morritz (*wracając*): Szef dystryktu!

Hans (*zaniepokojony*): Czegoż on chce?

Morritz: Poufne!

Hans: Masz diabła... Proś...

(*Morritz otwiera drzwi – wchodzi pułkownik. Morritz wychodzi.*)

<sup>47</sup> Osoba niezidentyfikowana.

Pułkownik: Heil Hitler!

Hans: Heil.

*Powitanie.*

Pułkownik (*kordialnie*): No jak się pan czuje po wczorajszym dniu?

Hans (*odruchowo*): Szampan to niebezpieczny trunek...

Pułkownik: Dlaczego?

Hans: Podnieca zmysły, a osłabia wolę.

Pułkownik: Widzę, że musiała ci wpaść w oko jakaś kobieta...

Hans (*zaniepokojony*): Co?

Pułkownik (*klepiąc go*): No... nie będę cię indagował. Natomiast chcę pana ostrzec służbowo!

Hans (*zaniepokojony*): Przed czym?

Pułkownik (*tajemniczo*): Tu gdzieś niedaleko jest stacja nadawcza.

Hans: Donnez! Przecie ja bym coś o tym wiedział.

Pułkownik: Powinieneś pan wiedzieć.

Hans: Czy mam to rozumieć jako wymówkę?

Pułkownik: Na razie nie! Ale niedobrze jest, gdy pewne poszlaki docierają nie do właściwego resortu.

Hans: Kto donosi! Nazwiska!

Pułkownik (*zawile*): Pozostawmy nazwiska... Ale pozwól sobie zwrócić uwagę...

Hans: Słucham.

Pułkownik: ... że niewinni siedzą, zamiast tych, którzy powinni siedzieć.

Hans (*podchwytyjąc*): Och... Ja się nad tym właśnie zastanawiam.

Pułkownik (*dobitnie*): Na przykład niejaki Jan Kiszka,<sup>48</sup> syn magazyniera majątku dzierżawionego przez dystrykt (*z naciskiem*), a administrowanego przeze mnie, aresztowany przed trzema dniami w Lublinie jest Bogu ducha winien...

Hans: Zobaczymy. (*Dzwoni. Wchodzi Morritz.*) Akt oskarżenia Jana Kiszki.

Morritz (*bierze z półki*): Oto jest. (*Kładzie na biurku. Stoi na baczność.*)

Hans (*czyta*): Notoryczny szmugiel. Ślonina, cukier, wódka... Wielkie ilości.

<sup>48</sup> Osoba niezidentyfikowana.



Pułkownik (*dobitnie*): Czy pan naprawdę dobrze zbadał tę sprawę? (*Chwilę patrzą sobie w oczy.*)

Hans (*szużbowo*): Uczynię to natychmiast.

Pułkownik: ... Göring oświadczył, iż wobec ciężkiej sytuacji aprowizacyjnej lepszy jest handel na lewo niż lokalny głód... Nie wiesz pan?

Hans: Wiem!... Toteż my Niemców nie łapiemy.

Pułkownik: Ale idźcie po linii najmniejszego oporu, bo wam samym chodzi o wódkę, speck [słoninę] i masło!... Wykryć ośrodki dyspozycyjne polityki podziemnej! Oo.. to wasze zadanie!

Hans (*szużbowo*): Przyjmuję do wiadomości.

Pułkownik: Jawohl! (*Wstaje. Hans wstaje.*) Tymczasem bądź zdrów – i uczyn tak, żebym nie potrzebował przychodzić tu (z naciskiem) w nie-swoich sprawach. Verstanden [Zrozumiałeś]?

Hans: Zrozumiałem!

Pułkownik: Heil Hitler!

Hans: Heil!

Pułkownik (*poklepując go*): Trzymaj się stary! (*Wychodzi.*)

Hans: Morritz! Zrozumiałeś? (*Przymyka jedno oko.*)

Morritz: Zrozumiałem.

Hans: Cukier przepadł. Umorzyć sprawę Jana Kiszki.

Morritz: Rozkaz!

Hans: I pokaż doniesienia o tej przeklętej stacji nadawczej.

Morritz: Oto są. (*Kładzie na biurku.*)

Hans: Wiatrak w Spiczynie, wiatrak w Mełgwi.

Morritz: Raz tu, raz tam.

Hans: Światło w regularnych odstępach... Zrewidować.

Morritz: W nocy nikt nie chce tam iść! To pod lasem...

Hans: Donnez!

Morritz: A doktor jeździ tam regularnie.

Hans (*westchnąwszy*): Nie ma rady – trzeba raz z tym skończyć! (*Chodzi – zatrzymuje się.*) Zawezwać tu telefonicznie Tante Veronika i Marie [ciotkę Weronikę i Marię] do badania.

Morritz: Co? (*Zmarszczył brwi.*) Rozkaz!

Hans: I doktora natychmiast!

Morritz: Jawohl! (*Wychodzi.*)

Hans (*sam*): Donnez! (*Rozlegają się jęki.*) Cicho, psiakrew! (*Chodzi.*) Co to jest! (*Zastanawia się.*)

*Rozwierają się drzwi w głębi. Wchodzi doktor: starszy pan o ascetycznej powierzchowności i wyrazie twarzy znamionującym siłę charakteru człowieka, który wiele przeżył. Ubrany jest normalnie. Towarzyszy mu dwóch drabów o złym wyrazie twarzy z zakasnymi rękawami... W tej chwili słychać wyraźnie jęki. Chwila... Morritz stoi u drzwi z notatnikiem w ręku.*

Hans (*nastraszone*): Imię, nazwisko.

Doktor: Jan Liski.

Hans: Miejsce i data urodzenia. Prędko.

Doktor (*dobitnie*): 1 stycznia 1880 w Krakowie.<sup>49</sup>

Hans (*spogląda na papier*): Tak! (*Chwila. Hans chodzi – staje.*) Papierosa? (*Częstuje doktora.*)

Doktor: Nie palę.

Hans: Kieliszek koniaku?

Doktor: Nie piję.

*Słychać jęk.*

Hans: Tak. (*Uroczyście:*) Naszym wobec ojczyzny obowiązkiem jest wydestać prawdę z każdego z was wszystkimi środkami, jakimi rozporządzamy... To przykry obowiązek, doktorze, ale czegoż nie robi się dla *veterlandu* [ojczyzny], prawda?

Doktor (*dobitnie – patrząc mu w oczy*): Tak jest! Chętnie oddaje się życie.

*(Chwila. Mierzą się wzrokiem.)*

Hans: Nazwiska i adresy osób, z którymi pan komunikuje się w sprawach polityki krajowej.

Doktor (*ostro*): Nie zajmuję się polityką.

Hans: Zwykła odpowiedź.

Doktor: Czyż każdy doktor musi zajmować się polityką?

Hans: Pan jest znanym doktorem.

Doktor: Dzięki kwalifikacjom lekarskim – nie politycznym.

Hans (*głośno*): My wszystko wiemy!

Doktor: Więc po co zadajecie pytania?

<sup>49</sup> Data zapewne fikcyjna.

(*Chwila. Słysząc jęki.*)

Hans (*przybierając pozę okrutną*) Achtung [Uwaga]!

(*Draby chwytają doktora za ręce i wykręcają mu je z lekka.*)

Hans (kategorycznie): Pan ma łączność z radiostacją nadawczą na wiatrakach w Spiczyńnie lub Mełgwi.

Doktor (*ostro*): Nieprawda.

Hans: To dlaczego jeździ pan tam w równych odstępach czasu?

Doktor: Do porodu. W Mełgwi do Anny Kłos, w Spiczyńnie – do młynarzowej.<sup>50</sup> Po trzy wizyty. Można sprawdzić.

Hans: Pan ciężko odpowie za to: za przeczenie.

Doktor: Jestem zawsze gotów na śmierć.

Hans: Ale to nie będzie zwyczajna śmierć.

Doktor: Każde łóżko śmierci jest łóżkiem tortur.

Hans (*przyskakując do doktora z pięściami*): Co? (Doktor wytrzymuje jego wzrok). Odprowadzić i czekać! (*Zmienia taktykę.*)

(*Draby puszczają doktora, który wychodzi z nimi w głąb.*)

Hans (*sapnąwszy – nagle zwraca się do Morritza*): Co pan sądzi o tym człowieku?

Morritz (*zagadkowo*): Myślę o nim to samo, co pan kapitan.

Hans: Albo niewinny, albo sam diabeł nic z niego nie wydusi.

Morritz *milczy*.

Hans: Wołaj Weronikę. (*Morritz wychodzi.*) Co począć?

(*Wchodzi Weronika, trochę przestraszona.*)

Hans (*ostro*): Jakiej jest pani narodowości?

Weronika (*odruchowo*): Polk... To jest volksdeutsch, panie kapitanie!

Hans (*do Morritza*): Notuj pan. (*Do Weroniki:*) Czy pani zna doktora?

Weronika (*skwapliwie*): Leczył mnie na lumbago i pęcherz, bo jak się zaziębiłam na pogrzebie...

Hans (*ostro przerywając*): Co pani o nim sądzi?

Weronika (*na wesoło*): To jest nasz człowiek, panie kapitanie... Niech się pan spyta szefa dystryktu.

Hans: A to dlaczego?

Weronika: Leczył go na pasek św. Antoniego [półpasiec] i inne pofne choroby. Robił zastrzyki: pułkownik obejść się bez niego nie mógł.

<sup>50</sup> Osoby niezidentyfikowane.

Hans (*do Morritza*): Notować. (*Do Weroniki:*) Więc pani za niego ręczy?

Weronika: Czy ręczę? (*Zacina się.*) Tak... to jest zażyrowałabym mu każdy weksel.

Hans: Do słów pani, jako pochodzenia niemieckiego, przywiązuje szczególną wagę.

Weronika: Nasz człowiek.

Hans (*do Morritza*): Słyszysz pan?

Morritz: Notuję.

Hans: Możesz pani odejść.

Weronika: Nasz człowiek. (*Wychodzi.*)

Hans: A teraz Marie.

(*Morritz wychodzi. Hans poprawia włosy i ubranie. Wchodzi Mania; za nią – Morritz. Chwila.*)

Hans (*ostro*): Co pani wie o doktorze?

Mania (*wolno i obojętnie*): Poznałam go w ciężkiej chorobie, prawie w agonii – w oddziale dla zakaźnych... Ja umierałam, gdy nagle obudził mnie ze śmiertelnego snu i powołał do życia.

Hans: Co sądzisz o tym człowieku?

Mania: Że kocha chorych jak własne dzieci i poza nimi nie widzi świata.

Hans (*ostro*): Konfrontacja! Wprowadzić doktora!

(*Morritz wychodzi. Hans i Marie spoglądają na siebie. Zjawia się doktor eskortowany przez dwóch drabów i Morritz. Doktor spostrzegłszy Manię – drgnął, ale opanował się.*)

Mania: Panie doktorze!

Doktor (*odruchowo*): Mania!

(*Chwilę patrzą sobie w oczy*)

Hans (*do doktora, wskazując Manię*): Kto to jest?

Doktor: Maria Magdalena Żarska, moja pacjentka. O mało nie umarła na tyfus w oddziale dla zakaźnych.

Hans: Tak... Zeznania wasze są zgodne... (*Do Morritza:*) Może pan ma jakieś zapytania?

Morritz (*ze znaczącym uśmiechem*): Zrzekam się ich...

Hans (*do doktora i Mani*): Ale jeśli łączy was coś więcej – sprawiedliwość nie ominie was... A teraz do poczekalni – precz!

(*Wychodzą doktor i dwóch drabów w głąb. Maria – na prawo.*)

Hans (*do Morritza*): Tak. Szef dystryktu ma słuszość: aresztujemy niewinnych a winni na wolności. Młodych mi dajcie... Nie starych! Za jednego studenta dałbym dziesięciu doktorów.

Morritz: Jednak to dawny poseł na sejm.

Hans: Ale każdy z młodych to przyszły wróg Niemiec. Mamy ich legion, a wy mi tu dajecie szmelc.

Morritz: Rozkaz.

Hans: Ja nie lituję się... Litość to pojęcie żydowskie, bo chrześcijaństwo a Żydy to jedno... Ale – Herrenvolk [naród panów] może być wspaniałomyślny! Ooo! Bądźmy wspaniałomyślni, Morritz!

Morritz: Jeśli pan kapitan każe.

Hans (*pisze i podaje Morritzowi kartę*): Masz tu kartę zwolnienia dla doktora. (*Morritz bierze.*) A od jutra obława na młodych. Ja im pokażę! (*Zaciska pięści.*)

Morritz: Rozkaz... (*Po szelmowsku:*) A jak z moim urlopem?

Hans (*spogląda*): Należy ci się... cały tydzień.

Morritz (*na wesoło*): Rozkaz, panie kapitanie.

(*Wchodzi żołnierz z paczką listów.*)

Hans: Co to?

Żołnierz: Poczta...

Hans: Dawaj. (*Bierze.*)

Żołnierz (*do Morritza*): Panie poruczniku – zmiana warty!

Morritz: Idę. (Oddaje cześć i wychodzi z żołnierzem.)

Hans (*sam; nalewa kieliszek, wypija*): No! (*Ociera pot z czoła. Uśmiecha się.*) Gut! (*Przegląda pocztę... zaintrygowany... Chwyta list.*) Co to jest? (*Czyta:*) Szef Bezpieczeństwa, Kraków, poufne. (*Roztwiera i czyta:*) Na mocy doniesień i dowodów jesteśmy na tropie tajnej organizacji sięgającej aż do Lublina. W najbliższym otoczeniu organów bezpieczeństwa kręcą się agenci wroga. Oto nazwiska podejrzanych: ... Modelski, Madler.<sup>51</sup> Hm, hm... Doktor Liski (*przestraszony*), obsługa baru Walhalla... Donnez! (*Mnie papier, rozgląda się, biegnie do drzwi i woła głosem załamanym.*) Marie! Marie!

(*Wchodzi Mania. Hans zamyka drzwi.*)

Hans (*głosem niesamowitym*): Patrz mi w oczy! (*Mania spogląda śmiało – dłuższa chwila. Hans z wysiłkiem:*) Doktor wolny.

Mania (*szeptem*): Dziękuję...

Hans (*dramatycznie*): Słowa dotrzymałem!

Mania: Tak!

Hans: Ale pamiętaj! (*Podnosi ręce... Patrzy jej w oczy... Szeptem:*) Jutro.

Mania (*lakonicznie*): Tak. Żegnam pana. (*Wychodzi śpiesznie.*)

Hans (*zatacza się; idzie do biurka; bierze papier; drze w strzępy – do kosza; po chwili:*) Donnez! ... Jak ja nisko upadłem.

\*\*\*

Hans dowiaduje się ostatecznie, że Mania i doktor Liski należą do polskiej organizacji podziemnej. W chwili, gdy to następuje – Mania zabija Hansa strzałem z jego własnego pistoletu.

<sup>51</sup> Osoby niezidentyfikowane,

### 3. Celina Fijałkowska



5. Celina Fijałkowska.

#### Utracony świat

W styczniu 1940 roku rozpoczęły się [w okupowanej Polsce] masowe wysiedlenia. Dzieląc los Polaków z rejencji łódzkiej, [Celina Fijałkowska] miała trafić do obozu przesiedleńczego w Łodzi, a stamtąd na teren Generalnego Gubernatorstwa. Do dworu w Skłótach wprowadził się niemiecki administrator. [...]

We wrześniu 1941 roku Mieczysław Fijałkowski, ze względu na grożące mu niebezpieczeństwo, [...] wyjechał do Warszawy. W październiku otrzymała wiadomość, że został osadzony na Pawiaku. [...] Dzięki z trudem uzbieranej łapówce dla służby więziennej, po dwóch miesiącach odzyskał wolność. [...]

W 1942 roku zamieszkali pod Lublinem, na terenie majątku Mełgiew, będącym w zarządzie jej męża. Mieli tutaj dobre warunki mieszkaniowe i bytowe, bo dozór niemiecki był o wiele mniej opresywny, majątku bowiem nie objęto przymusowym kontyngentem. Trzynastoletnia Magda, wraz z córką właściciela majątku, przygotowywała się do gimnazjum. Byli tu świadkami dogorywania III Rzeszy [...]. [Celina] coraz bardziej zapadała w sobie i coraz częściej milczała. W Mełgwi

napisała kilka wierszy datowanych na lata 1942-1944 [...]. W poczuciu osamotnienia i w całkiem innych realiach budzących boleśnie piękne wspomnienia, pojawiają się błyski utraconego świata dzieciństwa i młodości. Melancholia ma gorzki smak wykorzenienia.

We wrześniu 1944 roku wynajęła dla siebie i córki pokój w Lublinie. Magda chodziła wówczas do czwartej klasy gimnazjum, a wiosną 1945 roku zdała małą maturę. W kwietniu – w związku z nową pracą męża – przenieśli się do Siedlec.<sup>52</sup>

#### 1. Inwokacja do św. Marii Magdaleny

O Magdaleno, opiekunko święta  
Wszystkich płomiennych, niespokojnych dusz,  
O siostrach swoich błędzących pamiętaj,  
W rozterkę serc ich łaskę ciszy złóż.  
Niepokój dręczy je, serce mi toczy  
Nienasycony czerw: miłości głód;  
Ręce chwytają się próżni i oczy  
Błądzą bezradnie po krainie złud.  
W pustym rozgwarze dni nie słyszą głosu  
Ukochanego, na szlaku swych dróg.  
Pomnij, że niegdyś, splotami Twych włosów  
Kurz Mu z pielgrzymich ocierałaś nóg,  
Że, w słowa Jego kornie zasłuchanej,  
Podążające wiernie w Jego ślad,  
Podczas wieczorów, spędzanych w Betanii,  
Dłoń Ci na głowę pochyloną kładł,  
Że krwawe Jego całowałaś rany  
I pomnij także ten świt, gdy wśród ros  
Idąc perlistych i ciszy porannej,  
Ukochanego usłyszałaś głos.

<sup>52</sup> Fragment hasła „Celina Fijałkowska z Dąglów” Grażyny Baranowskiej z *Kutnowskiego słownika biograficznego*. T. II, Kutno 2016, Kutnowskie Towarzystwo Historyczne & Muzeum Regionalne w Kutnie. Publikowane niżej wiersze pochodzą ze zbioru rękopisów Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

Te, które Ciebie wzwyż dźwignęły ręce,  
 A które potem ciężki wzięły krzyż,  
 Serc ich, tęskniących w bolesnej udręce,  
 Z ziemskiego pyłu nie uniosły wzwyż;  
 Ich, które jeszcze nie słyszały głosu,  
 Wołającego u rozstajnych dróg,  
 Którym, w straszną noc ludzkiego losu,  
 Z słodką przemocą zwykł wdzierać się Bóg.  
 Spraw, niechaj także doznają tej łaski  
 I płomień, który w głębi serc ich drży,  
 Roznieć w pochodni gorejącej blaski:  
 Naucz je, Święta, tak kochać, jak Ty.

Mełgiew, 26 grudnia 1942 roku, w niedzielę.

## 2. Dzieciństwo

Ten dzień jest jakby z przeszłości wyrwany:  
 Pachnie dalekim dzieciństwem i wiosną;  
 Czerwono-żółte kwitną tulipany,  
 Smukłe narcyzy pośród trawy rosną.  
 Wystarczy przymknąć ciężące powieki,  
 Aby natychmiast jawił się przed oczy  
 Wyczarowany z przeszłości dalekiej,  
 Ten świat dzieciństwa, jak bajka uroczy.  
 Widzę kwitnące gałązki sidoni  
 I migdałowy krzew, cały różowy;  
 Powraca przeszłość w barwach, dźwiękach, woni,  
 I falą wspomnień uderza do głowy.  
 Oto wśród rosy obudził się ranek;  
 Byleby wybiec w ogród jak najspieszniej:  
 Cekał nas stary park, pełen sasanek  
 I drzewa, w złocie przejrzystym czereśni.  
 Pachnie wilgocią ciemne parku wnętrze,  
 Dokąd wieczorem trudno wejść bez strachu,

I pachnie lato, bujne, najgorętsze,  
 Całe w rozgwarze pszczoł i róż zapachu.  
 Każdy dzień, w mnóstwo wydarzeń bogaty,  
 Był dni poprzednich barwnym dalszym ciągiem.  
 Co rano, biegło się szybko do kraty  
 Sztachet, na mknące w dal patrzeć pociągi;  
 Potem, przez cały dzień, aż do zachodu,  
 Snuło się różne przygody, powieści,  
 I nieraz, w małym kawałku ogrodu,  
 Cały nieznany, wielki świat się mieścił.  
 I było tyle możliwości wszelkich,  
 Marzeń, mieniących się tęczy kolorem,  
 Świat był tak piękny, przyjazny i wielki,  
 I drzwi wiodące doń stały otworem.  
 Gdy zmrok zaglądał przez okienne szpary,  
 Z książek sfruwała fantazja skrzydlata  
 I była cisza w krąg, a zegar stary  
 Wydzwaniał z wolna godziny... i lata.  
 I była pewność, że w tych latach szeregu  
 Nic się tak bardzo groźnego nie zdarzy:  
 Serc było tyle, chroniących od złego,  
 I tyle kroków czujących, wciąż na straży.  
 Od wszelkich strzegły trosk i niepokoju,  
 To było pewne i miało trwać wiecznie.  
 Wieczór, przy lampie, w dziecinnym pokoju,  
 Było tak jasno, dobrze i bezpiecznie.  
 W pustkę głębokich cisz przebrzmiały głosy,  
 Odeszły cicho w dal znajome kroki,  
 I świat się nagle stał dziwnie bezgłosy,  
 I dziwnie obcy i dziwnie szeroki.  
 Zgasły sny, które ziścić się nie mogą,  
 A z których tak już niewiele zostało,  
 I wszystko potem poszło inną drogą,  
 I wszystko było nie tak, jak być miało.



Przyszły dzień, pełne próżnego hałasu,  
Rzeczywistości codziennej i bladej.  
O, móc się wrócić i tamtego czasu  
Odnaleźć dawno zagubione ślady.

Wszystko, co było potem, oddać mogę  
Za całe życie, które nic nie znaczy,  
Przebyć tak samo tylko tamtą drogę,  
A wszystko żeby mogło być inaczej.

Mełgiew, 26 lipca [1942 roku].

### 3. Bratki

(dla dzieci)

Pani przyroda ze swej palety  
Wzięła przeróżne, piękne kolory,  
By przybrać bratki w żółtość, fiolety,  
I śliczne na nich malować wzory,  
Więc na rabatach, wiosenną porą,  
Barwami tymi przepysznie kwitną,  
Mienia się rdzawo-żłocistą morą,  
Lśnią czernią, miękką i aksamitną.  
I nieraz, patrząc na te rabaty,  
Gdzie się zebrało odcieni tyle,  
Pytamy siebie: czy to są kwiaty,  
Czy rozpostarte, barwne motyle?

### 4. Narcyzy

(dla dzieci)

Gdy się mówi: narcyzy, myśli się o wiosnie,  
Tej jeszcze bardzo młodej i bladej zielonej,  
Kiedy wszystko dopiero zakwita i rośnie,  
I wieści o tym biegną w cztery świata strony,

A gdy mówi się: wiosna, widzi się narcyzy.  
Kiedy przekwitną fiołki i przeminą bazie,  
Wtedy nadchodzą one: strojne w białe kryzy,  
Królowny wiosny smukłe, jasnowłose pазie.

Mełgiew, wiosną 1944 [ roku].

## 5. Święto Wniebowzięcia Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej

Co roku, tak przykazał Bóg,  
O Wniebowzięcie zorzy,  
Anieli, pośród ziemskich dróg,  
Szukają Matki Bożej,  
By Ją do rajszych, złotych bram  
Sprowadzić znów z daleka,  
A u tych wrót, Pan Jezus sam  
Na Matkę Swoją czeka.  
Powiał nad ziemią srebrny szum;  
Radosny i skrzydlaty  
Wzbija się wzwyż aniołów tłum,  
Pachną już rajskie kwiaty,  
Patriarchowie znad swych ksiąg  
Powstają uśmiechnięci  
I *Magnificat*, stojąc w krąg  
Śpiewają Wszyscy Święci.  
I w całym niebie, wszcz i wzdłuż  
Radość się wielka czyni,  
Kadzielnicami z białych róż  
Wstrząsają cherubini,  
Na harfach chór panieński gra,  
Pan Jezus uśmiechniętą  
Ma słodko twarz, i tego dnia  
Jest w niebie wielkie święto.

I jest tak jasno, dobrze tak,  
 Że Matka Boża potem  
 Przez dłuższy czas, na ziemski szlak  
 Nie spieszy się z powrotem.  
     Czemuż więc dziś zza rajskich bram,  
     Oczyrna przesmutnymi,  
     Spogląda wciąż daleko, tam  
     Ku biednej, szarej ziemi?  
 Więc pyta Pan i pyta tłum  
 Aniołów nad chmurami:  
 „Powiedz, czy Ci niedobrze tu,  
 O Matko Boża, z nami?”  
     Wśród nagich cisz, w błękitnej mgle.  
     Rozbrzmiewa Marii słowo:  
     „Spieszę się do ludu, który mnie  
     Obwołał swą królową.  
 Jakżeż się mogę cieszyć tu,  
 Anieli, z wami, w niebie,  
 Kiedy na ziemi ten mój lud  
 W śmiertelnej jest potrzebie?  
     Jak chłodzić się świeżością ros,  
     Róż rajskich wdychać technienia,  
     Gdy, dniem i nocą, płaczą w głos  
     Obozy i więzienia?  
 A więc na bliski, twardy bój  
 W tej chwili przełomowej,  
 Chcę objąć posterunek swój  
 Na murach Częstochowy.  
     Czas nagli już, więc spieszo mi  
     I pilno mi, tak samo  
     Jak za minionych, dawnych dni,  
     Nad „Ostrą” czuwać „Bramą”.  
 Choć na Twą, Synu, patrzę twarz,  
 Na którą blask się ściele,  
 Pilno mi znowu objąć straż  
 W kodeńskim mym kościele.

Z serc mych wiernych żaden wróg  
 Znieprawić się nie waży:  
 Każde – to niezdobytą próg,  
 Pókim ja jest na straży.

Mełgiew, 15 sierpnia 1943 r[oku],  
 za czasów okupacji niemieckiej.

## 6. Niemilosierdzie przeszło przez nas życie...

Niemilosierdzie przeszło przez nas życie,  
 Do samej głębi przeorał nas pług,  
 Ból w nas wytrzebił wszystko całkowicie:  
 Niech przyjdzie teraz Wielki Siewca, Bóg.  
     Niech się pochyli nad puste zagony  
     I w czarne skiby rozoranych niw,  
     Niech rzuca posiew na jutrzejsze plony,  
     Na wymarzone święto przyszłych żniw.  
 W powietrzu pachnie rozbudzoną wiosną,  
 Nadpływa z dali blask wiosennych nieb.  
 Ze skib zoranych znów kłosy wyrosną,  
 Bogate ziarno na powszedni chleb.

Mełgiew, wiosną 1944 [ roku].

#### 4. Anna z d. Modzelewska i Antoni (jr) Jadaccy



6. Anna Jadacka z d. Modzelewska.



7. Antoni (jr) Jadacki.

#### Nasza Melgiew

##### 1. Małżeństwo, rodzina, praca

*Antoni Zygmunt Jadacki* [dalej w skrócie: AZJ]: W Piekutach poznałem siostrę cioteczną proboszcza<sup>53</sup> – Annę. Spodobaliśmy się sobie. Proboszcz, kiedy to w końcu zauważył, postawił ultimatum. „Jeżeli panna Hanka zechce wyjść za mnie, to wyjdzie” – taka była moja reakcja.

Po półtorarocznym pobycie w Piekutach dostałem wypowiedzenie: od lipca 1937 roku.

Dzięki jednej z moich śpiewaczek, Janinie Sasinowskiej z Łopienia, która miała rodzinę w lubelskim, dostałem w połowie grudnia posadę w Melgwi. Proboszcz, ks. kanonik Józef Żyszkiewicz, postawił jednak jeden warunek: albo zostanę tercjarzem, albo się ożenię.

27 grudnia w Puchałach wziąłem ślub z Anną Modzelewską.

Po Trzech Królach zabrałem żonę i ojca do Melgwi. Były co prawda pewne trudności ze strony Lubelskiego Związku Organistów: pochodziłem z innej diecezji. Ks. Żyszkiewicz postawił zdecydowanie sprawę u biskupa: „Ja jestem gospodarzem w parafii, i ja dobieram sobie współpracowników”. Ale ostrzegł mnie, że kiedy jego zabraknie, pracować w Melgwi nie będę.

*Anna Jadacka* [dalej w skrócie: AJ]: Nasze pierwsze mieszkanie – to był podzielony przepierzeniem pokój i kuchnia. Mieszkanie znajdo-

<sup>53</sup> Chodzi o ks. Rocha Modzelewskiego.

wało się w domu wzniesionym w dawnych, grubych murach kościelnych (nowy kościół utrzymany był w stylu gotyku nadwiślańskiego).

Przez to mieszkanie przewinęli się: Honorata i młodszy brat Antolka, Miecio (mieszkali z nami aż do czasu, kiedy się pobrali), najmłodszy brat Antolka, Zydek (także do swego ślubu), teść Antoni, wreszcie obie siostry Antolka: Gienia i Irenka (z córką Mirką). Przez pewien czas mieszkał z nami Leos – pierwszy, uzdolniony muzycznie uczeń Antolka (uczył się gry na organach; w czasie naszego wyjazdu z Melgwi był jeszcze na miejscu).

[...]

AZJ: Starłem się pokazać, że jestem dobrym współpracownikiem. Zorganizowałem czterogłosowy chór mieszany. Zaskarbiłem sobie uznanie wikarych: ks. Wacława Zalewskiego i ks. Edwarda Cąkały. Zostałem skarbnikiem miejscowej spółdzielni, przeszedłszy kurs u znajomego księgowego w Ostrowi. Przy jego pomocy zatrudniłem w sklepie spółdzielczym Eugenię. Kiedy jeden ze sprzedawców zrobił duże manko, księża, jako założyciele spółdzielni, zaproponowali Żonie, żeby go zastąpiła. Żona poza obowiązkami domowymi – pomagała mi jeszcze w kancelarii. A obowiązków domowych było dużo.

28 listopada [1938 roku] urodziła się Bożenka.

Trudno było jednak odmówić: chodziło o kapłański prestiż. Pracy był wiele, ale i dochody niemałe. [...]

W sierpniu przyjechała z Piekut Honorata, siostra Żony; podobno było jej źle u ks. Modzelewskiego. Zgodziliśmy się, żeby została u nas na pewien czas. Ojciec tymczasem zatęsknił do Ostrowi i mimo moich perswazji wyjechał. Zaproponowałem wtedy, żeby zamieszkał u nas Mieczysław i dojeżdżał do Lubelskiego Pedagogium. Tak też się stało, ale niestety po pewnym czasie Mieczysław zrezygnował z nauki. Dzięki protekcji znajomego senatora – Jana Zielińskiego – załatwiłem u praktykę na pocztę w Minkowicach. W Melgwi przebywał także Zygmunt. Posyłałem go na naukę do profesora muzyki i dyrektora prywatnej szkoły w Lublinie, p. Koszowskiego. Po roku wyjechał do Myszynca na pomocnika organisty – Jana Lebiody.<sup>54</sup>

<sup>54</sup> Według informacji podanej w broszurze *Dzieje kościoła w Czarni. 1904-2004*, autorstwa Małgorzaty Juchimowicz, w latach 1945-1951 Stryj Zygmunt pracował jako organista w Czarni [Juchimowicz 2004: 25].

## 2. Wojna

*AZJ:* Nie nacieszyliśmy się długo szczęściem. Wybuchła wojna.

Mieczysława zmobilizowano. Jako jeniec dostał się do obozu w Częstochowie, ale szybko stamtąd uciekł. W Mełgwi poznał Honorkę, pokochali się i wkrótce zawarli związek małżeński. Zygmunt także się ożenił – z Mełgiewianką: Zofią Kosmalówną. Żona – żeby ułatwić Honorce i Mieczysławowi wejście w życie – przekazała im prowadzenie sklepu.

Ja w tym okresie miałem ręce pełne roboty. Uczyłem na fortepianie kilka osób: Piotra Dmowskiego, Stanisława Pilińskiego, Leona Błażejaka, dra Lisowskiego z córkami-bliźniętami. Parałem się fotografią: robiłem zdjęcia dowodowe, ślubne i pogrzebowe. Wydawałem też fałszywe metryki Żydom i wojskowym, aby ratować ich od prześladowań i ułatwić wyjazd do Niemiec.

Życie okupacyjne płynęło w strachu przed wpadką, przed łapanką, przed napadem rabunkowym. Trzeba się było ciągle ukrywać: to pod dachem kościoła, to na sianie w sąsiednich folwarkach p. Rulikowskiego, właściciela Podzamcza.

W czasie jednej z obław, w dzień Wielkanocy 1944 roku zostałem schwytany przez Niemców wraz z kilkudziesięcioma osobami, ukrywającymi się w podziemiach mełgiewskiego kościoła. Osadzono nas w więzieniu na Zamku Lubelskim. Na szczęście w maju, dzięki nadzwyczajnemu splotowi okoliczności, zostałem zwolniony. (Historię tę opisuję w oddzielnym wspomnieniu.)

[...]

W rok później, podczas Powstania, w szpitalu warszawskim, gdzie był operowany na prostatę, zmarł na czerwonkę ks. Żyszkiewicz. Niebawem przypomniał sobie o mnie Związek Organistów i trzeba się było rozstać z Mełgwią.<sup>55</sup>

[...]

*AJ:* Przed Wielkanocą 1946 roku przenieśliśmy się do Puchaczowa. Jechaliśmy saniami, ale było mało śniegu. Może dlatego w czasie przeprowadzki pękło wielkie lustro. A może dlatego, że Antolek położył je płasko?

<sup>55</sup> Następcą ks. Żyszkiewicza został ks. Marian Peryt, a następcą Taty – Józef Gorliński, który przed przyjazdem do Mełgwi był krótko organistą w Puchaczowie.

## 3. Mełgiewianie

*AZJ:* Przyjaciół – z którymi bym dzielił wszystkie troski i radości – nie miałem i nie mam. Starałem się zachowywać pewną rezerwę wobec kolegów i znajomych. Ale spotkałem ludzi życzliwych. Takimi byli ks. Józef Żyszkiewicz,<sup>56</sup> ks. Edward Cąkała i ks. Wacław Zalewski z Mełgwi. [...]

*AJ:* Życzliwy był dla nas zwłaszcza ks. Zalewski. Kiedyśmy się pobrali, nie mieliśmy zupełnie żadnych sprzętów; i on nam wtedy pierwszy podał rękę i zaopatrzył w najniezbędniejsze rzeczy.

[...]

*AZJ:* Naprawdę złych ludzi w życiu nie spotkałem. [...] To dotyczy swoich, Polaków. [...]

*AJ:* Antolek zapominał, jak w Mełgwi, podczas okupacji hitlerowskiej, znajomy kościelny, [...], ukradł nam kozuch i buty, i – przebrawszy się na partyzanta rosyjskiego – groził nam jeszcze śmiercią.

[...]

*AZJ:* Nie jestem przeciwny różnicom majątkowym, ale nie lubię wynoszenia się bogatszych nad tych, co są mniej zamożni. Wzorem pod tym względem byli dla mnie pp. Dreccy z Krzesimowa (p. Drecka była zresztą podobno córką jakiegoś bankiera lubelskiego) i pp. Rulikowscy z Mełgwi.

*AJ:* Rulikowscy zachowywali się różnie. Pamiętam, że kiedy nie obsługiwałem kolejki p. Rulikowskiej, ta poskarżyła się władzom spółdzielni, że nie okazała jej należnego szacunku i że nie zwróciła się do niej per „Jaśnie Pani”. Rzeczywiście tak było. Dopiero jak się dowiedziała, że jestem szlachcianką, zmieniła nastawienie i na jakimś zebraniu dobroczynnym podeszła i – jak gdyby nigdy nic – podała mi rękę.

## 4. Niemcy

*AZJ:* [...] Z obcych – najwięcej stykaliśmy się z Niemcami. Szkoda, że podczas wojny, bo to był czas bestialstwa. Niemcy traktowali ludzi jak bydło; widziałem na własne oczy, jak schwytanych i powiązanych partyzantów rzucali do samochodów – jak kłody drewna.

<sup>56</sup> Ks. Żyszkiewicz miał zwyczaj zwracać się do swoich parafian: „Mój Kochany!”. Znany był z udzielania potrzebującym «bezzwrotnych» pożyczek. Nie znosił plotek – i zwalczał plotkarstwo u innych.

*AJ:* W czasie okupacji hitlerowskiej pracowałam w sklepie *Jedność* w Mełgwi. Kiedyś wszedł jakiś umundurowany Niemiec z tłumaczem i chciał kupić jajka i masło. A wtedy te rzeczy się skupowało, ale nie można było sprzedawać; oddawało się je do Lublina i wymieniało na inne towary. Niemiec nie chciał o tym słyszeć i o mało nas po prostu nie zastrzelił. W końcu kazał sobie podać i jajka, i masło, i wiele innych rzeczy, a kiedy mu zapakowałam, powiedział, że rachunek ureguluje później. Nie zrobił tego – do dzisiejszego dnia. Ale nawet w czasie wojny niektórzy Niemcy zachowywali się przyzwoicie. Pamiętam, że kiedyś do naszego mieszkania wszedł jakiś pułkownik, chyba zresztą Austriak, ze swoim podwładnym; Niemcy chcieli zająć cały dom dla siebie.<sup>57</sup> Kiedy asystujący pułkownikowi żołnierz nie zdjął czapki, oficer z wyraźnym oburzeniem mu ją zrzucił z głowy. Zresztą w końcu pozwolono nam zostać na miejscu, głównie chyba przez wzgląd na małą Bożenkę.

*AZJ:* Pamiętam, że ten sam oficer, zanim zaczął palić, zapytał, czy wolno. Kiedyś z Berlina przyjechali do nich artyści. Wtedy pożyczili od nas fortepian, a mnie zaprosili nawet na koncert. Pech chciał, że w fortepianie przechowywałam wojskową latarkę (której używałem do wywoływania zdjęć). W czasie przenoszenia instrumentu – wypadła. Jeden z gestapowców przyniósł mi ją razem z fortepianem. Pomyślałem: „Koniec ze mną!” Ale on uśmiechnął się, odsalutował i wyszedł.

*AJ:* Jeden z żołnierzy Luftwaffe, obsługujący dawne Lotnisko Rydza-Śmigłego, mieszkał z nami w Mełgwi przez miesiąc – tuż przed inwazją na Rosję. I często po kryjomu przynosił nam jedzenie w swojej menażce; kiedyś Bożence dał czekoladę i pomarańczę. a mnie – starannie zdjęte skórki pomarańczowe.

*AZJ:* Bożenka w czasie okupacji była chora na miedniczkę. Lekarz niemiecki, który mieszkał w Mełgwi w tym samym budynku, co my,

<sup>57</sup> W dniach 17-18 czerwca 1941 roku przerzucony został na lotnisko wojskowe w Świdniku k. Lublina pułk Luftwaffe, którym dowodził jako głównodowodzący (Geschwaderkommodore) ppłk. (Oberstleutnant) Otto Höhne, pochodzący ze Śląska. W skład dowództwa pułku wchodził jeszcze mjr Erhart Krafft von Dellmensingen, kpt. (Hauptmann) Richard Linke oraz kpt. Hans Widmann. «Wizytę» złożył prawdopodobnie ten pierwszy.

zwrócił na to uwagę i poradził, żebyśmy ją nosili wyłącznie na rękach. Rzeczywiście pomogło.<sup>58</sup>

*AJ:* Kiedyś w czasie masowych aresztowań jakiś Niemiec wpadł do naszego mieszkania. Zobaczywszy fortepian, kazał sobie zagrać coś Beethovena. Antolek zaczął grać jakieś mazurki, bo Beethovena nie miał akurat pod ręką. Niemiec od razu rozpoznał, że to były utwory Chopina. Na szczęście dał nam spokój.

*AZJ:* Już w przeddzień uderzenia na Sowiety pewien trzydziestoletni wartownik niemiecki, w Mełgwi, dał mi do zrozumienia, że klęska Polaków, to, że dali się pobić hitlerowcom, jest nieszczęściem również dla Niemców.

[...]

*AJ:* W czasie wojny okazało się, że nie jestem tchórzem: nie uleżałam się Niemców i nie wydałam księży – Antoniego Kimaczyńskiego (z Biłogaraja) i Czesława Wiślińskiego, mimo że wiedziałam, gdzie się ukrywają.

*AZJ:* I ja wytrzymałem wtedy próbę niemieckich tortur. Na Wielkanoc 1944 roku maltretowano mnie, bito, kopano, związane w kij, lano naftę do nosa i ust – wszystko po to, żebym powiedział, gdzie jest kryjówka księży. Potem uwięziono mnie w Zamku Lubelskim. Uwolniono nas 129 Mełgiewian w drodze wymiany za uprowadzonego przez partyzantów osiemnastoletniego syna landrata lubelskiego.<sup>59</sup> W tej sprawie interweniował ponoć sam gubernator Frank; gestapowcy trzymali nas jako zakładników – gdyby w okręgu lubelskim doszło do działań partyzanckich, mielibyśmy być wywiezieni do Majdanka lub Oświęcimia. Ostatecznie zginął tylko jeden z nas, raz już ujęty w jakiejś łapance, ale wykupiony wtedy przez matkę, właścicielkę zajazdu w Mełgwi.

<sup>58</sup> W istocie Bożenka cierpiała na zwichnięcie stawu biodrowego – i terapia (skuteczna) dotyczyła właśnie tego.

<sup>59</sup> W Generalnym Gubernatorstwie nie było – ściśle biorąc – stanowiska landrata (starosty powiatowego); funkcję landrata pełnił urzędnik zwany „naczelnikiem/zarządcą powiatowym” (Kreishauptmann). W 1944 roku naczelnikiem powiatu lubelskiego był Emil Ziegenmeyer – więc być może o niego tu chodzi. Niewykluczone jednak, że mowa tu o ówczesnym gubernatorze okręgu lubelskiego – Richardzie Wendlerze.



## 5. Żydzi

*AZJ:* Podczas okupacji w Mełgwi wydawałem chrześcijańskie metryki urodzenia (zmarłych rówieśników) Żydom, co umożliwiało im wyjazd do Niemiec na roboty. Takie metryki wydałem m.in. dzieciom właściciela garbarni w Lublinie.<sup>60</sup>

*AJ:* W Lublinie, kiedy lekarza żydowskiego hitlerowcy zabrali do getta, jego żonę przechowywały zakonnice (Siostry Rodziny Marii) w Nałęczowie, a około dwudziestoletnią córką (która studiowała we Włoszech i przyjechała na wakacje) zaopiekował się proboszcz parafii św. Piotra i Pawła w Lublinie i przekazał do domu zakonnego (Sióstr Rodziny Marii) w Mełgwi. Tam przetrwała okupację; pod koniec była tłumaczką w gminie.<sup>61</sup> Po wojnie, jako Krystyna Modrzewska, była profesorką anatomii prawidłowej w Akademii Medycznej w Białymstoku i w Lublinie. Wiadomości te pochodzą od niej samej i Marii Siudówny-Witkowskiej, wykładowczyni biologii w Akademii Medycznej w Białymstoku.

*AZJ:* W Janowicach ogrodnik Jan Szczepanik<sup>62</sup> przechowywał w dole od ziemniaków położonym w szkółce drzewnej, 45-50-letniego Żyda (z cielakiem, który go ogrzewał własnym ciałem). Po wojnie ów Żyd się przechrzczył; w czasie spisowania aktu urodzenia o Szczepaniku mówił: „To mój ukochany ojciec!” Ale podobno później swego dobroczyńcę zaskarżył do sądu, zarzucając mu, że go za słabo karmił, i twierdząc, że z tego powodu zapadł na gruźlicę. Sąd sprawę oddalił.

*AJ:* Przed wywiezieniem Żydów z okolic Mełgwi do getta w Piaskach Luterskich – Niemcy znęcali się nad nimi, ganiając dookoła Domu Parafialnego. Potem spędzili ich do sali widowiskowej na pierwszym piętrze Domu i zmuszali ich tam do odkrywania «żydowskiej mszy». Na estradzie po bokach siedzieli w dwóch rzędach mężczyźni i «kiwali się», a w środku siedział kantor i śpiewał tak przejmująco, że

<sup>60</sup> Zapewne chodzi o dzieci Szmula Ajchenbauma (zginął w getcie w Radomiu), właściciela największej garbarni lubelskiej: Fajgę i Icka (oboje się uratowali).

<sup>61</sup> Ona sama tak to wspominała: „Zarząd Gminy Mełgiew był pierwszym miejscem mojej pracy w latach okupacji. Zaangażowano mnie jako tłumacza, gdy pierwsze aresztowania na tym terenie zagarnęły wójta Burdzanowskiego, sekretarza Żmurkę i tłumaczkę, nauczycielkę miejscowej szkoły – Tajchertównę” [Modrzewska 1991: 120-121].

<sup>62</sup> W rzeczywistości chodzi o Andrzeja Szczepanika.

się rozplakałam. Mieszkalam na parterze i widziałam tę scenę przez uchylone drzwi. Stan sanitarny spędzonych musiał być bardzo zły, skoro po ich wyprowadzeniu całe mieszkania były zapełnione.

*AZJ:* W getcie lubelskim zebrano kiedyś ochotników na roboty do kamieniołomów w lesie koło Krępca (należącym do majątku [p.] Dobosza). Kiedy Żydzi zorientowali się, że to pułapka i że będą ich rozstrzeliwać, zaczęli wdeptywać biżuterię w poszycie leśne. Okoliczni mieszkańcy później znajdowali tam wiele kosztowności.

*AJ:* Na początku okupacji Niemcy wyprowadzili z ochronki żydowskiej w Lublinie dzieci z wychowawczynią za miasto na drogę do Mełgwi – i tam wszystkich rozstrzelali. Widział to dekarz, Józef Kotulski, gospodarz spółdzielni Jedność, który jechał tą drogą z towarem do sklepu.

*AZJ:* Gestapowcy przywieźli kiedyś do kamieniołomów przy drodze z Lublina do Piasków Luterskich (wydobywano tam piaskowiec) zagazowane dzieci żydowskie. Więźniowie wrzucali je do dołów; niektóre jeszcze się ruszały. Jeden z Niemców nie mógł widocznie wytrzymać tego widoku, bo strzelił sobie w głowę; przeniesiono go do zajazdu w Krępcu. Zdarzenie opowiadał mi właściciel zajazdu.

*AJ:* Zagłada Żydów była publiczną tajemnicą. Śwąd spalenizny z krematorium Majdanka przy wietrze zachodnim było czuć aż w Mełgwi.

*AZJ:* Żydówka – sąsiadka z Mełgwi – przed wywiezieniem do getta (w Piaskach Luterskich) powiedziała: „Jeżeli w tym roku nie będzie przepiórek, to Żydów czeka zagłada”. I rzeczywiście przepiórek nie było. Żydzi odchodzący do getta w Lublinie mówili do nas: „Teraz my, później – wy”. Ale Polacy ginęli i przedtem, i potem. W Lublinie w pierwszych latach okupacji rozstrzeliwano Polaków na jednym z cmentarzy. Kiedyś nocą dowlókl się do lekarza w Mełgwi młody mężczyzna, ranny w głowę, który po takiej egzekucji wydostał się spod stosu trupów.

[...]

Do dziś mam w uszach słowa, które wypowiedziała na odchodnym [inna] nasza sąsiadka, [również] Żydówka: „Hitler zginie, a my będziemy rozmnażać się jak pył. Po nas i wy zginiecie. Żegnajcie!”

## 5. Krystyna Modrzewska



8. Krystyna Modrzewska.

### Zapamiętane obrazy<sup>63</sup>

#### 1. U sióstr betanek

Dom nad bagnami. Dom z kamienia, bardzo stary, bielony, niski i długi, cały niemal ukryty za rzędem bzów, rozrosłych wzdłuż zmurzonego płotu. Patrzy w stronę drogi i ku wysychającym stawom rzędem małych okienek. To właśnie tutaj mieszkam, odkąd nie pozostało mi nic własnego oprócz imienia.

Mieszkam w zagrodzonym przez wysoki parawan kącie szwalni ubogich sióstr zakonnych. Kawałek okna, bielona wilgotna ściana, suto marszczone płótno i łóżko żelazne, przykryte zielonkawym, szorstkim kocem. Za parawanem od rana do późnego popołudnia terkocze nie noliwiona maszyna do szycia, słysząc gderliwy i chropawy głos surowej siostry Teresy, na przemian to krzykliwe, to znów stłumione rozmowy dziewcząt, ich zduszone chichoty, czasem śpiew.

Zapach rozgrzanych żelazkami materiałów, spoconych, niedomytych ciał i zbyt rzadko zmienianej bielizny miesza się nieustannie z przenikającymi poprzez przepierzenie zapachami kuchennymi, wśród których króluje dusząca woń przysmażanej, starej słoniny.

<sup>63</sup> Fragmenty tomu *Słowa pierwsze i ostatnie*, wydane pod pseudonimem: Adam Struś [Modrzewska 1967: 21-62]. Śródtytuły pochodzą ode mnie.

Rano pracuję w tak zwanej kancelarii, maleńkim pokoiku o ścianach z dykty, wbudowanym w wielką i mroczną salę ochronki. W sali tej bawi się zwykle kilkoro dzieci, przyprowadzanych przez rodziców na czas pracy w polu. Dzieci hałasują, przewracają stolki i siebie nawzajem, płaczą, wydzierają sobie zabawki. Raz po raz ponad ten dziecięcy jazgot wzbija się piskliwy głos siostry Brygidy: „Grzecznie, dzieciaczki, grzecznie! Bozia patrzy!” Ale dzieciaczki ani myślą być grzeczne. Prym wie dzie Jasiek, wychowanek sióstr, podrzutek, siedmioletni chłopak o ponurym spojrzeniu i odstających uszach. Sepłeni w kółko jakieś niezrozumiałe wyrazy, miota się po sali, długo i uparcie podskakuje w miejscu.

Za ścianą z dykty tłumaczę na język niemiecki statut zgromadzenia sióstr, bo tego życzyły sobie władze starościnie. Ponadto prowadzę rachunki: wpisuję do czarnego brulionu dwie kolumny cyfr. Mam też uporządkować bibliotekę. Słyszałam już kilkakrotnie, że *Żywot błogosławionej Imeldy Lambertini* zginął właśnie dlatego, że książki nie są dotychczas skatalogowane.

Pochylam głowę na znak zrozumienia i gotowości działania, a jednocześnie na wspomnienie owego piętnastowiecznego kościółka w głębi placu, zacisznego i dostojnego, złotawego półmroku nawy i tego miejsca jaśniejszego od innych, w którym ustawiono kryształową trumnę małej dziewczynki.<sup>64</sup>

– Siostra ma rację. Ale czy siostra na pewno wie, kim była Imelda z bolońskiego rodu Lambertinich? Mała dziewczynka, która umarła z nadmiaru wzruszenia.

Na najbliższe dni jest jeszcze sporo dodatkowej roboty. Dziewczęta szykują przedstawienie na imieniny księdza proboszcza.

– Pan im pięknie, wyraźnie rozpisze rolę?

Wspólnie z Ignacem, starszym z dwóch wychowanków sióstr, mamy także doprowadzić do jakiego-takiego porządku zapuszczony, niewielki ogród. Ignac gada bez przerwy. Chichocze:

– Ale dziś siostronie barszcz przypaliły! Niech to kaczki kopną! Jadł pan? Przypaliły. Prawda, że przypaliły?

<sup>64</sup> Aluzja do przedwojennego pobytu autorki w Bolonii, gdzie w latach 1937-1939 studiowała na Wydziale Przyrodniczym miejscowego uniwersytetu.

– Jadłem.

Barszcz je się tu zwykle trzy razy dziennie. Jest szary, wodnisty i kwaskowaty; pachnie stęchlą mąką, a czasem pływają po nim dwa lub trzy duże skwarki starej słoniny. Ale nie szkodzi.

Czasem, gdy tylko uda jej się wyrwać z kuchni, pomaga nam poczciwa, tłusta siostra Julia. Wtedy chichoczą na przemian z Ignacem. Siostrzyczka rumieni się łatwo, uśmiecha się szeroko i naiwnie:

– Niech pan opowie coś wesołego, proszę pana!

Cóż wesołego mogę opowiedzieć tym dwojgu?

## 2. Dziewczyny

Pamiętam wciąż jeszcze te chichotliwe, głośnie i rumiane dziewczyny, pochylające się wokół długiego stołu nad kawałkami wzorzystych materiałów. Tak niewiele trzeba było, aby wybuchały głośnym, zaraźliwym śmiechem. Śpiewały:

Ach te cza-arne oczy, gdybym ja je miał,  
Za te cza-arne oczy serce i du-szę bym dał.

Albo:

Nad Ebru falą goniąc spojrzeniem...

Czasem, niezbyt często, przypominało się siostrze Teresie, iż należy krzawić w tych młodych sercach ducha pobożności.

– Dziewczynki! Odmawiamy koronkę do Przenajświętszych Ran Chrystusowych.

I ponad pochylonymi głowami płynął monotonny szmer mechanicznie odmawianej modlitwy.

Postanowiono, że codziennie czytać będę dziewczętom, w czasie obiadu, wyznaczony przez siostrę urywek Ewangelii. Obiad zjem później, a będzie to, jak zapewniła siostra, na pożytek wszystkim i na chwałę Bożą. Poza tym jednak mam bywać w pracowni jak najrzadziej.

– Spodziewam się, że pan rozumie?

– Oczywiście.

Kiedy jednak siostra Teresa, wydawszy mnóstwo zleceń, rozkazów i zakazów, po wielkich przygotowaniach i niespokojnej krzątanie,

wyjeżdżała na cały dzień do pobliskiego miasta – trzęsły się od gwaru i śmiechów ściany szwalni, z której niemal nie wychodziłem.

Jakże wesołe i beztrudne były wtedy te dziewczyny. Przed nimi leżały ich losy, jeszcze niewiadome i nieodgadnione, a wkrótce już mające się dopełnić. Wybiegały naprzeciw okrucieństwu życia i wojny radosne i nieprzeczuwające.

A przecież już niedługo zginie w obozie brat Janki.<sup>65</sup> Ojciec jej<sup>66</sup> przejdzie przez piekło niemieckich więzień i przesłuchań. [...]

Już niedługo gruba i wielka Mańka<sup>67</sup> ucieknie z domu, aby uniknąć prześladować macochy. Będzie się tułać po służbach, aż wreszcie zostanie księżą gospodynią i z pańska, w futrze, odwiedzać będzie rodziną wioskę pod lasem.

Już w rok później Hela<sup>68</sup> rozpocznie samodzielne gospodarskie życie pełne kłopotów, pracy i dzieci. [...]

Ale to wszystko i tyle innych złych rzeczy dopiero się stanie.

## 3. W Zarządzie Gminnym

– Pan siądzie przy tym biurku pod oknem.

Codziennie o godzinie ósmej zasiadam teraz przy odrapanym biurku pod oknem, przez które widać krzak bzu i kawałek ścieżki do ustępu. Nieco później zjawia się sekretarz Zarządu Gminnego,<sup>69</sup> wysoki spłowiały dryblas, i ceremonialnie, w ustalonej kolejności, wita się z urzędnikami stłoczonymi za kontuarem, który przedziela na dwie nierówne części ciemny, kwadratowy pokój. A więc z panem Stanisławem,<sup>70</sup> który od kilkudziesięciu lat pięknym kaligraficznym pismem wypisuje nakazy podatkowe; z panią Genią,<sup>71</sup> która zaraz potem i już przez cały dzień będzie się z kimś o coś głośno kłócić; z

<sup>65</sup> Chodzi zapewne o Janinę Fabian, siostrę Tomasza Burdzanowskiego, zamordowanego przez Niemców w KL Auschwitz.

<sup>66</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>67</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>68</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>69</sup> Chodzi zapewne o Romana Wrzesińskiego.

<sup>70</sup> Chodzi zapewne o Stanisława Śliwińskiego.

<sup>71</sup> Osoba niezidentyfikowana.

panną Marią od spraw ewidencji ludności;<sup>72</sup> z panem Marianem od kontyngentów;<sup>73</sup> i ze mną. Ja jestem tłumaczem gminnym.

Znalazłem się tu w wyniku pertraktacji i na mocy porozumienia między siostrą Teresą a sekretarzem gminy. Zostałem, aby wyrazić się jasno, wypożyczony na czas nieograniczony, w zamian za zapewnienie przez władze gminne dodatkowego przydziału drzewa opałowego oraz za obietnicę interwencji w sprawie tygodniowego przydziału masła dla sióstr.

Zdanie po zdaniu, stronicę po stronicy tłumaczę zarządzenia władz okupacyjnych, pisma z groźnych urzędów w dalekich miastach. Tam zdają się ani na chwilę nie zapominać o żadnej wiosce, niemalże o żadnym jej mieszkańcu.

Szkolno-słownikową niemczyzną odpisuję na urzędowe pisma. Układam obce wrogie słowa w zdania wyjaśnień, zaświadczeń i prośb.

Wieś jest stara, rozległa, płasko rozsiadła na wysychającej rzeczką. Długim, rozwidlającym się tu i ówdzie rzędem chałup mija czerwony kościół, przekracza tory kolejowe i sięga aż po aleję wjazdową do pałacu dawnych panów tej ziemi.

Wieś łączy z miastem wojewódzkim<sup>74</sup> szesnastokilometrowy odcinek nie najgorszej szosy – to stanowi jej największe nieszczęście. Zbyt łatwo tu dojechać zielonym, żandarmskim «budom». Byli niedawno. Zabrali dawnego wójta i poprzedniego sekretarza gminy, nauczycielkę, dwóch księży i innych jeszcze. Również tłumacza, którego miejsce zająłem.<sup>75</sup>

We wsi jest dużo młodych i to znów stanowi jej największe szczęście, bo mimo wszystkich groźnych spraw i zdarzeń wojny słysząc wieczorami wesołe szepty na cmentarnej drodze, śmiechy po zapłociach i śpiewy beztroskie w chatach. Bez trudu wsiąkam w klimat młodości.

W niedzielne popołudnie patrzę przez małe okienko na bagniste łąki i wysychające stawy. Wysoką zieloną groblą idzie nauczycielka.<sup>76</sup>

<sup>72</sup> Chodzi o Marię Siudównę.

<sup>73</sup> Chodzi najprawdopodobniej o Mariana Rubaszkiwicza.

<sup>74</sup> Mowa o Lublinie.

<sup>75</sup> Chodzi kolejno o następujące osoby: Tomasza Burdzanowskiego (wójta), Stefana Żmurka (sekretarza), Helenę Bohunowską (nauczycielkę), ks. Edwarda Cakałę i ks. Wacława Zalewskiego; oficetłumacza nie dało się zidentyfikować.

<sup>76</sup> Osoba niezidentyfikowana.

Jest zgrabna i giętka; powiewa różową sukienką w duże kwiaty. Ma dwadzieścia siedem lat, ale dla wsi i dla nas wszystkich nie jest już młoda. Mieszka ze sparaliżowaną matką w chacie prawie na skraju wsi. Mówiono mi, że jej narzeczony<sup>77</sup> padł w pierwszych dniach września 1939; także brat. Po bracie to ma nawet pamiątkę: przestrzeloną fotografię, którą nosiła na sercu – tak mówią na wsi. Fotografię z narzeczoną, bo on miał się żenić z córką miejscowego organisty.<sup>78</sup>

Pomyliły się wróżby. Te dwa śluby się nie odbędą. Podobnie jak wiele innych.

Przychodzi mi nagła myśl, aby wyjść jej tą zieloną groblą naprzeciw. Ale nie znajduję w sobie słów, które bym jej miał do powiedzenia.

#### 4. Lotnicy we wsi

Jest czerwiec roku 1941.

Śpiewy błagalne pomiędzy starymi kasztanami i topolami, rozłożystymi klonami, gęstwiną akacji i krzewów dzikiego bzu na wiejskim cmentarzu. Tylko nieliczni mieszczą się wewnątrz małej kapliczki. Otacza ją szczelny, wielobarwny, falujący tłum kobiet. Młodsze są różowe, i błękitne, seledynowe, kwieciste, jedwabne lub żorżetowe, szeleszczące lub powiewne. Starsze – w bluzkach wzorzystych lub czarnych, wypuszczonych na ciemne, sute spódnice, dołem lamowane czarnymi tasiemkami. Chusteczki białe, pomarańczowe, zielone – wszystkie rozkwitające mniejszymi lub większymi czerwonymi różami.

Tłum kobiet przetykają ruchliwe złote punkciki dziecięcych głów. Jasne grzywki, cienkie warkoczyki, wierzące się kule ostrzyżonych łebków. Marszczone sukienki z falbankami; ubranka granatowe o zbyt długich spodenkach.

<sup>77</sup> Wiadomo, że w Kampanii Wrześniowej polegli dwaj bracia Witkowscy: Bolesław i Władysław. Wszystko wskazuje na to, że sformułowanie „także brat” – dotyczy jednego z Witkowskich, nie chodzi zaś o brata nauczycielki, o której pisze Modrzewska.

<sup>78</sup> W tym czasie organistą w Mełgwi był mój Ojciec, który miał tylko jedną córkę – Bożenę; nie wchodzi ona w grę, gdyż urodziła się w 1938 roku. Może więc chodzi o – w pewnym sensie – drugiego organistę, który przebywał wtedy z Mełgwi, tj. mego Dziadka; jedna z jego córek miała na imię „Irena” (urodziła się w 1911), a druga – „Eugenia” (urodziła się w 1912); wchodziłaby raczej w grę ta druga.

Nieco dalej, u wylotów zarośniętych alejek, grupki mężczyzna granatowych, brązowych lub szarych. Twarze nieruchome, spalone słońcem, o białych czołach. W rękach złożonych na brzuchach odświeżone maciejówki, czapki, kapelusze brązowe lub zielone.

Spotykamy się wszyscy w te pogodne czerwcowe popołudnia wojenne wśród wiejskich grobów. Na razie łączą nas tylko gorące słowa suplikacji.

Wszystkie nabożeństwa odprawia się teraz w kaplicy na cmentarzu. W czerwonym kościele mieszkają niemieccy lotnicy. W bocznych nawach stoją piętrowe prycze, a środkiem stoły na kozłach i długie ławy. Stoły wyszorowane czystusiutko, a na nich bukiety polnych kwiatów. Z ambony czytają rozkazy dzienne i wszelkie komunikaty.

Pełno Niemców we wsi. Kwaterują w szkole, zajęli dwa pokoje zakonnicom i puste baraki za mostem. Chodzą po chałupach, kupują jajka, mleko; proszą, żeby je ugotować, żeby uprasować koszule, zacerować skarpetki. Proszą, są grzeczni, płacą za wszystko. Dzieciom wiejskim wypychają czekoladki; łagodnie uśmiejają się do dziewcząt. Tacy mili chłopcy. Wierzyć się nie chce, że to ci sami palili i burzyli miasta, we wrześniu 1939 obniżali loty nad torami kolejowymi, nad szosami i nad drogami polnymi i ogniem zmiotli z nich dniem i nocą przepływające fale ludzi. Ci sami rzucali bomby na małe wioski i osiedla, i celowali z karabinów maszynowych do matki karmiącej niemowlę, do pastucha wyganiającego krowy, do dziecka biegnącego za gęśmi.

Wynieśli ławki z budynku szkolnego i ustawili wzdłuż ogrodzenia. Rano można ich zobaczyć siedzących rzędem w tych ławkach, powoli, starannie golących się. Po południu i pod wieczór, póki nie zrobi się zupełnie ciemno, piszą długie listy.

## 5. Szewc

Deszcze ostatnich kilku dni i grząskie błoto na wiejskich drogach wpłynęły nader niekorzystnie na stan moich czarnych, cienkich półbutów.

Siedzę w przemoczonych skarpetkach na stołku w kuchni szewca Gaja. Icek Gaj, Żyd całkowicie schłopiały, w starej maciejówce na głowie, medytuje nad nędzą mojego obuwia. Mówi pogardliwie:

– W takich pantofelkach to się pan mogłeś wybrać na Marszałkowskie. Na wieś to trza but z cholewą, nie takie coś.

Wreszcie mruczy pocieszająco:

– Posiedź pan sobie, trochę panu te lakiery ześcibolę...

Po kuchni krząta się żona i trzy córki Gaja.<sup>79</sup> Dwie starsze są jasnowłose i jasnookie, uczesane po wiejsku – ciasno splecione warkoczyki zwinięte na tyle głowy. Najmłodsza jest po matce ciemnowłosa, drobna, inna. Matka wysyła ją po coś do sąsiadki:

– Leć no do Józwowej.<sup>80</sup>

Podobno do dziewcząt zachodzą gospodarscy chłopcy. A niby dlaczego nie? Wzrastali tu razem, gonili się po łąkach nad stawami, siedzieli w jednej szkolnej ławce, teraz razem chodzą do żniw, do kartofli. Nikt ich nie nauczył nienawiści. I już bardzo niedługo, za kilkanaście miesięcy, gdy trzy siostry kryć się będą jak wygłodniałe i zaszczute zwierzęta w dworskich stogach, nie wyda ich nikt ze wsi. Tamte dwie wyda przybysz z miasta; sługus niemiecki (we wsi pamiętają jego nazwisko<sup>81</sup>), wytworny starszy pan, zadzwoni na posterunek granatowej policji. Pojadą na dworskie pola z żandarmami z pobliskiego miasteczka. Człowiek z miasta, policjant, zastrzeli tę najmłodszą.

Najstarsza z córek zabawia mnie rozmową, podczas gdy ojciec, pomrukując, mozoli się nad moimi półbutami.

Matka odwraca twarz od paleniska:

– Może by się pan poczęstował marchewką? Bardzo smaczna. Gdyby pan nie pogardził...

– Ależ bardzo dziękuję.

– No, niech pan tylko skosztuje...

To dziwne, że po tylu latach, pisząc te słowa, pamiętam jak najdokładniej kształt i kolor spodka, łyżeczkę o pożółkłym trzonku zakończonym głową jakiegoś zwierzęcia o ostro sterczących uszach i groźnym pysku.

Marchewka jest ciemnozłota, lepka i bardzo słodka. Ma zupełnie inny smak niż jedzona kiedykolwiek przedtem. Czyżby to właśnie był ten żydowski cymes?

<sup>79</sup> Osoby niezidentyfikowane.

<sup>80</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>81</sup> Osoba niezidentyfikowana.



– Pan masz mieć but z cholewą, oficerki, jak się należy, nie takie coś – powtarza swoje stary Gaj.

I tak się jakoś zgadło, że właściwie tych butów, jakby należało, to na razie nie mam za co kupić.

– Jak pan chcesz zarobić, to pomożemy – odzywa się córka. – Możem wziąć do spółki wieprzka, takiego nie za dużego. Znajomy gospodarz na kolonii bił; nawet wzięłabym połówkę, ale nie trafiał się amator na drugą. To pan by chciał? Ten gospodarz na pieniądze dzień-dwa poczeka; nie ma strachu.

Uradziliśmy, że owszem, można spróbować.

– To ja już biorę worek i lecę po tego wieprzka.

– Może bym pani pomógł?

– Też coś! Jeszcze pan sobie ubranie pobrudzi i jakby kto zobaczył...

Roześmiała się.

Tegoż popołudnia handlowałam rąbanką. Wieczorem zawiozłam kilka kilogramów do miasta, bo sporo zostało i mogłoby się popsuć. Ledwo się tego wszystkiego pozbyłam. Zarobek minimalny. Na buty i tak musiałem w końcu sprzedać zegarek, a pamiętam jeszcze «gwiazdkę», na którą go dostałem od babki.<sup>82</sup>

## 6. Pomarańcze

Lotnicy urządzili strzelnicę na podwórzu domu zakonnic. Strzelają z wiatrówki do celu: do pudełka lub butelki ustawionej na płocie. Ot tak, dla sportu. Odmierzają krokami odległość, składają się, celują. Śmieją się hałaśliwie, ogromnie zadowoleni z każdego celnego strzału. Przyglądam się razem ze znajomym wiejskim chłopakiem.

– Chcecie spróbować.

Pewno, że mielibyśmy ochotę. Waham się przez dłuższą chwilę. Kiedyś na ćwiczeniach PW byłem niezłym strzelcem, ale od tego czasu minęło przecież kilka lat.

Jeden z żołnierzy przynosi pomarańcze, układa na ławce pod ścianą domu.

– Spróbujcie, chłopcy. Za trzy trafienia – pomarańcza.

<sup>82</sup> Mowa o babce ojczystej Modrzewskiej – Reginie Mandelbaum.

Pierwszy strzela tamten. Przymruża oko, przekrzywia głowę, składa się. Odstające uszy mocno mu się zaczerwieniły. A oto i trzy okrągłe dziurki w tekturowym denku pudełka.

Potem ja. Trzy dziurki, jedna tuż obok drugiej w pokrywce tego samego pudełka.

Chłopak poszedł do domu ze swoją zdobyczą; ja postanawiam ofiarować swoją Zosi – najmłodszej z siedmiorga (dotychczas) dzieci sąsiada, biedaka i epileptyka.<sup>83</sup> Zosia, blada i zasmarkana, z trudem tocząc się na cienkich kabłąkach krzywicznych nóg, bawi się zazwyczaj przed domem w kurzu lub błocie. Raz i drugi wyglądam za furtkę – teraz właśnie jej nie ma: teraz, kiedy zamierzam ofiarować jej złotą kulę południa, która linią niesławnej «osi» przywędrowała do niemieckich żołdaków, a wraz z nimi do polskiej wsi. Zosi nie ma nigdzie. Machinalnie obieram pomarańczę, oczyszczam ją powoli, ostrożnie rozdzielam cząsteczki. Jest soczysta, słodka, pachnąca odległymi słonecznymi dniami. Rozgniataam językiem o podniebienie cząstki owocu, wysysam sok. I wtedy nagle przychodzi mi do głowy myśl-pytanie:

– Czy ludzie, którzy tak dobrze strzelają, nie powinni strzelać?

## 7. Przy wódce

Godzina dwudziesta jest godziną policyjną nie tylko w myśl zarządzeń władz okupacyjnych, lecz również sióstr. O tej godzinie zamyka się furtkę, zaryglowuje drzwi, a wszyscy domownicy winni być wewnątrz domostwa. Ostatnio nastręcza mi to poważnych trudności. Popołudniami spotykamy się u któregoś z kolegów, najczęściej w gościnnym domu panny Marii, koleżanki z urzędu gminnego, albo w przytulnym pokoiku panny Stasi,<sup>84</sup> która niedawno rozpoczęła pracę w gminie. Jest «wysiedloną» z Pomorza. Straciła narzeczonego – oficera policji.<sup>85</sup> Kandydat na następnego siedzi w więzieniu na lubelskim Zamku,<sup>86</sup> a panna Stasia co pewien czas wysyła paczki również niezna-

<sup>83</sup> Osoby niezidentyfikowane.

<sup>84</sup> Chodzi zapewne o Stanisławę Majewską.

<sup>85</sup> Zapewne chodzi o Mieczysława Serwinowskiego, zamordowanego przez Rosjan w Miednoje.

<sup>86</sup> Osoba niezidentyfikowana.

jomemu oficerowi – jeńcowi jednego z oflagów w głębi Niemiec.<sup>87</sup> Jest wesoła, szczeniutliwa, dużo mówi, a jeszcze więcej się śmieje, częstuje nas wódką, wędliną, sałatką z pomidorów. Nastawia patefon: „Mówią, że na świecie kobiet jest dwie trzecie” albo „Dałem córce rybaka najpiękniejsze słowo” – to są najbardziej ograne z płyt panny Stasi. Podobają się nam.

Pijemy dużo wódki, którą łatwo dostać: która niemal sama zjawia się, gdy tylko spotka się nas kilkoro. Czasem «ćwiartki» lub «ćwiartuchny» przynoszą nam w upominku knajpiarze z całej gminy, ot, tak – można by to różnie nazwać. Nie zastanawiamy się nad tym. Czasem ktoś dostanie wódkę jako premię, i również nie zastanawia się nad istotnym sensem tej formy wyróżnienia czy zapłaty. Często przynosi ze sobą butelkę jakiejś gatunkowej wódki jeden z kumpli, którego matka prowadzi knajpę w starej karczynie, w centrum wsi. Pewno jej ściąga, gdy stara w pokoju za bufetem zabawia się w romans (ze sfer niższych) z młodym policjantem.

Nierzadko któryś przynosi trochę bimbru pędzonego w domu lub u sąsiadów.

Trudno jest wyrwać się z rozbawionego towarzystwa akurat na kilka minut przed godziną dwudziestą. Na ogół jednak udaje mi się to. Inna sprawa, że czasem nieco później, gdy przycichną odgłosy dochodzące z drugiej części domu, otwieram ostrożnie okienko w kącie szwalni i jednym wypróbowany krokiem przesadam niski parapet. Zgięty wpół przemykam się pod oknami pokoju sióstr, szumnie zwanego „klauzurą”. Na ścianie pokoju, oszczędnościowo oświetlonego małym płomykiem naftowej lampy, chwieją się wielkie granatowe cienie pogrążonych w wieczornych pacierzach siostrzyczek.

Jeszcze tylko płot i pośpiesznie wracam do coraz bardziej rozochoczonego towarzystwa. Jeszcze jedna kolejka, jeszcze raz nastawiona płyta „Dałem córce rybaka najpiękniejsze słowo...”. Jak gdyby nie było na świecie wojny, jakby nie stała ona tuż za płotem, jak gdybyśmy my sami nie podlegali żadnym innym prawom, prócz praw młodości.

Wracamy chwiejnie, pod gwiazdami. [...]

<sup>87</sup> Osoba niezidentyfikowana.

## 8. Stangret

Do gminy przyjechała powozem pani z Krzesimowa<sup>88</sup> w towarzystwie niemieckiego komisarycznego zarządcy majątku w mundurze pułkownika.<sup>89</sup>

Przybyli omawiają jakieś sprawy krótko i wyniośle z gnącym się i obrzydliwie przymilnym sekretarzem. Tłumacz nie jest potrzebny – pani biegle włada językiem niemieckim.

Na koźle czeka stangret<sup>90</sup> – sztywny, wygolony, zdawałoby się całkowicie obojętny na wszelkie zdarzenia otaczającego świata. Nadejdą jednak dni, w których okaże się, że ani ów stangret, ani żaden z ludzi stamtąd, którzy wówczas nazywali się „służbą”, na nic nie był obojętny, wszystko widział i wszystko jak najdokładniej zapamiętał.

## 9. Pan komisarz

Przedstawiciela Spółdzielni Rolniczo-Handlowej wszyscy nazywają tu „panem komisarzem”.<sup>91</sup> Były właściciel niewielkiego majątku ziemskiego na Wołyniu, starszy pan o ujmującej powierzchowności. Jest skłócony z rodziną, stołuje się u sióstr, a przytuła do cieplejszych «słomianych wdówek» w naszej gminie. Panie są mu rade może również i dlatego, że wysokość kontyngentów w dużej mierze zależy właśnie od niego, a każda z nich ma spore gospodarstwo. I pani kierownikowa, której mąż ukrywa się od kilku miesięcy,<sup>92</sup> i pani sekretarzowa, której męża aresztowano na wiosnę,<sup>93</sup> i inne.

Pan komisarz lubi [...] dobre kolacyjki, lubi sobie popić, bez przesady, w miarę. Nade wszystko jednak bawi go upijanie innych, bawienie się ich kosztem. Jest w tym jakiegoś szczególnego rodzaju złośliwość a nawet sadyzm. Zaprasza do siebie, namawia do picia młodych chłopców ze wsi, którym to niezmiernie imponuje. Ziutka<sup>94</sup> – brzydkiego wymoczka, który codziennie służy księdzu kanonikowi do porannej mszy

<sup>88</sup> Chodzi o Annę Marię Drecką.

<sup>89</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>90</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>91</sup> Chodzi zapewne o Mariana Rubaszkiewicza.

<sup>92</sup> Osoby niezidentyfikowane.

<sup>93</sup> Osoby niezidentyfikowane.

<sup>94</sup> Osoba niezidentyfikowana.

i ponoć sam ma zostać księdzem, Jasia<sup>95</sup> – syna bogatego ogrodnika, Jurka<sup>96</sup> – brata jednej z nauczycielek. Nalewa im maleńkie kieliszki, jeden po drugim, sam udaje, że pije, zaśmiewa się z ich głupich min i belkotu, a w końcu, gdy już się nie mogą utrzymać na nogach, wyrzuca całe towarzystwo za drzwi i idzie spać. W łóżku czyta jeszcze ulubioną książkę – *Trzech muszkieterów*, po francusku.

Ze mną ten numer nie przejdzie. Mam mocną głowę, alkohol wydaje się w ogóle nie łączyć z moimi komórkami nerwowymi. Być może, że tym właśnie zaimponowałem panu komisarzowi, choć on sam twierdzi, że zbliżyły go do mnie „względy intelektualne”. Powiedział mi pewnego dnia:

– Jesteś pan w całej gminie jedynym człowiekiem, z którym się można jako tako dogadać. Niech pan przyjdzie do mnie pracować – dniówka osiem złotych.

Dniówka osiem złotych to dużo. Pracuję więc przy rozkładaniu kontyngentu zbożowego. Przede mną piętrzą się olbrzymie stosy arkuszy. Liczę, piszę i przepisuję potężne kolumny cyfr.

W biurze jadamy zwykle z panem komisarzem drugie śniadanie – po dwa, trzy kieliszki wódki pod paski różowej, gotowanej, dobrze osolonej słoniny; czasem szklanka wrzątku zabarwionego płynem zwany „herbatol”.

Nie jest trudno obliczyć wysokość kontyngentu przypadającego na poszczególne gospodarstwo. Trzeba tylko znać powierzchnię, rodzaj zasiewów, ile hektarów zajmuje żyto, ile mieszanka, ile kartofle, łąki, nieużytki. Na początku obliczałam wszystko niezwykle skrupulatnie i dokładnie, dopóki nie przyszło mi na myśl – nie myślę zbyt szybko – że tego wcale NIE TRZEBA tak dokładnie wyliczać. Mogę się na każdym arkuszu przynajmniej raz pomylić. Zamiast: osiemset kilogramów żyta napisać: trzysta kilogramów – problem raczej kaligraficzny, sprawa czytelności pisma, jakości ołówka kopiowego i kalki. Albo zamiast dwustu pięćdziesięciu kilogramów napisać przez fatalne roztargnienie sto pięćdziesiąt. O tyle mniej polskiego zboża pojedzie do niemieckich magazynów.

<sup>95</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>96</sup> Osoba niezidentyfikowana.

Była to moja pierwsza akcja sabotażowa, choć wtedy nie wiedziałem nawet, że tak się to nazywa.

### 10. Pan, jako technik...

Kiedyś, gdy potrzebna była kopia planu nowego budynku, wykonałem ją dość starannie, ku nieukrywanemu zdumieniu sekretarza, dla którego tusz, grafion i ekierka stanowiły prawdopodobnie instrumenty nader precyzyjne, a zastosowanie ich wymagało wyższego stopnia wtajemniczenia. Stąd też, gdy przyszło nowe zarządzenie o obowiązku sporządzania planów sytuacyjnych wszystkich kuźni na terenie gminy, zwrócono się do mnie:

– Pan, jako technik...

Plany powinni byli dostarczyć właściciele kuźni; przychodzili więc do mnie kolejno, umawiali się, potem w oznaczony dzień przyjeżdżali furą, jak po lekarza lub księdza (prawie), z siedzeniem z wiązki słomy przykrytej płachtą albo starym chodnikiem, i jechałem. Miałem taśmę metalową – dar siostry Teresy – ołówek zwykły i czerwony oraz kilka arkuszy papieru w kratkę.

Kowalowa częstowała zwykle gorącą zupą, a bardzo to się przydało, bo właśnie zaczęły się przymrozki.

Planyrysowałem potem na stole w szwalni, pociągałem je tuszem czarnym i czerwonym. Kowale płacili po pięćdziesiąt złotych i byli zadowoleni. Ja jeszcze bardziej.

### 11. Bibuła

Słowa przyszły do mnie w nowej postaci. Odbijane na powielaczu rzędy słów na zmietym, podawanym z rąk do rąk arkuszu bibuły. Czytamy z braćmi panny Marysi<sup>97</sup> u nich w kuchni, przy blasku naftowej lampki, wiszącej we framudze drzwi, *Do czynu*. Więc gdzieś są ludzie, którzy to piszą, sporządzają matryce, odbijają w setkach, może i tysiącach egzemplarzy, dokądś zanoszą, rozwożą, wysyłają we wszystkie strony. Ludzie, którzy się nie boją. Jest gdzieś Związek Walki Zbrojnej. Gdzie? Coś się zaczyna dziać; coś już się dokonuje poza zasięgiem naszej wiadomości.

<sup>97</sup> Osoby niezidentyfikowane.

Zanim ten kawałek bibuły powędruje dalej, chcemy wyssać z niego wszystko: słowo po słowie, wysmakować sens wszystkich zdań, wchłonąć i już zatrzymać. [...]

## 12. Strzyża

Grudzień mocno daje się nam we znaki.

Pan komisarz znowu sobie o mnie przypomniał:

– Mam dla pana świetny zarobek na kilka, może nawet kilkanaście dni. Czternaście złotych dziennie. Coś jak gdyby specjalnie dla pana. Czy chce pan zostać kontrolerem strzyży końskiej?

– Chętnie, panie komisarzu; groszem nie śmierdzę. Ale co to właściwie jest?

– Strzyża zimowa! Razura [strzyżenie] mustangów! Grzywki, ogonki przystrzyc, zważyć, odnotować, do woreczków i do magazynu. Magazyn przyjmie – kasa wypłaci.

– Doskonale. Od kiedy?

– Od środy.

Przez dwa następne tygodnie jeżdżę wozem lub saniami po kilka i kilkanaście kilometrów do najodleglejszych gromad gminy. Wstaję po ciemku. W moi kącie jest zimno, ściany srebrzą się szronem, bo szwalnia nieczynna i nieopalana. Wkładam wilgotną bieliznę, ubranie, kozuch zupełnie sztywny i przesiąknięty zapachem stajni.

Pięty i podudzia mam odmrożone, bolące i swędzące, więc za radą którejś z siostr, zanim wciągnę buty, owijam skarpetki gazetą skropioną naftą.

Strzyża trwa pięć do siedmiu godzin dziennie. Urzęduję na otwartym powietrzu przy stoliku z wagą, na której gospodarze ważą włosie. Sprawdzają, czy dobrze odnotowałam, kłócą się zawzięcie o każde deko. Mają za to otrzymać zapłatę i premię.

– Przecież wali śnieg z deszczem; jak mi to wyschnie, będzie mniej...

– To se pan worki pokropisz i będzie to samo!

W szczególnie mroźny dzień asystuję przy strzyży w jednej z najbogatszych wsi okolicy. Odbывается ona na placu przed mleczarnią. Piękne konie.

Koło południa wyciągam z kieszeni kozucha kawał razowego chleba schowany w czasie śniadania i zajadam z prawdziwym apetytem. Nagle

spoza moich pleców wysuwa się czyjeś ramię, a z drewnianej łopatki spada na moją kromkę gruby plaster świeżutkiego, pachnącego masła.

– Panie, to wstyd, żebyś pan przed samą mleczarnią, na ludzkim widoku, suchy chleb wcinał – śmieje się kierownik. Przy pożegnaniu wkłada mi jeszcze do teczek ćwierć kilograma masła, uprasowanego w zgrabną cegielkę.

Zwykle po ukończeniu strzyży sołtysi zapraszają na poczęstunek. Pijemy poobłukiwanymi kubkami lub zielonkawymi grubymi szklanymi żółty bimber. Żelaznymi widelcami wybieramy z talerzy ustawionych na środku stołu kawałki gorącej kiełbasy. Jest dobrze, bo pod dachem, ciepło, niegłodno i wesoło.

W dalekiej, ubogiej wiosce sołtys usilnie zatrzymuje mnie na obiad.

– Zaraz, zaraz będzie rosołek; pan nie pogardzi. Matka! – woła w stronę podwórka – raz-dwa, prędko rosół dla pana kontrolera!

Żona i dwoje dzieci miotają się po podwórku w pogoni za szalejącą z przerażenia kurą, przeznaczoną, jak widać, na rosół dla mnie.

– Dajcie spokój, nie trzeba, już jadę.

Sołtys nie wierzy moim zapewnieniom.

– Chwileczkę, proszę pana, jedną chwileczką, zaraz będzie rosołek...

Był rzeczywiście.

Po zakończeniu strzyży raz jeszcze przeważam worki z włosiem. Sporo się tego zebrało – ponad dwa i pół tysiąca kilogramów. Mam odwieźć worki do magazynu Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Łęcznej. Zanim to jednak zrobię, otwieram jeszcze jeden z worków – skrzętnie przepakowuję do własnego plecaka kilka kilogramów najpiękniejszego włosia. Za kilka dni sprzedam je szczotkarzom w mieście po siedemdziesiąt złotych. Wiem już, że to właśnie nazywa się „robić na lewo”. [...]

## 13. Bajka

Bywają w życiu człowieka chwile pełne niesłychanego zbytku i niemal absolutnej szczęśliwości, chwile z pogranicza bajki. Nie zapomnia ich się łatwo. Przeżyłam właśnie trzy dni jak we śnie, trzy doby pomiędzy wyszukaniem luksusem a fantastyczną, fascynującą bajką.

Bolało mnie gardło i głowa. Leżałam w łóżku, przykryty kilkoma kocami, we flanelowej, miękkiej piżamie. W pokoju było cicho i cie-

pło. Siostry wydzieliły znacznie większy niż zazwyczaj zapas trocin do naszego piecyka. Popijałem gorący, słodki i wonny napar lipowego kwiatu i czytałem *Józefa Balsamo*.<sup>98</sup> Pięć tomów pożyczonych od Ziutka-ministranta, jeden po drugim. Cóż to były za wspaniałe dni!

Przez ten czas wyschły mi także buty.

#### 14. Dziwy po miastach

Siedzimy w kilkoro wokół stołu. Pokój oświetla jedynie lampka naftowa wisząca jak zwykle we framudze drzwi. Dziwy dzieją się po miastach. Rzeczy ważne dokonują się już gdzieś bardzo blisko, coraz bliżej, dokoła nas, ale wciąż jeszcze poza nami, poza naszą wsią.

– Trzasnęli w łeb konfidenta, w jasny dzień, za tunelem...

– Wiecie, jednej dziwce, co łąziła z Niemcami, ogolili głowę.

– Wczoraj widziałem jakim był w mieście, przez całą jezdnię, aż strach popatrzyć, napis: „Hitler kaput!”!

– Czytałem *Barykadę Wolności*, takie pismo...

Coraz częściej docierają do naszej wioski wiotkie arkusiki tak bardzo oczekiwanych słów. Słowa są ważne.

Przychodzą wiadomości z różnych źródeł, przenikają różnymi drogami, z różnych stron.

– Rozpruli na mijance wagon towarowy z lekami wiezionymi na wschodni front...

– Zrobili skok na mleczarnię – wszystkie urządzenia w kawałkach, skrzynie jajek już gotowe do transportu – w proszku. Jedna wielka jajecznicza! Kierownikowi mleczarni, że im przeszkadzał, swołocz jaka, wpakowali kilogram masła do gardła...

– Zabrali całą kasę z agencji pocztowej, pod rewolwerem, w samo południe. KTO? Przecież nie duchy, nie krasnoludki. Ludzie, pewno młodzi, jak my.

Dziewczęta krzątają się, nakrywają do stołu, rozstawiają talerze i kieliszki. Jemy gorącą, smaczną kapustę i chleb w domu pieczony. Kieliszkami z różowego szkła pijemy wódkę, zaprawiono podpalanym cukrem. Gdy jej zabraknie, sięgniemy po bimber.

<sup>98</sup> Chodzi o pierwszy tom pięciotomowego cyklu powieściowego *Pamiętniki lekarza Aleksandra Dumasa*.

Na staromodnym patefonie wiruje zdarta płyta: „Ty jesteś dla mnie wszystkim...”

Wiemy już, że idą ku nam zdarzenia ważne i decydujące, i że musimy wyjść im naprzeciw. [...]

#### 15. Ostatnie dni oczekiwania

Zbliżało się, nadciągało jak letnia, niespokojnie wyczekiwana burza; wreszcie przyszło i do nas. Po wieściach nadchodzących coraz częściej i z coraz bliżej położonych gmin naszego powiatu, przyszli i do nas, w samo południe, ludzie, którzy przestali być legendą. Spokojnie weszli do gabinetu sekretarza i wójta, do biura urzędu gminnego, krótkimi poleceniami odwrócili do ściany urzędników i nielicznych interesantów. Potem przystąpili do dzieła niszczenia dokumentów, akt i kartotek, spisów ludności i inwentarza, tabel gruntowych, arkuszy wymiaru podatków i kontyngentów. Sprawiali się szybko i składnie, jako że nie po raz pierwszy wykonywali podobne zadanie.

Pozostawili po sobie nieład zupełny, stos zniszczonych, rozbebeszonych segregatorów, rozbitych i opróżnionych szuflad, poszarpanych papierów, nieco ognia i dymu, a także niepokój w sercach jednych i nadzieję w innych.

Wiedzieliśmy już wszyscy, wiedzieliśmy już na pewno i nikt nie mógł pozostać obojętny wobec tej pewności.

Jeszcze nie nazywa się rzeczy po imieniu, jeszcze nie padła nazwa „Batalionów Chłopskich”, nie wiemy nawet, że ci, którzy byli w naszej gminie, to ci sami, którzy od pewnego czasu systematycznie niszczą dokumentację władz samorządowych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Nie wiemy, że to ludzie „Jastrzębia”.<sup>99</sup>

Wiemy mało, prawie nic, ale już jesteśmy gotowi – jedni mniej, drudzy bardziej. Nadeszły ostatnie dni naszego czekania.

#### 16. Zwyczajny biurowy dzień

Wypełniam druki kart rozpoznawczych. To moja najnowsza praca. Za wypełnienie jednej karty wraz ze wszystkimi załącznikami płacą mi pięćdziesiąt groszy, a mówi się nawet o możliwości podwyższenia

<sup>99</sup> Był to pseudonim konspiracyjny Leona Taraszkiewicza.



stawki do siedemdziesięciu groszy. Mogę wypełnić dziennie do czterdziestu kart, a choćby i trzydzieści – też masa pieniędzy.

Skład osobowy naszego biura w ciągu ostatnich miesięcy znacznie się powiększył. Przybył ze starostwa przysłany tłumacz – młody chłopak o dość podejrzanym wyglądzie i krostowatej twarzy.<sup>100</sup> Rozpoczął pracę Jurek,<sup>101</sup> nasz rówieśnik, chłopiec ładny i giętki, całkowicie pochłonięty poszukiwaniem posażnej panny, której mógłby zaoferować swą osobę w zamian za dostatek i wygody.

Przybyła wreszcie siostra pani sekretarzowej, sprowadzona z rodzinnego miasteczka. [...] Przychodzi więc coraz częściej pan Bogumił<sup>102</sup> i mówi się, że właśnie do panny Lali,<sup>103</sup> która w tym czasie przyklepia znaczki do korespondencji. Pan Bogumił będzie kiedyś znanym śpiewakiem operowym; na razie jednak pracuje w pobliskim tartaku jako księgowy. [...]

Zwykły biurowy dzień. [...]

Panna Marysia, obłożona księgami metrykalnymi, wypisuje w tym samym czasie dowód osobisty na nazwisko „Jana Zielińskiego”.<sup>104</sup> Jeszcze tylko podpis wójta i okrągła pieczęć. Jutro zawiozę ten dowód osobisty do miasta, w ciemnej bramie pod umówionym numerem wręczę go pewnemu inżynierowi, który jest Żydem, ale nie chce z tego powodu umrzeć.<sup>105</sup> Dowiem się później, że zginął mimo to – bał się bowiem, czy też nie potrafił być kimś innym.

## 17. W leśnych kryjówkach

Mniej szeptów słyhać tego lata po zapłociach. Chłopaki szperają po strychach chałup, szukają starych naftowych lampek i zatapiają w gęstym żółtawym płynie rozmontowane części pistoletów. Spod progów stodół, z miejsc wiadomych, dobrze zapamiętanych od września

<sup>100</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>101</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>102</sup> Chodzi w istocie o BOGDANA Paprockiego.

<sup>103</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>104</sup> Być może chodzi o fałszywy dowód pochodzącego z Mełgi senatora Jana Zielińskiego, który zmarł w 1938 roku.

<sup>105</sup> Osoba niezidentyfikowana.

1939 roku, wydobywa się broń – karabiny zwykłe i maszynowe, taśmy erkaemów, granaty.

Nocami matki słyszą skrzypienie zamykających się za synami drzwi. Nie pytają, ale serca ich są niespokojne. W mroku dusznych izb przewracają się zapewne z boku na bok wypatrując jasności w małych okienkach chałup. Czasem bywa to jasność świtu, czasem łuna pożaru.

Raz po raz zjawiają się we wsi obcy przybysze, których imiona wymawia się przyciszonym, niemal nabożnym szeptem. Czasem są to imiona ludzi, czasem znów nazwy drzew lub ptaków.

Chłopcy mówią:

– Był „Piotr”,<sup>106</sup> widziałem „Piotra”.

– Zapytamy „Piotra”, jak przyjdzie...

Albo:

– Trzeba poczekać na „Sosnę”.<sup>107</sup>

– „Sokół”<sup>108</sup> kazał...

Po okolicznych lasach i opustoszałych smutnych polach błakają się Żydzi, zbiegli z miast i miasteczek, z obozów przymusowej pracy lub nawet transportów śmierci. Potem, kiedy zbierze się ich więcej, zorganizują się w oddziały i zapadną w okoliczne lasy, gdzie, przystawszy do chłopców z organizacji, nieliczni przetrwają mimo głodu i niemieckich akcji. Teraz jak stada wygłodniałych wilków podchodzą nocami pod zabudowania chłopskie, krążą wśród domów, jak widma przesuwają się pod oknami.

Wyrwana ze snu wystraszona gospodyni wyniesie na prób kawał chleba lub trochę mąki czy kaszy w woreczku.

Czasem gospodarz, bacznie rozejrzawszy się dokoła, pozwoli wejść do wnętrza chaty.

– Pogrzejcie się trochę, komin jeszcze ciepły, macie tu mleka.

Ludzie boją się ludzi bardziej niż kiedykolwiek.

Zgłodniali przychodzą bandami, wdzierają się nocą do domów, chlewów i piwnic, rabują ubrania, mąkę, polćie słoniny, zabijają wieprzki i unoszą wszystko do swych leśnych kryjówek.

[...]

<sup>106</sup> Być może chodzi o Piotra Kosmałę (jra).

<sup>107</sup> Osoba niezidentyfikowana.

<sup>108</sup> Osoba niezidentyfikowana.

## 19. «Ramię sprawiedliwości»

Epidemia czerwonki coraz bardziej się nasila i zabiera coraz więcej ofiar. W domach, w pobliskim szpitaliku sejmikowym umierają ludzie. Wieś jest całkowicie bezbronna wobec tej nowej, wojennej klęski. Miejscowy lekarz,<sup>109</sup> co do którego wielu ma wątpliwości, czy nim w ogóle jest, okazała się całkowicie bezradny wobec choroby, niechętnie odwiedza chorych, pozostawia ich bez pomocy, bez leków, bez jakichkolwiek wskazówek dietetycznych. Po prostu – nie wie, co począć. Dziś dziwię się, że kimkolwiek był, nie zadał sobie trudu przeczytania z pierwszego lepszego podręcznika o leczeniu czerwonki. Jego stosunek do ludzi w ogóle, a do ludzi chorych i ich dolegliwości w szczególności, zrażał wieś i nastrajał ją wrogo. Nie potrafił być ze wsią, dzielić jej trosk, żyć jej sprawami. Przeciw niemu byli ludzie, przeciw niemu podburzała ich również pielęgniarka miejscowego ośrodka zdrowia, kobieta przewrotna i bez jakichkolwiek skrupułów.

Nie wiem, jakie były rzeczywiste winy tego człowieka, gdzie leżała granica między niewiedzą i lekceważeniem spraw ludzkich a istotną wrogością czy wręcz szkodliwością. Nie wiem, za jakie przewinienia zapłacił on najwyższą ceną – życiem, ani czy ci, którzy wydali na niego wyrok i wykonali go wśród nocy, na progu jego własnego mieszkania, byli istotnie ramieniem sprawiedliwości.

## 20. Trzeba umieć żyć...

Otrzymałem wezwanie z Arbeitsamtu w pobliskim miasteczku celem odebrania karty pracy. To ważne, jechać trzeba, a i okazja się

<sup>109</sup> Dana poniżej charakterystyka doktora Mariana Lisowskiego – bo o niego może tu tylko chodzić – całkowicie rozmija się z prawdą: Lisowski był doktorem nauk medycznych, świetnym fachowcem – i bardzo troskliwie traktował swoich pacjentów. W Mełgwi – wraz z rodziną – mieszkał w wynajętym mieszkaniu. *Nb.* W innym tonie pisała o nim autorka w wydanym ćwierć wieku później – i już nie pod pseudonimem – tomie *Na krawędzi chaosu*: „Dużo znajomych na lubelskim cmentarzu. [...] Przechodzę koło grobu doktora Mariana Lisowskiego, zastrzelonego pewnej nocy na progu własnego mieszkania, z nigdy nie ujawnionego powodu, przez miejscowego bandytę, za namową siostry zakonnej... Brzmi to jak kiepska nowela kryminalna, ale tak właśnie zdarzyło się w porze okupacyjnego bezprawia. Znałam go dobrze. Żył czterdzieści lat. S. Ludwika od dawna już nie żyje” [Modrzewska 1994: 98-99].

nadarza, bo nasz organista<sup>110</sup> wybiera się furmanką w jakichś sprawach parafialnych.

Wyjeżdżamy wczesnym rankiem. [...]

Zmierzcha już, gdy wracamy. Ja z upragnioną kartą pracy w kieszeni cudzego futra, bez wiedzy właściciela pożyczonego na tę drogę, a on z mnóstwem pakunków i paczek. Wóz trzęsie niemiłosiernie i rzuca nami po wybojach i grudzi polnej drogi. Niedaleko od wsi oznajmiam więc wesołemu towarzyszkowi podróży, że już mnie wystarczająco wytrzęsło i wolę przejść ten ostatni odcinek drogi pieszo. Organista śmieje się szeroko:

– Co kto woli! Czy ksiądz kapustę, czy organista kielbasę!<sup>111</sup>  
[...]

## 21. Wielka Niedziela

Niespokojne, a zarazem wesołe były pierwsze miesiące roku 1944, wesołe ową groźną, okrutną wesołością partyzanckich dni i nocy – dni planowych przygotowań i przyczajenia oraz nocy pełnych działania i ognia. [...]

Zbliżała się Wielkanoc. Udało mi się uzyskać kilka dni urlopu<sup>112</sup> i już w Wielki Czwartek wybrałem się na wieś. Przyjechał ze mną na święta kumpel z żoną,<sup>113</sup> oboje «spaleni» na naszym terenie.

Dni były pogodne, słoneczne; pachniało wiosną. Serca pełne były nadziei, podsycanej wieściami ze wszystkich frontów. Bielono chałupy i izby; przez niedomknięte drzwi wymykały się zapachy pieczonych placków świątecznych. Dzieciaki, wygnane z domu na ten czas przedświątecznego rozgardiaszu, uganiały się po wiejskiej drodze.

Wszyscy czuliśmy się tu bezpieczni, radośni, niemal szczęśliwi.

<sup>110</sup> Chodzi tu z pewnością o mego Ojca, Antoniego Jadackiego (jra).

<sup>111</sup> Jest to faktyczny szczegół biograficzny: Ojciec mój rzeczywiście tak modyfikował znane powiedzenie: „Co kto woli! Ksiądz kapustę, czy organista mięso!”.

<sup>112</sup> Autorka od końca 1942 roku przebywała w Garwolinie. Swoją pobyt w Garwolinie – i działalność w miejscowej komórce AK (obwód 797 „Gołąb”) – opisała w tekście „Na tyłach Armii Krajowej”, opublikowanym w tomie *Wybór prac nadesłanych na konkurs imienia Józefa Wyrwy* (Londyn 1977, Oficyna Poetów i Malarzy, s. 105-126).

<sup>113</sup> Osoby niezidentyfikowane.

W bardzo piękny poranek Wielkiej Niedzieli wybieraliśmy się wszyscy do kościoła. Dziewczęta, już ubrane, jeszcze się czesały i przystrajały, kumpel usiłował wydobyć ze skóry wysłużonych półbucików jak najwyższy połysk. Ja mozoliłam się nad węzłem nowego krawata.

Wtedy właśnie spadli na wieś. [...] Zamknęli wyloty wszystkich dróg, otoczyli kościół pełen wiernych, z pokrzykiwaniem rozproszyli się po zagrodach.

Z domów wyprowadzali odświętnie ubranych mężczyzn, szukali ich po stodołach, stajniach i strychach, biegali po zabudowaniach, przetrząsali wszystkie kąty, roztrącając baby i wystraszone, popłakujące dzieciaki.

Kobiety z płaczliwym zawodem wybiegały z domów za wyprowadzanymi mężami i synami, czepiały się rękawów żandarmskich mundurów, usiłowały o coś prosić, coś tłumaczyć. Płacz szedł przez całą wieś.

Mężczyzn gromadzono przez kościołem, przed ustawionymi wielkim półkołem karabinami maszynowymi. Niemcy jak szaleni biegali po domach, wciąż bowiem kontyngent ludzki z tej buntowniczej, «bandyckiej wsi» wydawał im się zbyt mały. Wtedy ktoś im szepnął, nie wiadomo kto, ale podobno żona kościelnego, że kilkudziesięciu chłopaków ukryło się w podziemiach kościoła.<sup>114</sup>

Kościelny, popychany lufą przytkniętego do łba pistoletu, zaprowadził żandarmów do zakrystii. Odsunięto przenośny ołtarz, zdarto okrywający podłogę dywan. Tam było wejście – niewielka prostokątna kłapa. Wyważyli ją z wrzaskiem i jeden z nich z granatem w ręku wskoczył do środka. Dwudziestu czterech ludzi znalazło się w potrzasku. Wychodzili kolejno, a stojący nad włazem żołdak walił kolbą pistoletu w każdą wyłaniającą się spod posadzki głowę. Poturbowanych, broczących krwią ustawiono w dwuszeregu, oddzielnie od wielkiej grupy aresztowanych. [...] Ale rozkaz egzekucji nie padł. Oddzielnie, pod silną eskortą, prowadzono tych dwudziestu czterech za gromadą mężczyzn w kierunku pobliskiej stacji kolejowej. Zamknięto ich w podstawionych uprzednio wagonach towarowych.

<sup>114</sup> Warto porównać tę przykrą plotkę z relacjami innych autorów, uwzględnionymi w książce.

Babie co sprytniejszej udało się jeszcze przez któregoś z kolejarzy przemycić do wagonu paczkę z jedzeniem, trochę tytoniu, czy parę złotych.<sup>115</sup>

Żandarmi, syci wrażeń, w wyśmienitych humorach i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku odjechali swoimi «budami», pociąg zaś pod konwojem kilku esesmanów ruszył w kierunku Lublina.

Przesiedzieliśmy z kumplem kilka owych złych godzin w szafie, w przybudówce, w której dawniej mieszkał Antek<sup>116</sup> z rodziną, zanim został piekarzem i wyprowadził się do miasteczka.

Wielka cisza panowała we wsi. Dopiero pod wieczór spotkaliśmy się w kilkoro wokół stołu, aby spożyć pierwszy w tym dniu posiłek. Ktoś zapewniał, że aresztowanych niebawem wypuszczą. Ktoś inny sądził, że akcja jeszcze nie jest skończona. Niemcy, być może, wrócą jeszcze tej nocy. Może będą rekwirować dobytek. Może spalą wieś.

Ktoś mówił dość naiwnie o możliwości ucieczki więźniów albo o ich odbiciu przez powiadomioną już o zajściu placówkę AK w sąsiedniej gromadzie.

Nikt chyba poza małymi dziećmi nie spał we wsi tej nocy. Nadsluchiowano, czekano, serca były niespokojnie.

<sup>115</sup> Pozostawiłem to zdanie – z pogardliwym określeniem „baba” – gdyż zawiera ona cenną dla historyka informację o postawie polskich kolejarzy.

<sup>116</sup> Chodzi najprawdopodobniej o Antoniego Siudę.

## 6. Joanna Rulikowska-Ollier



9. Joanna Rulikowska-Ollier.

### Szczęśliwe lata w Melgwi

Kiedy zamykam oczy i wspominam Melgiew – to czuję zapachy i słyszę odgłosy mego dzieciństwa. W moim pokoju zapachów „kuchennych” nie było, bo kuchnia była daleko: prowadził do niej długi korytarz. Ale za to szły przez okno cudowne zapachy z parku: pachniały najpierw czeremchy, potem – lipy i tulipanowiec, zasadzony zdaje się przez Mamę; siedziało się pod nim często, bo dawał bardzo gęsty cień. Do później jesieni pachniały najrozmaitsze kwiaty krzewów i bylin... Z parku dolatywały też niezapomniane odgłosy, bo było w nim mnóstwo ptaków: mam do dziś w uszach nocny śpiew słowików...

Moje melgiewskie dzieciństwo zapamiętałam jednak przede wszystkim jako serię obrazów. Chciałabym je tu opisać – w całej ich krasie.

#### 1. Rodzice

Mama była nazywana przez Ojca „Mirą”, a Ojca Mama nazywała „Zygmusiem”. Czasem mówili do siebie po francusku, tak że pamiętam jak Mama wołała na Ojca „Sigis”, co jest zdrobnieniem od „Sigismond”.

Mama – która była bardzo energiczna – zajmowała się domem, ogrodem i sadem oraz drobiem, a Ojciec zajmował się gospodarstwem rolniczym i był szalenie temu oddany.

Mama kształciła się w Pradze czeskiej – gdzie poznała język francuski i niemiecki.

Ojciec studiował rolnictwo w Uniwersytecie w Hohenheimie, który teraz jest dzielnicą Stuttgartu. To była jedna z lepszych szkół rolniczych w Europie. Czasem pytałam o jego studenckie lata, bo wiedziałam, że w Niemczech są kluby studenckie, gdzie studenci oddają się różnym „swawolom”. Ojciec mówił mi, że trzymał się od tych klubów z daleka, zwłaszcza, że ich członkowie dużo pili i nieraz dochodziło między nimi do pojedynków. A Ojciec i później zasadniczo nie pił.

Kiedy Ojciec wrócił z Niemiec, wuj Ojca, Antoni Szlubowski, go zatrudnił jako swojego pomocnika w Melgwi. Kiedyś zapytałam Ojca, jak duże było to gospodarstwo i zdaje się, że powiedział, że to było ok. 2200 ha.

Sąsiedzi na ogół podziwiali, jak majątek jest przez Ojca dobrze prowadzony. Zdaje się, że czasem nawet przywożono studentów rolnictwa z Lubelszczyzny i pokazywano im – na przykładzie naszego majątku – jak wygląda wzorowe gospodarstwo. Wiem, że Ojciec kiedyś sprzedał nasienie koniczyzny do Szwecji, co świadczyło o wysokiej klasie tego nasienia.

Ojciec miał dużą plantację buraków cukrowych. Był – wraz ze swym kuzynem (bratankiem), Józefem Rulikowskim – udziałowcem, a może i współzałożycielem cukrowni w Strzyżowie i tam szły nasze buraki. Uprawiał też rzepak, przerabiany wtedy na olej przemysłowy. Wszystko to było bardzo popłatne, ale i ryzykowne, bo burza z ulewą lub grad mógł zniszczyć doszczętnie zbiory przed ich uprzątnięciem. Toteż Ojciec, aby zmniejszyć ryzyko, sprzedawał np. rzepak, jak to się mówiło, „na pniu” – a więc jeszcze przed zbiorem – żydowskiemu handlarzowi.

#### 2. Dziadkowie Szlubowscy i Michalscy

Dziadków ze strony Ojca nie znałam, ale wiem, że Babcia Stefania – z domu Szlubowska – była siostrą Antoniego Szlubowskiego. Oboje był współwłaścicielami Melgwi. Dziadek Szlubowski był bezdzietny i po jego śmierci majątek dostał się w całości Babci, a ona oddała go memu Ojcu, kiedy się ożenił z Mamą, tj. w 1908 roku. Ojciec zresztą



mieszkał już dłuższy czas na w Mełgwi, prowadząc gospodarstwo rolne swego wuja.

Z Dziadków ze strony Mamy trochę pamiętam tylko Babcię Michalską – z domu Morchonowicz. Dziadka Michalskiego nie znałam, bo zmarł przed moim urodzeniem. Dziadkowie Michalscy byli właścicielami majątku Trawniki, które kupili w dużej części za posag Babci. Dziadek miał tam dużą stadninę koni; sprzedawał je do Kijowa, gdzie odbywały się wielkie wyścigi w powożeniu – i nieźle na tym zarabiał.

### 3. Książęta Radziwiłłowie

Moja Mama była trochę snobką i raczej unikała towarzystwa lubelskiego – wołała warszawskie. W Warszawie mieszkała przez parę lat, kiedy mój Brat chodził do gimnazjum, i tam był jej główny krąg towarzyski: miała znajomych w ambasadzie angielskiej i specjalnie przyjaźniła się z Radziwiłłami – zdaje się, że miała nadzieję, że Brat ożeni się z jakąś Radziwiłłówną. Znała się także m.in. z Lilisią Lubomirską z Krakowa.

W 1939 roku Mama zaprosiła do Mełgwi dwoje dzieci pani Czarotorskiej, z domu Radziwiłłowej, i spędziły one u nas lato wraz ze swoją nianią. Jak wybuchła wojna – pani Radziwiłłowa przyjechała do Mełgwi nocą i je wszystkie zabrała.

### 4. Hrabiowie d’Ornano

Moja Ciotka Elżbieta wyszła za hrabiego Wilhelma d’Ornano. Spotkali się w końcu I Wojny Światowej... na stacji kolejowej chyba w Warszawie.

Mówiono, że ktoś z rodziny d’Ornano przegrywał majątek biorąc udział w zakładach na wyścigach konnych. Ciotka również niezbyt dobrze stała finansowo; toteż nieraz przyjeżdżała latem do Babci Aleksandry, żeby przygotowywać przetwory na zimę, a na bieżące potrzeby domowe musiała zarabiać... grając w brydża. Zresztą – podobnie jak cała rodzina mojej Mamy – była świetną brydżystką...

Kiedy Ciotce urodziło się drugie dziecko – Hubert, pięć lat starszy ode mnie – zostawiła go u Babci Aleksandry, która wychowywała Huberta, niestety rozpuszczając go do niemożliwości. Mówiono, że kiedy trzeba było mu zaaplikować jakieś lekarstwo, Babcia biegała za nim z

łyżką wołając: „Huberciku! Błagam cię, na kolanach cię błagam – połknij syropik!” Podobno tak utył, że musiał nosić gorset. Hubercio lubił bardzo strzelać, więc jak miał już kilkanaście lat, Ojciec zabierał go na polowania na kaczki.

### 5. Żółtowscy i Burbonowie

Kiedy Niemcy zaczęli zajmować Polskę, całą rodziną zjechali do nas hrabiowie Żółtowscy i zatrzymali się przez tydzień w naszym pałacu. Kiedy pojechali dalej, ich miejsce zajęli uciekający przed Niemcami Burbonowie – należący do znanej francuskiej rodziny królewskiej. Było ich dwoje z piątką czy szóstką dzieci i trzeba było urządzić im nocleg w salonie.<sup>117</sup>

Mamie imponowało, że przyjmuje potomków rodziny królewskiej – a jeszcze bardziej podobało się jej, że kiedy rankiem zjawili się nagle w Mełgwi, to nie pukali do drzwi pałacu, tylko poprosili Mamę, żeby pozwoliła się im najpierw przespać na sianie w stodole – co Mama uznała za przejaw ich ogromnej skromności.

Do obiadu zasiadało wtedy tak dużo ludzi, że nam dzieciom podawano posiłki przy osobnym stole – na końcu pokoju. Obiady były wtedy wyjątkowo skromne: pamiętam, że jadło się głównie bigos. Nasi goście wynieśli się – tak jak Żółtowscy – po kilku dniach, wynagradzając Mamę za gościnność jakimiś złotymi monetami; potem te monety bardzo się nam wszystkich przydały.

W naszym domu przebywał też pewien prawnik – pamiętam tylko, że był łysy; Niemcy go jednak wkrótce zamordowali.

### 6. Dom rodzinny

Mój dom rodzinny – to pałac mełgiewski. Adres pocztowy był „Mełgiew-Podzamcze”, ale myśmy mówili, że mieszkamy po prostu w Mełgwi. Nazwa „Podzamcze” odnosiła się do tej części Mełgwi, która była „pod zamkiem” – czyli pod naszym pałacem, a ściślej pod budowlą zamkową, która została przebudowana na pałac.

<sup>117</sup> Byli to: Izabela i Jan Zamoyscy z dziećmi: Karolem, Marią Krystyną, Józefem Michałem i Marią Teresą.



Pałac miał kilka poziomów.

Na parterze były: kredens,<sup>118</sup> jadalnia, mały salonik, duży salon, salon myśliwski (zdaje się, że tak to się nazywało)<sup>119</sup> i biblioteka ze stołem bilardowym, z której było wyjście do oranżerii.

Bardzo ładną podwójną klatką schodową szło się na górę, gdzie – z tyłu – był długi hall, tzw. pokój telefoniczny (stał w nim tylko stół i telefon, a na ścianie wisiała drewniana skrzynka telefoniczna) i gabinet Ojca. Ta „górką” była dziełem Rodziców; kiedy się wprowadzili do pałacu, były tam tylko małe schodki, prowadzące na piętro.

Na piętrze był długi korytarz, idący prawie przez cały budynek i były podwójne „ślepe” schody na poddasze, które Ojciec zamierzał kiedyś rozbudować. Z tego korytarza wchodziło się do pokoju gościnnego nad gabinetem ojca; z drugiej strony była sypialnia Rodziców z łazienką; dalej korytarzyk prowadził do dużej łazienki, która była niestety pomieszczeniem przechodnim – i kiedy się z niej korzystało, trzeba było po obu stronach zamykać drzwi. Za łazienką – korytarzem szło się do mojej sypialni, sypialni Milci Modzelewskiej i małego pokoiku, gdzie w czasie wojny mieszkała moja nauczycielka.

W oficynie na dole był pokój kucharki, spiżarnia i kuchnia. Na górze znajdowały się trzy pokoje gościnne. W czasie wojny mieszkał tam administrator, ponieważ Niemcy zażądali, żeby Ojciec, który był już w podeszłym wieku, miał młodszego pomocnika. Na początku był to pan Marian Obniski. Niestety współżycie z nim się nie układało i w końcu Rodzice się go jakoś pozbyli. Na jego miejsce przyszedł pan Fijałkowski, ziemianin z Kujaw; wprowadził się on – z żoną i córką – do dwóch pokoi, a w trzecim pokoju wkrótce zamieszkały dzieci naszej dalszej krewnej, Konstancji Jałowieckiej, Elżbieta i Michał z własną guwernantką; ich ojciec został zamordowany na Majdanku, a matka przebywała w Warszawie.

W oddzielnych budynkach była pralnia, warsztat garbarski, gdzie się oczyszczało skóry – oraz kurnik i chlewnia, która dochodziła do stawu w

ten sposób, że kawałek stawu był odgradzony i świnie mogły się tarzać w błocie i kąpać: to były naprawdę szczęśliwe świnie... Poza kurami mieliśmy jeszcze trochę kaczek i gęsi, które pływały sobie na stawie.

Drewno przechowywaliśmy w zadaszanej wiacie; Ojciec – który był urodzonym inżynierem-mechanikiem – umieścił w niej także motorową pompę (pamiętam, że był na niej napis „Birmingham”), która od szóstej po południu przez pół godziny pompowała wspaniałą wodę do pałacu i stawów ze źródła krasowego, znajdującego się na końcu stawu. Woda w domu była podgrzewana w zbiorniku nad piecem kuchennym, dzięki czemu mieliśmy w domu i zimną, i ciepłą wodę.

## 7. Służba

W pałacu mieliśmy liczną służbę.

Początkowo mieliśmy kucharza, który uczył się sztuki kulinarnej we Francji. Zapamiętałam go dobrze dlatego, że kiedyś ciągnął mnie na saneczkach, które się w pewnym momencie wywróciły i znalazłam się w śnieżnej zaspie... Pomocnicą jego była Kasia, która nauczyła się od niego wielu różnych francuskich przepisów, co się jej bardzo przydało, kiedy przejęła jego obowiązki. Kasia miała pomoc do zmywania, ale nie pamiętam imienia tej dziewczyny.

Do stołu w jadalni podawał i sprzątał pokoje na dole Bolesław Matyjaśkiewicz. Miał on cztery córki; starsze były mniej więcej w moim wieku i często się z nimi bawiłam – a nieraz, jak byłyśmy niegrzeczne, oberwałyśmy ścierką po nogach; potem urodziła się najmłodsza: Emilia. W czasie wojny salony nie były używane, więc pan Bolesław nie miał zbyt wiele do roboty.

Pozostałe pokoje sprzątała inna służąca, która zimą dodatkowo rozpalala ogień w piecach; palił się on przez cały dzień. Najpierw była to Józia; kiedy wyszła za mąż, zastąpiła ją Wikcia, która pod koniec wojny też wyszła za mąż, ale była u nas do końca naszego pobytu w pałacu. Ich nazwisk nigdy nie znałam.

Psami zajmował się stary Myśliwiec; prawdę mówiąc nie wiem, czy „Myśliwiec” to było nazwisko czy określenie jego funkcji. Spuszczał on na noc nasze psy obronne z uwięzi; poza tym zmywał naczynia w kredensie.

<sup>118</sup> „Kredensem” nazywano pomieszczenie między kuchnią i jadalnią, w którym stał kredens-mebel i do którego przynoszono potrawy z kuchni przed wniesieniem ich do jadalni.

<sup>119</sup> Salon myśliwski służył do przechowywania sprzętu myśliwskiego oraz trofeów.

Rodzice mieli też osobistych służących: Ojciec – Janka, ale za moich czasów już go u nas nie było; Mama – garderobianą. Ta ostatnia była już staruszką i na początku wojny poszła do domu starców w Lublinie. Pamiętam, że czasem ją tam odwiedzałyśmy z Mamą. Pochodziła chyba z Ukrainy, bo zawsze mi o niej dużo opowiadała.

Po wybuchu wojny wyrzucono Babcię Aleksandrę z Trawnik i przemieszkwała ona trochę u swego syna w Suchodolach, a trochę u nas. Kiedy była u nas, jej służąca mieszkała na górze; zimą w tym pokoju zawsze darło się pierze i czytało powieści historyczne.

### 8. Mieszkańcy czworaków

Poza stałą służbą zatrudnialiśmy także sezonowych robotników. Mieszkali oni w czworakach, to znaczy budynkach z czterema mieszkaniami, z których każde miało osobne drzwi na zewnątrz. Wstydę się dziś za Rodziców, że w tym mieszkaniach brakowało podstawowych wygód: nie było na przykład wodociągów i robotnicy musieli nosić wodę wiadrami.

W czasie żniw pracowali oni do późnego wieczora i zasypiając słyszałam ich śpiew, który odbijał się od lustra wody, kiedy wracali do swoich czworaków po drugiej stronie stawu. Wszystko wskazuje na to, że byli to Rusini, powszechnie znani ze swej muzykalności.

### 9. Żydzi

O ile zbiór plonów w naszym gospodarstwie wymagał zatrudnienia sezonowych robotników, o tyle sprzedaż plonów – za wyjątkiem buraków cukrowych – wymagała kontaktów handlowych z Żydami.

Zapamiętałam trzech żydowskich handlarzy. Jeden miał na imię Szmul; imion dwóch pozostałych nie pamiętam. Drugi był pachciarzem i jemu Ojciec sprzedawał mleko. Trzeci kupował nasze czereśnie; w okresie zbiorów ów handlarz mieszkał w namiocie pod drzewami czereśniowymi, żeby je pilnować przed ptactwem, a może także i przed dziećmi, które się do nich dobierały.<sup>120</sup>

Kontakty z nimi były bardzo poprawne. Mam w oczach jednego z tych handlarzy – w chałacie – jak przychodził, żeby widzieć się z Oj-

<sup>120</sup> Osoby niezidentyfikowane.

cem i czekał na niego w gabinecie; mnie wtedy wypraszano, tłumacząc, że Ojciec z tym handlarzem będą omawiać «ważne sprawy».

Mego starszego Brata, Antoniego, Ojciec wysłał do Kotlic (gdzie Brat się urodził), aby poprowadził niewielki majątek Dziadków Michalskich. Któregoś roku Antoni postanowił, że nie będzie sprzedawał plonów Żydom, tylko znajdzie sobie kupca-Polaka. Istotnie kogoś sobie znalazł; okazało się jednak, że „stali” za nim Niemcy, ale nikt o tym nie wiedział; poza tym ów Polak nie płacił tak szybko i tak dobrze – jak Żydzi. Wrócił więc do wypróbowanych kupców żydowskich. W rodzinie opowiadano w związku z Antonim taką historię: w 1939 roku – tuż przed żniwami – jeden z miejscowych Żydów przyszedł do Brata i proponował, że zapłaci mu z góry za bliskie już plony; ale Brat odmówił, tłumacząc, że nie wie, czy będzie mógł te plony zebrać. A na to ów Żyd miał powiedzieć zagadkowo: „Niech Pan weźmie pieniądze – one się Panu mogą niedługo bardzo przydać”.

### 10. Wczesne dzieciństwo

Do czasu, kiedy miałam 4 lata, opiekowała się mną pani Bidzińska. Ok. 1935 roku pani Bidzińska wstąpiła do klasztoru; pamiętam, że byłam na jej obłóczynach. Po niej nastąpiła panna Milcia Modzelewska, później Monikowa. Polecił ją Mamie ktoś w Warszawie, gdzie Mama lubiła jeździć: mieszkała tam, gdy mój Brat Antoni chodził do gimnazjum i miała tam mnóstwo znajomych. Panna Milcia wychowała się w Anglii i mówiła bardzo dobrze po angielsku.

Parę lat później panna Milcia proponowała, żeby przyjeżdżała do nas na wakacje letnie jej przyrodnia siostra Daniela, obecnie Wójcik; Daniela stała się w ten sposób moją towarzyszką zabaw.

Z Panną Milcią zaczęłam się więc uczyć angielskiego. Panna Milcia miała ze mną rozmawiać wyłącznie po angielsku, ale miałyśmy miesiące – i coraz więcej mówiłyśmy po polsku. Mama odkryła, że ja niby trochę mówię po angielsku i trochę czytam, ale pisać zupełnie nie umiem i gramatyki w ogóle nie znam. Była z tego dosyć niezadowolona, więc panna Milcia dała mi listę słówek z trudną ortografią i zaczęłam się tych słówek uczyć. Niewiele z tego prawdę mówiąc wyszło, ale to był dobry początek. Ostatecznie panną Milcią zastąpiła Mama,

a potem sama zaczęłam się uczyć angielskiego. Ogromnie mi się to później w życiu przydało.

Mama poza tym uczyła mnie czytać i pisać po polsku, i trochę rachować, ale wszystko to było bardzo niezorganizowane. Dała mi też podstawy francuskiego i nauczyła troszkę „brzdąkać” na fortepianie.

### **11. Mój rozkład dnia**

Rozkład mojego zwykłego dnia – od piątku do soboty – był wyznaczony przez posiłki: śniadanie, obiad i kolację.

Wstawałam dość wcześnie, toteż jeszcze przed śniadaniem dawało mi książki do czytania; początkowo je tylko przeglądałam, ale później stopniowo zaczęłam naprawdę czytać. Potem – w czasie wojny, kiedy już przyjechała do nas moja nauczycielka – miałam z nią dwie godziny lekcji. Przed obiadem był jeszcze wspólny spacer po ogrodzie.

Po obiedzie znowu wychodziłam do ogrodu, a po powrocie – oddawałam pracę domową.

Wieczorem, po kolacji, wszyscy zbierali się wokół jednej z lamp naftowych (elektrycznych nie mieliśmy) i czytało się jakąś powieść. Dorosłe panie robiły na drutach, szyły coś sobie lub reperowały; mnie także uczono roboty na drutach i haftowania. Czasem było wspólne śpiewanie.

W niedzielę nakładało się lepsze ubranie i jechało na sumę do kościoła mełgiewskiego; kiedy była ładniejsza pogoda i nie było zbyt zimno chodziliśmy do Mełgwi 3 km na piechotę. Potem wracało się pałacu na obiad – a po obiedzie można było robić co się chciało. Czasem jeździliśmy bryczką do lasu; czasem chodziliśmy pływać w rzece Sławce.

### **12. Pory roku**

Zimy w lubelskim – w czasach mego dzieciństwa – były na ogół śnieżne. W słoneczne dni bawiliśmy się więc w rzucanie śnieżkami i w tropienie zajęcy. Po tych zabawach wracaliśmy do przytulnego domu, w których działały piece – a w niektórych pomieszczeniach także centralne ogrzewanie. O wojnie przypominało to, że trzeba było zaciemniać okna czarnym papierem.

W marcu i kwietniu pogoda się psuła.

Potem zaczynało się zielenić. Chodziliśmy więc do lasu zbierać białe konwalie i żółte pierwiosnki. Pamiętam, że kiedyś zrobiliśmy z

moją nauczycielką wyprawę po różowe wilczełyko. Potem kwitły granatowe fiołki.

2 maja były imieniny Ojca; nie było wtedy wielkiego przyjęcia – ale ja zawsze przynosiłam mu na imieniny żonkile z naszego parku.

O ile wiosna była pod znakiem kwiatów, o tyle w lato zaczynał się sezon owoców. W lesie pojawiały się jagody i poziomki; przy alejach wśród pól zaczynały czerwienić się czereśnie, których było zatrzęsienie; w ogrodzie mieliśmy porzeczki, maliny i truskawki – oraz szparagi i inne warzywa. Na polach kopało się młode kartofle.

Pamiętam, że były takie sezony, kiedy przez kilka dni z rzędu jadło się to samo – kolejno: szparagi, młode kartofle, a potem kukurydzę, później bulwy. Słoneczniki bulwiaste – o żółtych, mniejszych niż u zwykłego słonecznika kwiatach – rosły u nas dziko. Bulwami tych słoneczników zjadały się nasze półoswojone bażanty; dlatego Mama wyrwała późną jesienią łodygi, żeby im odsłonić korzenie i tym samym umożliwić żerowanie.

### **13. Nasze menu**

Jedzenie u nas było znakomite. Mama zawsze o to bardzo dbała.

Ogród i sad dostarczały wspaniałych warzyw i owoców. Mieliśmy własną kaszę i mąkę, z której w domu piekło się chleb. Tuż przed wojną otwarto pierwszą piekarnię przy drodze z Podzamcza do Mełgwi, ale szybko ją zamknięto – tak że znowu trzeba było powrócić do własnego wypieku.

Na przyjęciach imieninowych pojawiały się lody, które wyrabialiśmy za pomocą specjalnej maszyny, w której wykorzystywany był lód zebrany zimą ze stawów i przechowywany na lato pod warstwą worków, liści i ziemi.

Pod koniec wojny w Mełgwi ktoś uruchomił produkcję lodów na sprzedaż: cieszyły się one wielkim powodzeniem.

Jesienią chodziło się do lasu na grzybobranie; prawdziwków i kozaczków wiele się nie znajdowało, ale za to w plantacjach świerków były takie ilości rydzów, że można je było zbierać wiadrami. Bardzo lubiłam smażone rydze, które dosyć często gościły na naszym stole.

Zimą podstawowym daniem były kartofle lub kasza gryczana ze zsiadłym mlekiem – bardzo je lubiłam jeść na kolację – oraz bulwy i kwaszona kapusta domowej roboty.

#### 14. Boże Narodzenie

Największym świętem było u nas – jak w każdej polskiej rodzinie – Boże Narodzenie. Przyjeżdżali do nas wtedy ci krewni, którzy nie mieli własnej rodziny, a więc m.in.: Stryj Józef, który razem z Ojcem zakładał cukrownię w Strzyżowie; Ciotka Elżbieta Rulikowska, której dwaj synowie zginęli – jeden, Ludwik, w Oświęcimiu, a drugi, Edward, w Warszawie; także bezdzietna i stara już Ciotka Zosia Bilińska.

Wigilia była bardzo uroczysta.

Z pierwszą gwiazdką otwierały się drzwi do salonu i ukazywał się ogromny – rozłożony – stół, nakryty białym obrusem, oświetlony zawieszoną u sufitu lampą z kutego żelaza z kolorowymi szybkami i pięknymi kandelabrami. Dań było mnóstwo: zapamiętałam ryby, barszcz, grzyby i – na deser – mak przyrządzony na słodko (ale nie były to, jak w wielu miejscach w Polsce, kluski z makiem).

Dla nas, dzieci, najważniejsza była choinka, sięgająca sufitu, obwieszona i płonącymi świeczkami i ozdobami zrobionymi w czasie adwentu. Ozdób tych robiliśmy bardzo dużo i następnie zawsze dzieliśmy na trzy części: jedna część zostawała u nas, druga część szła do ochronki prowadzonej przez zakonnice na Podzamczu, a trzecia część była posyłana do ochronki w Mełgwi. Pod choinką leżały prezenty – zawsze zapakowane w brązowy papier. A prezenty u nas – to były książki.

W ostatnie Boże Narodzenie, które spędziłam w naszym pałacu mełgiewskim, dostałam cały stos książek. Jak się wtedy cieszyłam!

W ogóle – lubiłam czytać książki; część była z podarków wigilijnych, a część wypożyczaliśmy z biblioteki w Lublinie. Do moich najukochańszych lektur należały: *Perły księżniczki Mai* Buyno-Arctowej, *The book of pirates* Pyle’a, *Klasa trzecia rozpoczyna bieg* Morsztynkiewicz-Czerwińskiej, *Panieniec z okieneczka* Brzechwy, *Ania z Zielonego Wzgórza* Montgomery, *Małe kobiety* Alcott, *Na tropach ludzi i zwierząt* Sopoćki i Grzymałowskiego...

#### 15. Wielkanoc i inne uroczystości

Święta Wielkanocne spędziliśmy w gronie miejscowych przyjaciół i znajomych – rodzina z innych majątków nie przyjeżdżała. Na stole zawsze stał koszyczek, a w nim: cukrowy Baranek, serek i kielbasa,

i oczywiście pisanki; w malowaniu pisanek i ja już uczestniczyłam – chwalono mnie, że mam do tego zdolności. Aby było to prawdziwe „święcone”, przyjeżdżał do nas zawsze ksiądz i wszystko to święcił.

Z Wielkanocą wiązały się dwa zwyczaje.

Pierwszy polegał na tym, że w ogrodzie chowane były czekoladowe jajeczka i w Niedzielę Wielkanocną dzieci szukały ich wytrwale, żeby je potem ze smakiem zjeść; w czasie wojny nie było już takich rarytasów – i musieliśmy się zadowolić zwykłymi jajkami na twardo. Zwyczaj tej przeniosłam do Australii – i do dziś podtrzymuję go z moimi wnukami.

Drugi zwyczaj – to znany powszechnie śmigus-dyngus w Lany Poniedziałek. Jeżeli wyszło się na dwór, to można było być oblaną wodą: zawsze się znajdowali jacyś chłopcy z wiadrem wody gotowi to zrobić. Ja na ogół zostawałam w domu.

Zapamiętałam jeszcze nabożeństwa majowe, które odbywały się w oranżerii – do kościoła się nie chodziło, bo było za daleko – i wtedy oranżeria była pełna kwiatów, zwłaszcza bzu. Ktoś z nas odmawiał parę modlitw i śpiewaliśmy wspólnie pieśni religijne.

15 sierpnia były imieniny mojej Mamy. To była znakomita okazja do zjazdów rodzinnych: przyjeżdżali krewni i znajomi – ale ja zapamiętałam te „zjazdy” głównie dlatego, że wtedy robiło się lody.

#### 16. Kontakty towarzyskie

Nasz pałac był uważany przez Rodziców za dom otwarty dla całej rodziny: mieli w nim prawo zatrzymywać się kiedy chcieli wszyscy krewni, w tym różne stare ciotki. Toteż dom był pełen gości – zwłaszcza w wakacje. Szczególnie wiele osób przyjeżdżało z Warszawy, gdzie Mama miała wielu przyjaciół. Należeli do nich pracownicy ambasad brytyjskiej; córka jednego z tych pracowników, trochę starsza ode mnie, bardzo lubiła jeździć konno i nieraz ją gościliśmy w Mełgwi.

Z kolei myśmy odwiedzali często właścicieli sąsiednich majątków – przede wszystkim Babcię Michalską w Trawniskach, Wuję Michalskiego w Suchodołach i bodaj najczęściej Wuję Scipia w Brzezicach, który przywoził mi zawsze włoską lemoniadę „pellegrino” w ozdobnej butelce; jego syn Reniusz był sporo ode mnie starszy. Przyjaźniliśmy się

także z państwem Rostworowskimi z Milejowa. Najbliżej Podzamcza były majątki państwa Dreckich w Krzesimowie i państwa Koźmianów w Wierchowiskach – ale z nimi nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów; z tymi ostatnimi przyjaźnił się natomiast mój brat.

Z Mełgwi – bywali u nas państwo Lisowscy oraz księża.

Doktor Lisowski był lekarzem mełgiewskim – w połowie chyba opłacanym przez mego Ojca, a w połowie przez gminę. Lisowscy mieli dwie córki-bliźniaczki w moim wieku. Często się z nimi bawiłam, więc Ojciec przywoził je do nas, a wieczorem odwoził do Mełgwi.

Któryś z księży był zawsze zapraszany w Wielką Sobotę, żeby pobłogosławić święcone i wtedy zostawał na obiad. Nie pamiętam, żeby księży zapraszano na Boże Narodzenie.

Proboszcz, ks. kanonik Żyszkiewicz – jak mi opowiadała Mama – początkowo odnosił się do Mamy z rezerwą; chodziło o to, że zaraz po sprowadzeniu się do Mełgwi zaczęła ona niejako z urzędu brać udział w różnych zebraniach, w których uczestniczył proboszcz i wójt mełgiewski – i ks. Żyszkiewicz uważał, że była na to, jako osiemnastolatka, za mało doświadczona. Ale później moja Rodzina bardzo się z proboszczem zaprzyjaźniła. Przypuszczam, że to moi Rodzice opłacali pobyt ks. Żyszkiewicza w prywatnej klinice warszawskiej „Omega”, gdzie trafił ciężko chory; kiedy przyjechaliśmy z Mamą do Warszawy – odwiedzałyśmy go w tej klinice.

Wpadali do nas czasem także młodzi wikarzy – ks. Cąkała i ks. Zalewski; jeden z nich grywał z nami w siatkówkę. Niestety obaj zostali aresztowani przez Niemców i zamęczeni w Oświęcimiu.

## 17. Polowania

Jedną z wielkich okazji do spotkań towarzyskich były polowania.

Na jesieni zawsze było polowanie. I wtedy zapraszało się wielu sąsiadów i krewnych. Był wśród nich pan Koźmian z Wierchowisk i mój Wuj Michalski z Suchodół.

Moja niania była przeciwna zabijaniu zwierząt, więc byłam w domu wychowywana w takiej atmosferze, że polowanie to bezduszne strzelanie do niewinnych istot. Ojciec, nie lubił polować, więc duchem był z nami, ale czuł się w obowiązku jechać bryczką na polowanie ze

swoją strzelbą; przypuszczam zresztą, że nigdy jej nie użył. Inna sprawa, że na naszych mełgiewskich polowaniach strzelało się nie tyle dla przyjemności, ile z rozsądku, bo trzeba było zmniejszyć ilość zwierząt w lesie i na polu – inaczej zjadłyby nam oziminy.

Mnie na szczęście tam nie zabierano, bo było to trochę niebezpieczne: nagonka, strzelanina... Pamiętam, że przed wyjazdem robiło się duży rondel bigosu, którym myśliwi raczyli się po zakończeniu polowania..

## 18. Początek wojny

Tuż przed wybuchem wojny słyszałam, że Hitler jest bardzo nie-dobry oraz że Niemcy robią armaty, a nie mają masła. Jak się ma osiem lat, to się za wiele nie rozumie.

Pierwsze, co pamiętam z wojny, to jak spadła bomba przy mostku z drugiej strony Minkowic. To był malutki mostek, bo stał właściwie nie nad jakąś rzeczką – tylko nad rowem. O tym, że to początek wojny dowiedziałam się na pewno nie od Rodziców, ale od kogoś innego i dużo później. W domu opowiadano mi co prawda o I Wojnie Światowej, ale to mnie wtedy za bardzo nie interesowało.

Drugą rzeczą, którą zapamiętałam z początku wojny, to było to, że chowaliśmy się przed nalotami: początkowo w piwnicach, a później pod dużym świerkiem w ogrodzie, bo Milcia stwierdziła, że piwnice nie są wcale takie bezpieczne: bomby nas tam mogą pogrzebać.

Trzecią rzeczą, która utkwiała mi w pamięci – to była „wizyta” żołnierza niemieckiego w naszym pałacu po ustąpieniu Rosjan. Grałyśmy wtedy w karty przy stole, bo Mama nakazała nam nie robić żadnego hałasu i cicho siedzieć. Kiedy Niemiec wyszedł z sypialni Rodziców, zauważyłam, że Mama, która zawsze nosiła na szyi sznur pereł, zakryła je na wszelki wypadek szalem... Na szczęście „wizytujący” nas żołnierz zachowywał się przyzwoicie.

Wreszcie zapamiętałam dwa epizody z naszej „ucieczki na zachód”, bo Rodzice postanowili udać się do majątku Cioci Dusi Komorowskiej, czyli do Zabrzeźni w Głownie. Jechaliśmy powozem – ja, Rodzice, Milcia i Daniela – w kierunku Puław; był z nami poza tym wóz załadowany rzeczami. Danielę wzięliśmy ze sobą, bo ona zwykle



pod koniec wakacji wracała do Warszawy – ale Warszawa była już oblężona. Most na Wiśle był jednak zajęty przez Wehrmacht: oddziały niemieckie przepływały przez ten most na przemian na wschód i na zachód.

Ojciec uzyskał pozwolenie na przekroczenie mostu, ale trzeba była na odpowiedni moment poczekać. Schroniliśmy się więc w jakimś na wpół spalonym domu. Widok tego pogorzeliska był dla mnie czymś przerażającym.

A kiedy już wjechaliśmy już na most – konie przestraszyły się warkotu pojazdów wojskowych i zaczęły się rzucać to w lewo, to w prawo. To mnie przeraziło bardziej niż tamto pogorzelisko.

### 19. Lublin

Nie dojechaliśmy do majątku Cioci Dusi: zawróciliśmy, gdy doszła do nas wiadomość, że Rosjanie ostatecznie opuścili Lubelszczyznę, Rodzice postanowili wrócić do siebie. Zatrzymaliśmy się jednak w Lublinie i tam spędziliśmy zimę 1940 roku, bo nasz mełgiwski dom został we wrześniu 1939 roku obrabowany przez Rosjan, a zima tego roku była bardzo ciężka – temperatury dochodziły do -40°. Meble załadowano do ciężarówki i wywieziono do stacji kolejowej, ale jakiś oficer rosyjski<sup>121</sup> miał powiedzieć, że wagon potrzebny jest na coś innego – więc zrzucone meble wyrzucono tak, że nadawały się już tylko na opał. W domu pozostały tylko meble gdańskie w jadalni: były po prostu za ciężkie...

W Lublinie wynajęliśmy dwa pokoje przy ulicy Chopina 24 – u pana Mielnika, który był nauczycielem matematyki w szkole urszulanek; państwo Mielnikowie – on, jego żona i dwóch synów gnieździli się w jednym pokoju.

W mieście byli pełno Niemców. Pamiętam żołnierzy Wehrmachtu, maszerujących ulicą za oknem i śpiewających „Haili, hailo, haila”...

Wszyscy się ich bali. Któregoś dnia latem szłam ulicą z Mamą i kilku młodych Niemców, chyba członków Hitlerjugend, wymusiło na nas, żebyśmy im ustąpili na jezdnię, żeby oni sobie mogli swobodnie przejść po chodniku – mimo, że Mama była już starszą kobietą...

<sup>121</sup> W końcu września 1939 roku Mełgiew znalazła się na krótko w rękach wojsk rosyjskich; na początku października została włączona przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa.

### 20. Szkoła

W Lublinie Mama – mimo że miałam już 8 lat – zapisała mnie do przedszkola, które było w budynku prywatnej szkoły pani Papiewskiej. Byłam w tym przedszkolu najstarszą z dzieci: wszystkie dzieci się bawiły, a ja stałam na środku sali, i nie wiedziałam, co mam ze sobą robić. Jakaś nauczycielka podeszła do mnie i zapytała „Ile ty masz lat?” Kiedy odpowiedziałam, że 8, nauczycielka powiedziała: „To ty powiedz swojej mamie, żeby cię zapisała do szkoły”.

Pamiętam dramatyczne wejście – pani Papiewska sama wzięła mnie za rękę i doprowadziła mnie do drzwi: takich wysokich drzwi. Otworzyła je i wepchnęła – jak się okazało – do drugiej klasy, bo już umiałam pisać, czytać i trochę liczyć. To było dla mnie nie lada przeżycie. Dziecko, które nigdy nie było w szkole, znalazło się nagle w sali, gdzie dzieci siedzą w rzędach, a przed nimi – nauczycielka.

Zaczęłam więc chodzić do szkoły, ale po dwóch tygodniach Niemcy ją zamknęli.

### 21. Tajne komplety

Po zamknięciu szkoły – panna Gajewska, która była w niej moją nauczycielką – zorganizowała tajne nauczanie. Była nas grupa 10 dzieci i spotykaliśmy się w różnych prywatnych domach. Raz było to w mieszkaniu przy Alejach Racławickich, które wtedy były jeszcze nową ulicą – i ledwie znaleźliśmy właściwy adres. Spotykaliśmy się też w mieszkaniu niedaleko od ulicy Chopina. U nas zajęcia się nie odbywały, bo nie byliśmy u siebie: tylko wynajmowaliśmy dwa małe pokoiki u państwa Mielników i Mama nie chciała ich nawet prosić o pozwolenie na udział w takiej bądź co bądź nielegalnej aktywności.

Bardzo tę tajną szkołę polubiłam. Zajęcia zaczynały się chyba o 8 lub 9 rano. W pokoju lekcyjnym był zawsze duży stół, wokół którego siedziały dzieci i nauczycielka jak w normalnej klasie. Panna Gajewska uczyła nas wszystkiego, czego by uczyła w prawdziwej szkole. Zapamiętałam, że na lekcjach matematyki uczyliśmy się tabliczki mnożenia – rysując kwadraciki np. pięć w wierszu i sześć w kolumnie, dzięki czemu mogliśmy bardzo łatwo sprawdzić, że 5 x 6 to jest 30. Czytania uczyliśmy się z książek, które dzieci przynosiły do szkoły.

Wiosną 1940 roku wróciłyśmy z Mamą do Mełgwi. Mama wtedy zatrudniła pannę Halinę Juszczakowską, studentkę psychologii, która zamieszkała u nas w pokoiku na górze i uczyła mnie i córkę pana Fi-jałkowskiego.

## 22. Aresztowania

Niemców nie widziało się w Mełgwi – pewnie dlatego, że kiedy śnieg topniał na drogach było okropne błoto i ciężkimi niemieckimi samochodami trudno było przez to błoto jechać. Nawet nasza bryczka nie mogła tego dokonać – nieraz nie mogliśmy nią dotrzeć na niedzielną mszę.

Można więc było zapomnieć o tym, że ciągle trwa okupacja. Ale zdarzały się incydenty, które ten smutny fakt przypominały w całej jaskrawości.

Kiedyś – chyba już po naszym powrocie z „ucieczki na zachód” – do naszego ogrodu wszedł niemiecki żołnierz i zaczął strzelać do bażantów. Kiedy Ojciec wyszedł na balkon i zwrócił mu uwagę, że bażanty są naszą prywatną własnością – ten poskarżył się swoim przełożonym, że Ojciec groził mu bronią. To wystarczyło, że Ojca aresztowano i miano postawić pod sąd wojenny. Mama pojechała wtedy do Lublina i swoją nienaganną niemczyzną jako Ojca „wyreklamowała”.

Chyba w tydzień po naszym wyjeździe z Lubelszczyzny, w Niedzielę Wielkanocną, wszystkich mężczyzn z Podzamcza aresztowano – z wyjątkiem Ojca, chyba dlatego, że miał ponad 70 lat, a poza tym mówił biegle po niemiecku i jakoś się „wy tłumaczył”, i służącego Bolesława Matyjaśkiewicza, który zdołał się schować na dachu.

Ojciec pojechał do władz niemieckich i przekonał je, że aresztowani mężczyźni powinni wrócić, bo jest wiosna i bez nich nie obsieje pól, a przecież plony dostarczane są Rzeszy Niemieckiej. Ostatecznie wielu wtedy wróciło do pracy.

## 23. Niemcy

W domu unikano mówienia o okropnościach wojny.

O spaleniu przez Niemców w 1943 roku wsi Dominów k. Mełgwi wiem tylko dlatego, że niania Jałowieckich usprawiedliwiała mnie, że nie mogę zjeść kolacji, bo właśnie usłyszałam o tym, co stało się w Dominowie.

Wrogi stosunek dorosłych do żołnierzy niemieckich udzielał się dzieciom. Pamiętam, że kiedy latem 1943 roku żołnierze niemieccy, zakwaterowani w naszych salonach, częstowały małą Bessy i Michała Jałowieckich pomarańczami – to my, starsze dzieci, gorszyliśmy się, bo czuliśmy, że od Niemców niczego przyjmować nie wolno.

Poczucie wrogości zdarzało mi się wyrażać wprost – w dziecięcy sposób. Pamiętam, że kiedyś biegłam z ogrodu i pokazałam język Niemcowi, który szedł przede mną. Tymczasem na tarasie ogrodowym stał inny Niemiec, oficer, który całe zdarzenie widział. Złękłam się bardzo, uciekłam na drugi koniec ogrodu i nie chciałam w ogóle wrócić do domu, bo myślałam, że mnie rozstrzelają. Na szczęście nic złego się nie stało.

Czasem – w okresie, kiedy Wehrmacht szedł na Rosję – przychodzili do nas oficerowie niemieccy i Mama starała się ich zawsze traktować bardzo uprzejmie: nawet podawało się im herbatę na tarasie. Rodzice uważali, że do oficerów – nawet wrogich – trzeba się odnosić z szacunkiem. Kiedyś jeden z nich zapytał, czy może zagrać na fortepianie; pamiętam, że grał bardzo ładnie.

W czasie rozmowy pewien oficer<sup>122</sup> zwracał się do Mamy *per* „Gnädige Frau” (pol. „łaskawa pani”), a ona się z tego śmiała, bo przecież my, Polacy, mieliśmy być dla Niemców tylko „Polnische Schweine” (pol. „polskie świnie”). Ów oficer prawie płakał przy Mamie, mówiąc: „Mam rodzinę w Berlinie. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje. Wiem, że nasze gazety kłamią, a my musimy iść na front rosyjski”.

Miało się wrażenie, że wielu z tych Niemców gdyby mogło, byłoby po naszej stronie.

Inaczej zachowywał się inspektor rolniczy Wilczek; mówiono o nim, że to renegat czeski – i że renegaci są gorsi od samych Niemców. Kiedyś doszło do jakiejś sprzeczki między nim a Ojcem – i kiedy Wilczek uderzył Ojca w twarz, Ojciec nie pozostał mu dłużny. Należało się spodziewać najgorszego, więc Ojciec uciekł konno (czy kolejką, która łączyła Podzamcze ze stacją w Minkowicach) i przed tydzień nie pojawiał się w domu. Mama postanowiła pojechać do wyższych

<sup>122</sup> Osoba niezidentyfikowana.

władz niemieckich i jakoś – swoją piękną niemczyzną – wytłumaczyła postępowanie Ojca, któremu ostatecznie nic się nie stało.

Doskonała znajomość niemieckiego sprawiała, że Mama często ratowała nas wszystkich z opresji; Ojciec zresztą też płynnie mówił po niemiecku i to bardzo mu pomagało w kontaktach z Niemcami.

\*\*\*

Na początku kwietnia 1944 roku wyjechałam z Mamą do Warszawy; tuż przed końcem sierpnia Mama pojechała ze mną do Cioci Dusi w Głownie. W Warszawie wybuchło Powstanie – i straciliśmy łączność z Ojcem...

Nigdy już nie dane było nam wrócić do naszego pałacu w charakterze właścicieli...

## 7. Bożena Jadacka-Józków



10. Bożena Jadacka-Józków.

## Moje wojenne dzieciństwo

### 1. Czas pobytu w Mełgwi

Tata przyjechał do Mełgwi w ostatnich dniach grudnia 1937, Mama – pod koniec stycznia 1938. Tata poprzednio był organistą w Piekutach; posadę musiał opuścić po zawarciu małżeństwa z Mamą z powodu złożonych spraw rodzinnych. Na tę nową posadę zaprotegowała go ks. Żyszkiewiczowi pewna jego znajoma, która często podróżowała z Piekut do Mełgwi – i знаła Tatę z najlepszej strony. Poprzednim organistą był Jan Budzyński, który – jeśli się nie mylę – przeniósł się do Lublina.

Kiedy Rodzice zjawili się w Mełgwi, byli właściwie bez grosza i musieli się zagospodarowywać od zera, kupując wszystko na raty. Zakupy robili w Lublinie; pierwszy większy zakup to był bodajże tapczan, szafa, stół i krzesła. Na nakrycia stołowe dostali już kredyt bez trudu, bo właściciel sklepu ustalił u meblarza, że raty za tapczan są spłacane terminowo.

Tata nie należał do Związku Organistów Diecezji Lubelskiej – i ks. Żyszkiewicz uprzedził go, że z chwilą jego śmierci będzie musiał ustąpić z Mełgwi. Tak się też stało. Rodzice opuścili Mełgiew na wiosnę 1946 i przenieśli się do Puchaczowa – zgodnie z decyzją Związku.

## 2. Kościół melgiewski

W czasie pobytu w Melgwi mieszkaliśmy na parterze w budynku przerobionym z dawnego kościoła (w tym samym, w którym obecnie znajduje się Muzeum Melgwi); mieszkali w nim także wikariusze (ks. Żyszkiewicz miał oddzielną plebanię) i kilka samotnych staruszek. Nasze mieszkanie składało się z bardzo długiego pokoju, który Tata podzielił przepierzeniem na dwa, z bardzo dużej kuchni i dużej spiżarki. Z okien „podwójnego” pokoju (w którym jest teraz kaplica) i kuchni widać było nowy kościół, który wielokrotnie rysowałam. Lubiałam adorować figurę Matki Boskiej w głównym ołtarzu; zachwyciałam się witrażami i drzwiami głównymi (które się szczęśliwie zachowały).

W kościele były piękne organy (zachowały się); jak sięgam pamięcią w czasie mszy byłam z Mamą na chórze. Jako dziecko frapowało mnie, jak Tata mógł grać nogami na nożnej klawiaturze, a kalikant z boku naciskał pedały miechu.

W tym kościele zostałam ochrzczona 15 stycznia 1939 przez ks. Zalewskiego (chrzcielnica się zachowała). Był z tym kłopot, gdyż ks. Zalewski nie chciał zgodzić się na imię „Bożena”, które uważał za pogańskie (rzeczywiście nie było Bożeny wśród świętych). Wtedy Tata zażartował, że będę pierwszą świętą Bożeną; ale musiano mi dać drugie imię, które miało już patronkę: Lidia. Moimi rodzicami chrzestnymi byli: stryj Mieczysław i Janina Rużanka, jego koleżanka z Pedagogium Lubelskiego – cztery lata później zamordowana przez Niemców w KL Ravensbrück.

## 3. Duchowni

Siłą rzeczy w moim najbliższym otoczeniu było wielu duchownych. Najmniej kontaktów miałam ks. Żyszkiewiczem (gdyż mieszkał na plebanii) i ks. Kimaczyńskim (choć nieraz odwiedzał Rodziców). Ks. Cąkałę zapamiętałam jako szczupłego, małomównego mężczyznę. Pozostała mi po nim pamiątka w postaci książeczki *Najpiękniejsze bajki polskie* z jego podpisem; zdaje się, że należała do jego biblioteki (o czym świadczy numer 128, wypisany na stronie tytułowej) i po jego śmierci została mi przekazana (przez jedną z betanek). Ks. Cąkała – i ks. Zalewski – przez pewien czas stołowali się u Mamy. Ks. Wiśliń-

ski bywał u Rodziców często – zwykle w ubraniu cywilnym; nieraz czytał u nas książki (w które była nieźle zaopatrzona nasza biblioteka domowa). Ks. Zalewskiego pamiętam najlepiej; wyprowadzał mnie „na barana” do ogrodu parafialnego – mówiąc: „Chodźmy do Rajskiego Ogrodu”; była tam piękna grusza z gałęziami do ziemi.

Ks. Meger, którego pamiętam jako mężczyznę o ciemnych włosach, miał wielkiego owczarka niemieckiego, które bardzo się bałam.

## 4. Mama

Pierwszą osobą w moim melgiewskim świecie byli jednak nie księża, lecz Rodzice – a zwłaszcza Mama.

Mama prowadziła przede wszystkim nasz dom, a robiła to znakomicie, gdyż ukończyła znane Dwuletnie Kursy Gospodarstwa Domowego w Warszawie prowadzone przez siostry-ukrytki. 2 września 1939 roku, kiedy na pobliski Lublin spadły pierwsze niemieckie bomby – zastał Mamę przy smażeniu powideł. Mama – zdezorientowana – przerwała smażenie. Ale następnego dnia, na szczęście wróciła do przerwanego smażenia: na szczęście – bo zapasy okazały się zbawienne. Smak tych powideł – i w ogóle gotowanych przez Nią potraw, a zwłaszcza smak wypieków, pamiętam do dziś, chociaż jadłospis nie był zbyt urozmaicony, bo np. potrawy mięsne pojawiały się na stole tylko od święta. Mama była przy tym bardzo oszczędna i zaradna. Pamiętam, że sama robiła masło – w butelce: wlewała do niej śmietanę i długo potrząsała, aż wreszcie pojawiły się w niej grudki tłuszczu. Kiedyś Mamie zepsuł się smalec; nie wyrzuciła go, tylko przerobiła na mydło.

Pod koniec wojny Mama brała często do pomocy dziewczyny z Cumania. Dziewczyny głównie pełły ogród, za co otrzymywały drobne pieniądze, zupeł, czasem jakieś ubrania; skądinąd robiły to chętnie.

Mama dbała szczególnie o Tatę – jako jedyne go żywiciela rodziny, powiększonej podczas wojny o licznych krewnych (którzy – nawiasem mówiąc – czasem sarkali na tę „nierówność” w traktowaniu przy stole).

Poza prowadzeniem domu – Mama, za zgodą ks. Żyszkiewicza, prowadziła kancelarię parafialną, spisując m.in. akta chrztów, ślubów i zgonów; od czasu do czasu zastępował ją w tym Dziadek Antoni. Wiem z późniejszych rozmów Rodziców, że udało Jej się dzięki temu urato-

wać kilka Żydówek z Mełgwi przed śmiercią z rąk Niemców – w ten sposób, że wydawała im fałszywe metryki urodzenia według akt zmarłych ich katolickich rówieśniczek; na tej podstawie nieszczęsne kobiety mogły wyrobić sobie „aryjską” kenkartę. Nie muszę chyba dodawać, że ks. Żyszkiewicz nic o tym nie wiedział i że – chociaż ryzyko było wielkie – pobierała za to zwykłą opłatę metrykalną. Mama wypiekała też opłatki na hostie i komunikanty; do wypieku miała specjalne szczypce, które po rozgrzaniu i wylaniu na „żelazka” – na krzyż – płynnego ciasta naleśnikowego (bez jajek) wkładało się w węgle kuchenne i trzymało tam do wyschnięcia; do wycinania komunikantów służyły okrągłe formy ze stali. Opłatki wigilijne sprowadzane były z Lublina.

Przez pewien czas ks. Żyszkiewicz zatrudnił też Mamę w wielobranżowym sklepie spółdzielczym *Jedność*, który założył jeszcze przed przyjazdem Rodziców do Mełgwi, który to sklep znajdował się w Domu Parafialnym na parterze. W tym okresie w obowiązkach domowych (gotowanie i opieka nade mną) Mamę zastępowała Ciocia Honorcia. Mama pracowała w sklepie do ślubu Cioci Honorci z bratem Taty – Wujkiem Miciem; po ślubie Jej obowiązki przejęli młodzi małżonkowie, którzy zamieszkali w pakamerze na zapleczu sklepu. Pamiętam, że kiedyś Mama miała nadmiar tłuszczu i zużyła go na wypiek pączków, które przekazała do sklepu; cieszyły się ogromnym powodzeniem wśród Mełgiewian – ale była to jednorazowa okazja.

Rodzice starali się, aby Mełgiewianie byli ze sklepu zadowoleni. Ponieważ normalnie sklep był zaopatrywany przez jedną z piekarń lubelskich i zaopatrzenie to – zwłaszcza po wybuchu wojny – stałe kulało, Tata postanowił kupować mąkę bezpośrednio u młynarza w Krępcu i robić chleb u miejscowego piekarza. Trwało to jednak krótko, gdyż niektórzy uważali, że pieczywo jest za drogie, zapominając, jak trudno coś takiego zorganizować – przecież nielegalnie.<sup>123</sup>

<sup>123</sup> Tata opowiadał mi o tym przed laty tak: W Mełgwi, w 1939-1940 roku, zorganizowałem wypiek chleba dla ludzi uciekających na Wschód (m.in. żołnierzy), ponieważ handel był sparaliżowany. Mąkę dostałem z młyna w Krępcu; jeden z uciekinierów – piekarz z zawodu – zgodził się robić wypiek w sklepowym piekarniku. Nie trwało to długo; po kilku tygodniach zrezygnowaliśmy, ponieważ niektórzy mieszkańcy Mełgwi zaczęli przeciwko nam intrygować – że niby robimy na tym nieuczciwy interes.

## 5. Tata

Tata był dla mnie wzorem cnót. Może tak jest w wypadku każdej relacji ojciec-córka, ale pokażę na przykładach, że moja ocena nie była tylko zwykłym stereotypem. Odnaczał się cechami, które zilustruję, aby nie być gołosłowną.

Po pierwsze, Tata był pracowity. Obowiązki organisty były wtedy niemałe – i Tata wywiązywał się z nich wzorowo. Poza zwykłym obsługiwaniem mszy, nabożeństw, ceremonii rodzinnych, trzeba było jeszcze prowadzić chór kościelny oraz np. rozwozić opłatki przez Bożym Narodzeniem; to ostatnie Tata robił z p. Torójem – pamiętam, że parafianie płacili za nie w naturze: ziemniakami, warzywami, jajkami, masłem, mąką itp.

Po drugie, Tata był w wielu kierunkach uzdolniony. Jako organista grał i śpiewał w kościele. Ale także malował: „zwykłe” obrazy i „podkolorowane” portrety; sława tych portretów dodała do Hartwiga, wziętego fotografa, który przyjechał do nas z Lublina, żeby zobaczyć, jak Tata to robi. Nawet ściany w mieszkaniu były ozdobione szlakiem z papugami – a nad tapczanem, jak dobrze pamiętam, wisiał worek imitujący makatę z namalowaną przez Tatę sceną szukania paproci podczas Nocy Świętojańskiej. Na – wówczas – trzylatce największe wrażenie zrobił przygotowany przez Tatę na dykcie (którą mu wyciął według wzoru miejscowy stolarz) Grób Chrystusa – a na nim „jak żywe” postacie śpiących żołnierzy rzymskich. Jak trzeba było – Tata zamieniał się w rymotwórcę i pisał powitalne teksty (oraz muzykę do nich) z okazji wizyt biskupa lubelskiego. W sąsiedztwie Mełgwi Andrzej Szczepanik prowadził wzorową Szkołkę Drzew Owocowych; Tata często bywał u Szczepanika – i „podglądał” zabiegi szkółkarskie i ogrodnicze; bardzo mu się to przydało, kiedy miał już (w Wygodzie) własny ogród. A u mełgiewskiego dekarza nauczył się „obchodzić” z dachami: wykorzystał to później w konserwacji naszego (wygodzkiego) domu.

Po trzecie, Tata był zaradny. Skąpy budżet domowy trzeba było wzmacniać dodatkowymi dochodami. Tata więc postanowił zostać fotografem. Kupił używany aparat fotograficzny (który się zachował), szerokotaśmowy, kupił poradnik, jak wywoływać klisze i same zdjęcia (który też się zachował) – i robił początkowo zdjęcia stykowe. Wkrótce



sam skonstruował powiększalnik (kondensator i głowicę zrobił z puszek na mąkę i landrynki, kolumnę z rury wodociągowej itd.), urządził sobie małą ciemnię – i zaczął wypuszczać z niej fotografie większych rozmiarów. Paradoksalnie, czas wojny sprzyjał zamówieniom: zdjęcia były potrzebne do obowiązkowych kenkart, no i częstsze były pogrzeby (zmarłych i pomordowanych), po których rodzina chciała mieć – smutne – pamiątki. Kiedyś – zaraz po przyjeździe Rodziców do Mełgwi – przyszedł ktoś i zapytał Tatę: „Czy Pan mi naładuje zegarek?”. Tata nie zrozumiał początkowo, że „naładować” znaczyło w tym wypadku tyle, co „naprawić”. „Spróbuję” – odpowiedział Tata i w ten sposób przybył mu zawód miejscowego zegarmistrza. Jak trzeba było – Tata zamieniał się w elektryka. W tym charakterze – naprawiał kable i urządzenia elektryczne; Mełgiew była bowiem zelektryzowana, a ponieważ w Domu Parafialnym Niemcy urządzili kwaterę swoim lotnikom – dochodził tam prąd trójfazowy. Plebania była w pewnym oddaleniu od organistówki, mieszczącej się również w Domu Parafialnym, więc na prośbę ks. Żyszkiewicza, który chciał mieć stały i szybki kontakt ze swoim organistą, Tata połączył nasze mieszkanie z plebanią lokalną linią telefoniczną.

Po czwarte, Tata był odważny i wytrzymały. Kiedy naprawiono uszkodzony krzyż na wieży kościelnej – Tata na życzenie proboszcza osobiście sprawdził, czy naprawa była solidna. A wspięcie się na wieżę było nie lada wyczynem: Mama umierała ze strachu... Po wybuchu wojny – w jednym z zakamarków wieży Tata ukrył sztandar Pułku Wielkopolskiego, który mu przekazał ks. Żyszkiewicz; tam także schował zapasy mąki; kryjówka była bezpieczna, bo Niemcy bali się wchodzić na wieżę. Tata wymienił przetarty sznur koralów (prawdziwych) a figurze NMP w głównym ołtarzu (pamiętam, jak nanizywał je uważnie w domu) – co też wymagało sporej zręczności. Wykonywał też – rzecz jasna – drobne naprawy organów. O tym, jak mężnie się zachował w czasie tortur – będzie mowa niżej.

Po piąte, był pogodny. W mojej pamięci na zawsze utrwaliła się Jego uśmiechnięta twarz – uśmiechnięta nawet w trudne lata wojny. Tylko dwa razy widziałam łzy w oczach Taty. Pierwszy raz, to było kiedy Niemcy zamordowali ciocię Gienię i przyszło oficjalne zawiado-

mienie o jej śmierci – Tata wziął je do ręki, wyszedł z domu, stanął pod naszym ulubionym drzewem (uwiecznionym na wielu pamiątkowych zdjęciach) i – zapłakał. Drugi raz, po powrocie z więzienia na Zamku Lubelskim – o czym będzie mowa później.

Po siódme, Tata był uczynny. Nie odmawiał pomocy nikomu – i była to często pomoc całkowicie bezinteresowna.

Po szóste, Tata był – jak to się u nas mówiło – rodzinny. Wyrazem tego była m.in. obecność licznych krewnych w naszym skromnym mieszkaniu.

To wszystko nie znaczy, że Tata nie miał wad. Ale ujawniły się one dopiero wiele lat później. Dwie największe – to były: wybuchowość i brak przywiązania do porządku. Na szczęście Mama te wady umiała łagodzić: czułością i wyrozumiałością.

## 6. Krewni

W szczytowym momencie mieszkało u nas ośmioro krewnych: ojciec Taty, Antoni-senior, Jego bracia, Mieczysław i Zygmunt, i siostry, Eugenia i Irena, siostra Mamy, Honorata, a także dzieci: Mirosława, córka Ireny, i – po urodzeniu – Marek, syn Honoraty i Mieczysława. W pewnym sensie członkiem rodziny był również uczeń Taty – Leon (Leoś) – o którym będzie jeszcze mowa.

Prawdę mówiąc – do dziś nie wiem, jak Rodzice w niełatwych wojennych latach dawali sobie radę z utrzymaniem ich wszystkich (razem z nami było to przecież jedenaście osób!), zapewniając im nie tylko „kąt”, ale także „wikt i opierunek”. Stopniowo mieszkanie się rozluźniło: Rodzice wynajęli – za własne pieniądze – dwa pokoje: jeden – dla dziadka Antoniego i cioci Ireny z Mirką (ciocia Gienia już wtedy nie żyła), a drugi – dla Honoraty i Mieczysława z Markiem.

Rodzice starali się w miarę możliwości, aby wszyscy czuli się w ich domu jak najlepiej. Wszyscy mogli np. kupować w prowadzonym przez Mamę sklepie – jak to się wtedy mówiło – „na kreskę”, czyli na kredyt: wszystko – z wyjątkiem papierosów. Kiedy Tata kupował Mamie w Lublinie jakieś większe czy mniejsze upominki (materiały na sukienkę, korale czy pierścionki) – starał się podobnymi upominkami obdarowywać Jej siostrę.

Musiał im wszystkim być z Rodzicami nieźle, skoro np. ciocia Honorcia (która przyjechała tuż przed wybuchem wojny), namawiana przez Tatę, żeby z powodu wojny wróciła do rodzinnych Modzel Starych k. Łomży, wołała pozostać w Mełgwi. Może zresztą była już wtedy zakonchana w bracie Taty – wujku Mietku, za którego w końcu wyszła?

## 7. Chwile wytchnienia

Życie moich Rodziców było wypełnione pracą, ale były krótkie chwile wytchnienia.

W każdą niedzielę, po sumie, wszyscy chodziliśmy na spacer łąką w kierunku stawów za Mełgiewką lub w przeciwnym kierunku – na cmentarz grzebalny. Przy okazji imienin Mamy i Taty były spotkania w gronie przyjaciół: skromne – bo trzeba było zrobić „z niczego coś”. Rodzice przyjaźnili się m.in. z doktorem Lisowskim, lubelskim lekarzem, mieszkającym wtedy z rodziną w Mełgwi,<sup>124</sup> który nas często odwiedzał, grywał na fortepianie Taty i prowadził z nim długie rozmowy „polityczne”. Kiedyś podczas takiego spotkania zawiadomiono doktora Lisowskiego, że jakiemuś chłopcu piła nadcięła palec – i błagano go, żeby przyjechał na ratunek. Doktor Lisowski początkowo odmawiał, tłumacząc się, że podczas imienin wznosił sporo toastów i nie czuje się na siłach przeprowadzić tak poważnego zabiegu. W końcu się jednak zgodził – i wszystko się dobrze skończyło: operacja się udała i chłopcu palec się szczęśliwie zrosł.

W czasie okupacji niemieckiej – na powietrzu przy sklepie wyświetlano filmy dla kwaterujących u nas lotników. Były to chyba jakieś propagandowe kroniki wojenne; treści nie rozumiałam, ale utkwiły mi w pamięci obrazy żołnierzy z zabandażowanymi głowami...

Pide W Mełgwi był szpital polowy, w którym widziałam polski film *Serce matki* według powieści Antoniego Marczyńskiego; byłam wstrząśnięta losami małej Krysi.

## 8. Święta

Rok mój – odkąd pamiętam – wyznaczony był przez cztery wielkie święta: wiosenna Wielkanoc, letnie Boże Ciało, jesienne Zaduszki i zimowe Boże Narodzenie. Zupełnie zapominaliśmy wtedy o wojnie.

<sup>124</sup> Pp. Lisowscy mieszkali w domu pp. Burdzanowskich.

W karnawale Mama piekła pączki. Na Trzech Króli pączkami wypełniona była duża miska i każdy mógł zjeść ich tyle, ile chciał; ale w następne dni były już wydzielane. Na Niedzielę Palmową – Tata robił piękne palmy: nie tak wielkie jak na Kurpiach, skąd pochodził, i które знаła także Mama, bo kilka lat spędziła w Łysych – ale większe niż u Mełgiewian.<sup>125</sup> Na Wielkanoc były pisanki. Pisanki się robiło, ale można było w nie także grać.

Ta „gra w mełgiewskie pisanki” – jak ją sobie później nazwałam, bo nigdzie poza Mełgwią (i Puchaczowem) tej zabawy nie widziałam – wyglądała tak. Wychodziło się z dziećmi na łąkę nad Mełgiewkę; każde dziecko brało ze sobą, powiedzmy, trzy pisanki. Przypuśćmy, że poza mną było jeszcze dwóch chłopców, z którymi się przyjaźniłam. Nie pamiętam ich imion, ale niech to będą: Antek i Wacek. (Pożegnalna fotografia z nimi się zachowała.) Ustawialiśmy się w szeregu: ja, potem Antek i Wacek. Podrzucałam do góry pisanek. Jeśli rozbiła się (lub choćby pękła) w zetknięciu się z trawą, oddawałam Antkowi jedną ze swoich pisanek (oczywiście nierozbitą); jeśli się nie rozbiła, Antek oddawał mi jedną ze swoich. Następnie, w pierwszym wypadku podrzucał do góry swoją pisanek Antek; jeśli się rozbiła, oddawał całą pisanek Wackowi; jeśli się nie rozbiła – to Wacek mu oddawał swoją; w drugim wypadku podrzucałam pisanek ja – i wszystko powtarzało się jak za pierwszym razem. Po podrzuceniu Wacka zakończonym klęską (czyli rozbiciem pisanek) – kolejka wracała do mnie. Itd. Ten, komu nie została żadna cała pisanka, wypadał z gry. Jeśli komuś sprzyjało wyjątkowe szczęście, to wracał do domu z dziewięcioma nierozbitymi pisanekami; jeśli ktoś miał pecha, to zostawał z jedną tylko (rozbity) pisanek...

Wielkanoc była jedynym dniem w roku, w którym stół uginał się od mięsa – gromadzonego i przygotowywanego przez kilka poprzedzających tygodni. W Lany Poniedziałek lała się na nieostrożne dziewczyny woda – mnie to omijało, bo daleko mi było jeszcze wtedy do... dziewczyny.

Ale Wielkanoc – to przede wszystkim pamiątka Zmartwychwstania. W kościele punktem centralnym stawał się Grób Pański. W Mełgwi przygotowywał go Tata, malując na odpowiednio ustawionych i przy-

<sup>125</sup> Siostra odtworzyła po latach wygląd mełgiewskiej palmy – zob. M-14.

ciętych dyktach nie tylko sam grób z postacią Chrystusa, ale i strzegących go rzymskich żołnierzy. Przyznam, że to właśnie oni wywierali na mnie największe wrażenie i z nimi głównie kojarzyłam sobie całą scenę.

Boże Ciało z kolei – pamiątka Ostatniej Wieczerzy – to była dla mnie procesja i wianki. Procesja w czasie mego pobytu w Mełgwi odbywała się wyłącznie wewnątrz cmentarza przykościelnego (i to był jedyny znak wojny), gdzie ustawiano cztery ołtarze z młodych, świętych brzoźek i mnóstwa najrozmaitszych kwiatów. Po procesji Rodzice zrywali małą gałązkę z jednej z ołtarzowych brzoźek i zatykali za wiszący w pokoju obraz, będący kopią, którą Tata zrobił, gdy miał 18 lat. Wisiał tam aż do Dnia Zadusznego, kiedy Mama go wrzucała w ogień i paliła.

Wianki plotłam początkowo z Mamą, a później sama – z niebieskich chabrow, czerwonych koniczyn i zielonych tymotek, które w tym czasie zakwitały na mełgiewskich łąkach. Po mszy w ostatnim dniu oktawy Bożego Ciała (czyli w pierwszy czwartek po nim) było święcenie – i święcony wianek zawieszałam na jednej z klamek okiennych. Kiedy wianek się zasuszył, wkładaliśmy go do słoika, zamykaliśmy i po roku dzielił los gałązki brzoźowej.

Na Zaduszki – ponieważ w Mełgwi nikt z naszych krewnych nie był pochowany – paliliśmy świece (nie znicze!) na grobach miejscowych księży, a jeśli nie było zbyt chłodno – szliśmy Szosą Lubelską w kierunku Janowic i odwiedzaliśmy kamienny pomnik na Kopcu Kościuszki; dopiero po wielu latach dowiedziałam się, że była to w rzeczywistości Mogiła Powstańców 1863 roku.

Najważniejsze było oczywiście Boże Narodzenie – z piękną, dużą, sięgającą sufitu świerkową choinką. Ubieraliśmy ją w Wigilię – i stała w pokoju do Matki Boskiej Gromnicznej (czyli do 2 lutego). Obwieszona była orzechami (w srebrnych papierkach po trzy), piernikami-gwiazdkami, cukierkami-soplami i czerwonymi jabłuszkami rajskimi; były poza tym wycinane przez nas papierowe łańcuchy i aniołki (do kupionych główek dorabialiśmy sami sukienki) i wielki szklany szpic na czub – przywieziony przez Tatę z Lublina.

Stół był wyścielony sianem i przykryty słomą; paliła się na nim przez cały czas Wieczerzy Wigilijnej świeca. Zawsze Mama wyznaczała jedno dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa. Przed roz-

poczęciem Wieczerzy – była modlitwa celebrowana przez Tatę, krótkie wspomnienie bliskich zmarłych oraz wspólne łamanie się opłatkiem i wzajemne życzenia.

Potraw jedliśmy siedem – zawsze w tej samej kolejności: (1) śledź (w rolmopsie, marynowany lub w śmietanie) z chlebem pytlowym; (2) sałatka jarzynowa lub surówka; (3) szczupak w galarecie lub faszerowany, albo karp po grecku; (4) zupa grzybowa lub barszcz z uszkami (z farszem grzybowym); (5) karp smażony; (6) bigos z grzybami; (7) kluski z makiem i rodzynekami. Potrawy poczynawszy od zupy grzybowej – były na gorąco. Ze słodkości deserowych (które nie były potrawami!) mieliśmy kompot z suszonych gruszek, jabłek i śliwek oraz ciasta: makownik, sernik, piernik i kruchy placek z powidłami, a także pszenna bułka. Na stole stały przez cały czas jako przyprawy: masło, chrzan, sól i pieprz – oraz jako przystawki: jabłka, orzechy i bakalie. Po Wieczerzy Wigilijnej piliśmy herbatę, kawę lub – rzadziej – miód pitny.

W czasie jedzenia klusek z makiem i makownika – Tata wygłaszał nieodmiennie sentencje: Jedz durniu, bo to z makiem! Co to miało znaczyć – nie wiem do dziś. Wiedziałam natomiast, że trzeba było spróbować wszystkich potraw wigilijnych, bo – zgodnie z przepowiednią – ile się nie spróbuje, tyle przyjemności w nadchodzącym roku człowieka ominie. Próbowano się zresztą – z prawdziwą przyjemnością.

Potem następowały wróżby z siana spod obrusa: kto wyciągnął długie źdźbło, miał zapewnione długie życie; kto wyciągnął krótkie – musiał się zadowolić krótkim.

Po Wieczerzy rozdawane były podarki. Lata wojny były latami mizernej diety codziennej – toteż główne podarki gwiazdkowe stanowiły garnki schowane pod choinką, wypełnione przez Mamę różnymi rzadkimi wówczas frykasami; do garnków były dołączone kartki z wypisanymi imionami – według których św. Mikołaj (czyli Tata) rozdelał je między obecnych. Tylko ja i Mirka (córka cioci Ireny) miałyśmy podarki specjalne: w czasie adwentu znikwały nasze gałgankowe lalki i wracały pod choinką wyprane i z nowymi ubrankami.

No i na koniec przychodziło długie śpiewanie kolęd: na kilka głosów i przy akompaniamencie fortepianu. Zawsze była wśród nich ulubiona kolęda Taty: „Ucichłeś Jezuleńku” Nowowiejskiego; Tata zresztą

często grywał jego kompozycje organowe. Muzykę i słowa tej pastorałki mam do dzisiaj w uszach:

Ucichłeś Jezuleńku, na oczka padł już sen,  
Na liczko Twe rumiane i włosiąt jasny len.  
Najśłodszą ze swych pieśni ptaszkowie nućcie Mu,  
A drzewa cichym szumem kołyszcie Go do snu.  
Na rzęsach zwisły łezki, usteczka znaczy ból.  
Ty cierpisz, o Jezuniu, wszechświata Pan i Król.  
Najśłodszą ze swych pieśni ptaszkowie nućcie Mu,  
A drzewa cichym szumem kołyszcie Go do snu.  
Jezuńku najmilejszy, Ty zjawę ciemną śniesz,  
Swą przyszlą widzisz mękę, Golgotę i swój Krzyż.  
Najśłodszą ze swych pieśni ptaszkowie nućcie Mu,  
A drzewa cichym szumem kołyszcie Go do snu.

W okresie Świąt Bożonarodzeniowych po Mełgwi czasem chodziła „gwiazda” ze śpiewającymi kolędnikami, a z rzadka przychodził ktoś z kukielkową szopką. W czasach wojny unikano niepotrzebnych „spacerów”.

Poznałam w Mełgwi następujące przysłowia Bożonarodzeniowe: Dzień wigilijny pogodny – rok cały będzie urodny. Jak w Wigilię mróz – będzie siana wóz. Jak w Wigilię z dachu ciecze, zima długo się prze-wlecze. Boże Narodzenie po wodzie, Wielkanoc po lodzie; i odwrotnie. Obcy chłop w Wigilię przyjdzie – rok będzie szczęśliwy.

## 8. Granie i śpiewanie

Dom nasz rozbrzmiewał muzyką. Grali: dziadek Antoni-senior (na fortepianie), Tata (na fortepianie, skrzypcach i akordeonie), ciocia Gienia (na skrzypcach), wujek Mietek i wujek Zygmunt (na fortepianie) oraz Leos (o którym niżej). Dzięki Leosiowi śpiewałam całą mszę po łacinie mając niespełna trzy lata; umiałam też zagrać jednym palcem prostsze melodie (np. kolędy) na fortepianie.

Było też wspólne śpiewanie – na kilka głosów – podczas nabożeństw; śpiewali poza Tatą: dziadek, obaj wujkowie i ciocia Gienia; czasem dołączali Dobrowolski i Paprocki (o nich będzie jeszcze mowa niżej).

Tata prowadził też parafialny chór mieszany: próby były w Mełgwi i w okolicznych wsiach, do których Tata jeździł ze skrzypcami pod pachą. Uczył młodzieży pieśni kościelnych i (nawet już w czasie wojny) patriotycznych; jakoś nie dotarło to do władz okupacyjnych.

Tata miał pięknie brzmiący fortepian i dwa akordeony. Jeden z lotników niemieckich, kiedy dowiedział się, że mamy fortepian, zapytał, czy mógłby na nim pograć. Tata się, rzecz jasna, zgodził. „Ma pan jakieś nuty?” – zapytał Niemiec. Tata dał mu sonaty fortepianowe Beethovena. Niemiec zagrał jak prawdziwy pianista. Tata powiedział do niego: „Powinien pan koncertować, a nie walczyć na froncie”. A on na to: „Ich habe einen Befehl zu kämpfen”. Potem wielokrotnie – za zgodą swego dowódcy – ćwiczył na naszym fortepianie. To było coś niezwykłego: w czasie wojny w polskiej wsi rozbrzmiewały beethovenowskie dźwięki w wykonaniu austriackiego żołnierza... Po takim ćwiczeniu zostawiał czasem na blacie instrumentu – tabliczkę czekolady dla mnie. Inny z lotników wypożyczył od Taty akordeon. Wypożyczył – ale nigdy nie zwrócił. Może zginął w czasie nalotów na Rosję?

Już pod koniec wojny – kiedy odeszli już Niemcy, a wkroczyli Rosjanie – w sali na górze Domu Parafialnego odbył się koncert polskiej orkiestry wojskowej pod dyrykcją Jana Cajmera. To było dla mnie wielkie przeżycie artystyczne.

## 9. Uczniowie

W ciągu pobytu w Mełgwi Tata – absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie – udzielał lekcji muzyki dzieciom i młodzieży z Mełgwi i okolic. Wynagrodzenie dostawał w naturze – jak za rozwożenie opłatków.

Miał też uczniów z prawdziwego zdarzenia.

Lekcje śpiewu pobierał u Taty bardzo przystojny Stanisław Dobrowolski – przyjeżdżał na koniu z majątku swoich rodziców w Nowym Krępcu. Z Rejowca dochodził (dojeżdżał?) w tym samym celu Bogdan Paprocki – późniejszy sławny tenor. Na organach Tata uczył Leosia (Leona), które, jeśli się nie mylę, nosił nazwisko „Błażej”. Po paru latach nauki u Taty objął on samodzielną posadę organisty w Leszkowicach. Uczyli się u Taty gry na fortepianie także dwie córki-bliźniaczki



doktora Lisowskiego – niestety imion ich nie pamiętam;<sup>126</sup> utkwilo mi za to w pamięci, że obie miały długie warkocze.

Lekcje fortepianu i organów pobierał u Taty również jego młodszy brat, Zygmunt, który poza tym dojeżdżał (na koszt Taty) na naukę do jednego z organistów lubelskich, mającego uprawnienia do wydawania zaświadczeń o odbyciu kursu gry organowej – honorowanych przez księży. W końcu objął – podobnie jak dziadek i Tata – posadę organisty: najpierw w Myszyncu, a potem w Wąsoszu w Diecezji Łomżyńskiej.

## 10. Groza wojny

Moje dzieciństwo mełgiewskie było naznaczone wojną.

Wojna pochłonęła moją ukochaną ciotkę Gienię. Zabrała też dwóch najlepszych uczniów Taty: świetnie zapowiadającego się organistę Leosia (Błażejaka) i jeszcze lepiej zapowiadającego się tenora Stacha (Dobrowolskiego). Pierwszy – mimo ostrzeżeń Taty – wpłatał się w jakąś podziemną działalność i został zamordowany (nie pamiętam – przez kogo: z lewa, czy z prawa). Drugi za podobną działalność został przez Niemców wywieziony do KL Auschwitz i nigdy już stamtąd nie wrócił.

Najbardziej bałam się latających po niebie samolotów. Pamiętam zwłaszcza dwa takie „naloty”. Pierwszy odbył się nocą 22 czerwca 1941 roku. Usłyszeliśmy od strony lotniska lubelskiego straszliwy warkot silników: dopiero później dowiedziałam się, że był to początek realizacji planu „Barbarossa”: niemiecka Luftwaffe wyruszyła na Wschód, aby przeprowadzić zmasowane bombardowanie przygranicznych lotnisk sowieckich. Mama – w strachu, że zacznie się nalot na Mełgiew i celem bomb będzie mełgiewski kościół – zawinęła mnie w koc i całą rodziną, z ks. Wiślińskim, pobiegliśmy wzdłuż muru cmentarnego przez pola na peryferie Mełgwi. Pamiętam że w jakiejś wiejskiej chałupie położono mnie w drewnianym łóżku. Drugi „nalot”, który zapamiętałam, to było wielkie rosyjskie bombardowanie okupowanego przez Niemców Lublina 11 maja 1944 roku. Tym razem schowaliśmy się na chórze w kościele. Ale echo w murach

<sup>126</sup> Chodzi o Annę i Mirosławę.

kościelnych było przerażające – i na nalegania Mamy uciekliśmy na pola za cmentarzem.

Pamiętam też dwie niebezpieczne sytuacje, w których znaleźli się Rodzice.

Pierwsza sytuacja – związana jest ze sklepem. Pewnego dnia przyszedł do sklepu jakiś Niemiec i wynikło jakieś nieporozumienie. Wtedy Niemiec zagroził, że zastrzeli Tatę. Obecna przy tym Mama (ze mną na rękę) zasłoniła Tatę i powiedziała stanowczo: Proszę strzelać do nas wszystkich! Jeżeli mamy zginąć – to razem! I to jakoś powstrzymało Niemca.<sup>127</sup> Druga sytuacja miała miejsce w mieszkaniu. Mama siedziała na krzeselku, przy piecu, i cerowała skarpety.<sup>128</sup> W pewnej chwili wyszła na podwórko. Kiedy wróciła – w suficie była dziura, a na krześle leżała kulka. Okazało się, że podczas czyszczenia broni jeden z niemieckich lotników, zakwaterowany nad nami, naciśnął bezwiednie spust i pistolet odpalił. Trzeba przyznać, że przeprosił Mamę za ten incydent, który mógł się skończyć dla Niej tragicznie.

O dwóch rzeczach chciałabym jeszcze wspomnieć.

Niedługo po zajęciu Lubelszczyzny Niemcy spędzili do dużej sali na górze Domu Parafialnego okolicznych Żydów. Drzwi sali były przez chwilę uchylone – i Tata mógł widzieć i słyszeć, co się tam działo. Opowiadał później Mamie: „W sali było bardzo dużo Żydów; siedzieli w kucki jeden obok drugiego. Na polecenie Niemców – modlili się i śpiewali. Było to tak żałosne, że z trudem powstrzymałem łzy. Potem drzwi zatrzasknięto.” Wszyscy ci sponiewierani ludzie zginęli potem w Lasach Krępieckich. Kiedy ich tam zapędzono – próbowali chować kosztowności w ściółce leśnej; nie wiedzieli wtedy jeszcze, jaki ich czeka okrut-

<sup>127</sup> W relacji, którą usłyszałem od Ojca, to, co się wtedy wydarzyło, wyglądało nieco inaczej: „Mełgiew. Sprzedajemy razem w sklepie. Wpada Niemiec: Masło jest? – pyta krótko. Mama mówi: Nie ma. Niemiec wyjmując pistolet i pyta ponownie: Masło jest? Odpowiadam Mamie, że mała kostka masła jest pod ladą. Niemiec otrzymawszy kostkę rozchmurza się i wypisuje kwit; zabiera także inne produkty – i wychodzi.” Nie jest oczywiście wykluczone, że oba te opisy się uzupełniają – albo też są to opisy dwóch różnych incydentów.

<sup>128</sup> Mama składała dziurawe skarpety jeszcze przed wybuchem wojny – nie mając czasu na ich cerowanie, ale zarazem nie chcąc ich wyrzucać. W czasie wojny – kiedy wszystkiego brakowało – były jak znalazł.



ny los. Tata dowiedział się o tym, co się tam stało, od pewnej kobiety, która przyszła do niego zrobić zdjęcie do kenkarty. Zwróciło Jego uwagę to, że na rękach miała kilka pierścionków – mimo że ubrana była w ubogie wiejskie ubranie. Więc zagadnął ją, skąd je ma. „Znalazłam w lesie” – usłyszał w odpowiedzi.

Któregoś dnia, kiedy Niemcy cofali się już pod naporem Rosjan, dotarła do Mełgwi wiadomość, że na stacji kolejowej w Minkowicach stoi wagon wyładowany zrabowanymi na Wschodzie rzeczami. Niektórzy Mełgiewianie – a wśród nich i Tata – pobiegli na miejsce. W wagonie były głównie żółtawo-brązowe kostki, które ludzie wzięli za mydło. Okazało się jednak, że był to trotyl; ktoś z niedbalstwa rzucił do wewnątrz wagonu niedopalony papieros – i wagon wyleciał w powietrze. W Mełgwi zadrżały szyby w oknach, a na południowej części nieba pojawiła się ogromna czarna chmura dymu. Tata na szczęście był wtedy u znajomych w Minkowicach – z „łupem” w postaci małej lampki nocnej.

### 11. Czarna Wielkanoc

Najstraszniejszym koszmarem czasów wojny była jednak dla nas wszystkich Czarna Wielkanoc 1944 roku, którą opisał w swoich wspomnieniach Tata. W moich dziecięcych oczach wyglądała ona tak.

Mama przygotowała stół do śniadania wielkanocnego. Tata z wujkiem Mietkiem wyszedł do kościoła na rezurekcję, chociaż wiadano już, że będzie łapanka wszystkich mężczyzn z Mełgwi – jako odwet za zamordowanie (przez AK-owców?) jakichś Niemców. Mama zamknęła mieszkanie i zaprowadziła mnie do siostry zakonnej, która mieszkała na drugim piętrze Domu Parafialnego (był tam jej pokój, pokój ks. Cąkały i duża sala). Sama poszła, żeby zabrać Tatę i wujka z kościoła i gdzieś ich ukryć. Tata i wujek byli w dolnej kaplicy, gdzie była fisharmonia – wraz z pewną liczbą mężczyzn, którzy się tam ukryli. Ale Tata i wujek zostali. Mama wróciła do mnie i zakonnicy.

Księża (z wyjątkiem ks. Żyszkiewicza, który schował się na plebanii) byli ukryci w kryjówkach w Domu Parafialnym. Było pięć takich kryjówek. Trzy należały do księży: jedna była w oknie balkonowym (i nikogo tam nie było), druga w wejściu od strony kuchni

nad drzwiami, zasłonięta obrazem (tu ukrył się ks. Kimaczyński), a trzecia mieściła się na schodach łączących nasze mieszkanie z partementem (tu ukrył się ks. Wiślicki). Dwie pozostałe – należały do nas: w jednej Rodzice chowali żywność, a druga była na wypadek, gdyby w niebezpieczeństwie był Tata.

Do pokoju księdza na II piętrze wszedł żandarm niemiecki<sup>129</sup> i zaczął szukać księdza, ale go nie znalazł. Na pytanie „Co Ty tu robisz?” – Mama odpowiedziała: „Siedzę...”. „Gdzie jest Twój mąż?”. „Nie wiem”. „Ty tu mieszkasz?” „Nie”. „To zaprowadź mnie do swego mieszkania”. Mama odprowadziła mnie z powrotem do zakonnicy, prosząc ją, żeby się mną zaopiekowała, jeśli nie wróci.

Żandarm obejrzał nasze mieszkanie bardzo dokładnie. Widząc, jaki jest w nim porządek (zwłaszcza w spiżarni), poklepał Mamę po ramieniu i powiedział: „Gut, Mutter”. Na szczęście nie zauważył skrytki, w której zresztą nikogo nie było.

Mama wróciła do mnie; usiadłyśmy na parapecie okna. Widziałam, jak Niemcy biegają po cmentarzu przykościelnym. A potem zapadła cisza. Kościelny dał Niemcom klucz do dolnego kościoła. Niemcy tam weszli – i wyprowadzili ukrywających się mężczyzn; bardzo długo nie było widać Taty. Zakonnica została za obrotowym ołtarzem i nie została zauważona przez Niemców, opowiedziała więc szczegółowo, jak katowano Tatę. Według jej relacji, kiedy Niemcy zapytali, kto jest organistą – zapadła cisza. Niemcy wybrali więc mężczyznę lepiej ubranego i zaczęli go bić; wtedy Tata przyznał się, że to on jest organistą. Zaczęło się „przesłuchanie”: związano Tatę, zawieszono na kijach od baldachimu; jeden z Niemców kopał go w brzuch. Próbowano bezskutecznie zmusić Tatę do tego, żeby powiedział, gdzie są księża, lekarz, nauczyciele itd. Zapytany o to, gdzie jest klucz od chóru – powiedział, że ma w marynarce, leżącej opodal. Niemcy poszli na chór i jeden z nich grał na organach Bacha, a drugi kalikował. Z wdrapania się na wieżę kościelną zrezygnowali... ze strachu, że spadną, bo wejście tam nie było łatwe. „Przesłuchanie” Niemcy skwitowali: „Jaka twarda ta polska świnia!” Rzeczywiście;

<sup>129</sup> Osoba niezidentyfikowana.

nie pomogło nawet wlewanie nafty do nosa i ust Taty. Niemcy widocznie się spieszyli.

W końcu zobaczyłam przez okno, jak wywleczono Tatę, jak wózek, do samochodu. Wszystkich złapanych odwieziono do Zamku Lubelskiego.<sup>130</sup>

Z opowieści Taty wiem, że na Zamku spano na resztkach słomy. Były wszy (odzieżowe). Załatwiali się do wiadra. Tata śpiewał im pieśni wielkanocne. Zupa była z niemytych, zapiaszczonych brukwi. Dostawali małe porcje chleba. Mama wysyłała paczki; niektóre rzeczy Niemcy zabierali.

Nigdy nie zapomnę, jak podczas nieobecności mełgiewskich mężczyzn – na cmentarzu przykościelnym rozbrzmiewały codziennie przed lub po nabożeństwie majowym dwa hymny: *Te Deum laudamus* („Ciebie Boże wysławiamy”) i *Boże coś Polskę*. Robiło to niezwykle wrażenie, gdyż hymny śpiewane były przez same kobiety, które podczas śpiewu rzewnie płakały...

Wypuszczono Tatę i pozostałych mężczyzn pod koniec maja. Dlaczego? Wśród zabranych był szef jednej z komórek AK. Władze AK postanowiły porwać jedynego syna landrata lubelskiego i napisali do niego list, że jeżeli zostaną wypuszczeni wszyscy mężczyźni z łapani mełgiewskiej, to syn wróci do domu cały i zdrowy. Jeśli nie – to nigdy już go nie zobaczy.

Powrót Taty zapamiętałam tak. Byliśmy z Mamą na nabożeństwie majowym (o piątej po południu) na chórze. Grał dziadek Antoni. Ktoś wpadł i zawołał, że „nasi” wrócili. Zbiegliśmy ze schodów. Zostałam Mamę i pędem pobiegłam na przywitanie Taty. Przewróciłam się, rozbiłam sobie kolano – ale w ogóle tego nie zauważyłam. Tata nie pozwolił mi podejść do siebie (cały był zaważony; siedział na ławce dopóki się nie wykapał w wanience na podwórku; ubranie Mama wygotowała we wrzątku); stanęłam naprzeciwko i oboje (!) zaczęliśmy płakać. Doszła Mama i powiedziała: „Prześcieńcie! Zamiast się cieszyć – płaczecie?”

<sup>130</sup> W czasie pobytu Taty w więzieniu – w obowiązkach organisty zastępował go Dziadek Antoni.

## 12. Rozbój

W czasie wojny mieliśmy także „wewnętrznych” okupantów. Byli to rabusie, podający się za partyzantów, którzy nocą nachodzili mieszkańców Mełgwi i – terroryzując ich – zabierali to, co uważali za cenne dla siebie. Byliśmy w pewnym stopniu na ich „wizyty” przygotowani. Mieszkanie miało drewniane okiennice zamykane na noc od środka. W razie niebezpieczeństwa – chowaliśmy się w skrytce na trzy osoby, zbudowanej w grubym murze za spiżarnią na górze: po wejściu wciągaliśmy drabinę, po której się do niej wchodziło.

Zapamiętałam trzy takie „wizyty” pseudo-partyzantów, przed którymi nie zdążyliśmy się schronić do naszej skrytki.

Pierwsza „wizyta” była taka. Pewnej nocy (po zamordowaniu doktora Lisowskiego?) ktoś zaczął pukać gwałtownie do drzwi naszego mieszkania. Mama obudziła Tatę. Tata się szybko ubrał, podszedł do drzwi i zapytał: „Kto tam?”. Za drzwiami usłyszał różnojęzyczną rozmowę. Otworzył jednak drzwi. W drzwiach stało dwóch mężczyzn trzymających każdy po pistolecie.<sup>131</sup> Powiedzieli: „Proszę iść przed nami”. Tata nie namyślając się złapał ich za pistolety i zrzucił ze schodów, a sam wybiegł i krzycząc: „Ratunku! „Bandyci!” – skoczył przez mur i uciekł w zboże. Rabusie na szczęście uciekli. Rano przysłał do Mamy człowieka z wiadomością, że wszystko jest w porządku i że niebawem wróci do domu.

Wkrótce doszło do drugiej nocnej „wizyty”. Usłyszeliśmy znowu pukanie do drzwi. Tata otworzył i do mieszkania weszło dwudziestu uzbrojonych mężczyzn. „Jesteśmy partyzantami” – powiedział jeden z nich. „Proszę oddać na rzecz Polski – pieniądze, biżuterię i skórę (na buty)”. Rodzice zdjęli obrączki, ale „partyzanci” ich nie chcieli wziąć. Tata wyjął srebrny zegarek na łańcuszku i powiedział: „Skóry nie ma. Pieniądzy też.” Wtedy „partyzanci” rozpoczęli rewizję; nasz Finek (pies, którego odziedziczyliśmy po poprzednim organiście) stanął w mojej obronie – miałam wtedy trzy lata – i warczał groźnie, kiedy się do mnie zbliżali. Ostatecznie „zarekwirowali” poza zegarkiem – palto i buty Taty. I zjedli wszystkie „rajskie” jabłuszka, które były w spiżarni przy-

<sup>131</sup> Osoby niezidentyfikowane.

gotowane na wigilijną choinkę. W końcu ich prowodyr powiedział do Taty: „Ponieważ Pan nazwał nas „bandytami”, porozmawiamy jeszcze z Panem w kuchni”. Mama zapłakała, a wtedy któryś z „partyzantów” powiedział: „Proszę się nie martwić, nie mężowi się nie stanie”. Tymczasem w kuchni kazano Tacie zdjąć spodnie i położyć się na stolku. „Dostanie Pan pięćdziesiąt gum w dupę” – powiedział ich herszt już bez „partyzanckich” ceregieli. Po pierwszym razie – Tata nie pisnęła; więc „w nagrodę” dostał tylko dwadzieścia pięć gum. (Potem przez półtora miesiąca nie mógł usiąść; nawet w kościele grał stojąc.) Po egzekucji wrócili do pokoju i nakazali: „W ciągu dwóch dni proszę przygotować pieniądze (nie zapamiętałam jakiej zażądali kwoty). Przyjdziemy i odbierzemy.” Pozostawili po sobie w domu tyle błota, że trzeba było po nich długo sprzątać; szczególnie zabłocony był mój ulubiony „dzik” – czyli skóra z dzika, leżąca na podłodze w pokoju.

I rzeczywiście, po dwóch dniach doszło do trzeciej „wizyty”. O zmroku zjawił się jeden z „partyzantów” – w Taty palcie, butach i z Jego zegarkiem – przeliczył pieniądze, które mu dał Tata i wyszedł zadowolony. Więcej już – na szczęście – nikt z nich się nie pojawił. Tata rozpoznał rabusiów i ich głównego prowodyrę, ale nigdy tego nie ujawnił (choć Mamie powiedział, o kogo chodzi – a ja to usłyszałam i zapamiętałam). Niech więc tak już pozostanie. W każdym razie ów prowodyr był z najbliższego otoczenia, skoro wiedział, kiedy „naszych” lotników nie było w domu; w ich obecności „partyzanci” na „wizyty” by się nie odważyli.<sup>132</sup>

Muszę dodać, że poza rabusiami w przebraniu partyzantów – byli też partyzanci, jeśli tak można powiedzieć, „prawdziwi”: „leśni”. Bywali oni zresztą równie okrutni, jak „wizytujący” nas pseudopartyzanci. Kiedyś jedna z grup tych „prawdziwych” partyzantów (zdaje się, że związana z „naszymi” pseudopartyzantami), zresztą o komunistycznej orientacji, sprowadziła do lasu doktora Lisowskiego, żeby zoperował ich ранnego kolegę. Zawieziono go tam – dla bezpieczeństwa – z zawiązanymi oczyma. Po trzech dniach znaleziono dokto-

<sup>132</sup> Był to zapewne Antoni (?) Śmiech. Do bandy należał także jego brat; co najmniej jeden z nich został zastrzelony – najprawdopodobniej przez Niemców – w Mełgwi lub w okolicy.

ra Lisowskiego zastrzelonego – w pobliżu mełgiewskiego kościoła. Mówiono, że zrobili to ci, do których został zawieziony – żeby ich przypadkiem nie wydał.<sup>133</sup>

### 13. Mój stosunek do Niemców i Rosjan

Mój stosunek do „żywych” Niemców był inny niż do „żywych” Rosjan.

Niemcy – znęcający się nad Tatą albo bombardującymi Lublin – to byli jacyś nierealni oprawcy. „Żywi” Niemcy, których spotkałam – to byli lotnicy austriaccy, zakwaterowani przez dwa lata w Domu Parafialnym. O jednym z nich – pianiście – już wspomniałam. Inny Austriak przynosił Mamie ukradkiem (nie wolno im było się bezpośrednio kontaktować z „tubylcami”) równo porąbane drewna na rozpalkę i zostawiał menażkę z zupą z kuchni polowej, w której się stołował.

Czułam, że ci Niemcy mnie lubili – może dlatego, że byłam blondynką o ciemnych oczach? Kiedyś obwieźli mnie z Mamą swoim dzieckiem po Mełgwi; wtedy pierwszy raz w życiu jechałam samochodem. Mimo to odnosiłam się do nich z mieszaniną lęku, odrazy i bezsilnej złości. Lęk brał się pewnie stąd, że kiedy Mama odwiedzała ze mną w niedzielę ciocię Honorcię, której Rodzice wynajmowali mieszkanie u pp. Bałabanów,<sup>134</sup> to robiła to przebrana za starą babę, w obawie przed „niemieckimi” Kałmukami, którzy na niedzielę mieli przepustki i panoszyli się po Mełgwi, „polując” na miejscowe dziewczyny. To byli dla mnie też realni Niemcy. Odrzę i złość objawiałam – biorąc dwa kamienie do rąk, uderzając je o siebie i powtarzając półgłosem (z bezpiecznej odległości): „Niemiec-fluk, żabę tłuk!”.

<sup>133</sup> Nekrolog, oczywiście ocenizowany, zamieszczony w *Nowym Głosie Lubelskim* (r. V, nr 63 z 15 marca 1944 roku, s. 4), brzmiał: „Śp. Marian Lisowski, doktor medycyny, zmarł śmiercią tragiczną w Mełgwi dnia 10 marca 1944 roku, przeżywszy lat 39. Nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego odbędzie się 14-go marca 1944 roku o godz. 10-iej w Kościele Katedralnym w Lublinie, po czym nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz przy ulicy Lipowej. Na te smutne obrzędy zapraszają pozostałe w głębokim żalu – żona i córki.” Ciekawe, że nekrolog ukazał się w dzień po pogrzebie.

<sup>134</sup> Prawdopodobnie chodzi o Antoninę i Aleksandra Bałabanów.

Z maszerującymi żołnierzami Wehrmachtu nigdy się nie zetknęłam. dwa lata.

Natomiast maszerujące wojsko Czerwonej Armii widziałam przez szparę w bramce płotu ogrodzenia Domu Parafialnego. Straszny to był widok: w onucach na nogach, mundury-szmaty – darli się głośno i byli kompletnie pijani. Kiedy jednak kilku z nich zaszło na nasze podwórko i usiadło na ławce – dojrzałam na ich twarzach jakieś onieśmienie. Zapytali mnie, jak się pisze moje imię po polsku. Napisałam im patykiem na piasku, a oni wykaligrafowali mi je cyrylicą.

Po Rosjanach wkroczyło do Mełgwi wojsko polskie – w rogatywkach. Na początku było kilku żołnierzy na koniach, za nimi szła piechota. Ubrani byli schludnie. Widać to na zdjęciu, które kazał sobie zrobić ostatni oddział na tle głównego wejścia do kościoła. Mówili o sobie, że idą na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. Zapewne taką wersję rozpowszechniali wśród nich politrucy; czy wierzyli w nią – nie wiem. Mełgiewianie witali ich na ogół serdecznie. Po tylu latach umundurowani ludzie mówili wreszcie po polsku!

#### 14. Moja nauka

Do pierwszej klasy szkoły powszechnej poszłam w 1943 w wieku... 5 lat. Miałam koleżankę, która już chodziła do szkoły – a ja jej pozazdrościłam i też poszłam. Weszłam do klasy i nauczycielka (Helena Pidkowa, żona kierownika szkoły, Michała Pidka) zapytała: „Dziewczynko, po coś tutaj przyszła?” „Chcę się uczyć.” „Czyją jesteś córką?” „Antoniego Jadackiego”. „Możesz dzisiaj zostać, ale następnego dnia przyjdź z rodzicami”. Po rozmowie nauczycielki z Rodzicami – zostałam „wolną słuchaczką”. Obie odczuwałyśmy wobec siebie sympatię. Dostałam od niej kiedyś prezent w postaci bransoletki, którą nosiłam wiele lat. I po roku dostałam normalne świadectwo I klasy. Niestety p. Pidkowa uczyła mnie tylko rok – i wkrótce zmarła.<sup>135</sup>

W szkole posługiwałam się tabliczką w drewnianej ramce i rysikiem. Miałam chyba w każdej klasie tylko jeden podręcznik. Zaczynałam od przedwojennego *Elementarza*, wydanego przez Ossolineum. Do dziś pamiętam z niego wierszyk Marii Konopnickiej „Nasza wioska” –

<sup>135</sup> Śmierć nastąpiła w wyniku raka piersi, spowodowanego urazem mechanicznym.

pewnie dlatego, że w mojej dziecięcej wyobraźni odnosił się on do Mełgwi. Co prawda „w dali” nie było „boru sosnowego”, bo Las Mełgiewski to dąbrowa, a Las Krępiecki – to las mieszany: dębowo-sosnowy, ale łąki mełgiewskie pełne były, jak w wierszyku, „barwnych kwiatów: chabrow, maków i sasank”. No i bliskość kościoła sprawiała, że – mimo grozy wojennej – czułam się „pod opieką Boską”. Ważnym przedmiotem w szkole był śpiew. Przechowywałam podręcznik *Śpiewanki szkolne*, z którego najchętniej śpiewałam piosenkę do słów Konopnickiej „Wieczorny pacierz”. Kiedy Mama wołała mnie „do pacierza”, klękałam w pobliżu wiszącej na ścianie, namalowanej przez Tatę kopii obrazu *Mały Samuel*, i tam odmawiałam swoje „Ojcze nasz”.

Naukę w szkole mełgiewskiej przerwałam pod koniec III klasy w związku z przeprowadzką Rodziców do Puchaczowa.

Droga z domu do szkoły była dość długa. Chodziłam tam sama lub z jedną z koleżanek; tylko podczas deszczu odprowadzała mnie Mama (bo droga wtedy była tak rozmokła, że nieraz pantofelek zostawał w błocie). W Mełgwi był sierociniec prowadzony przez zakonnice (betanki<sup>136</sup>) i koleżankę tę (niestety nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska), o której mówiono, że jest z Cumania, poznałam zapewne w tym właśnie sierocińcu, który odwiedzałam często w poszukiwaniu towarzyszek zabawy. Moja klasa miała siedzibę na drugim piętrze. Na lewo od głównego wejścia wisiał białoczerwony orzeł, którego (wraz z napisem: Szkoła im. Józefa Piłsudskiego) woźny ukrył przed Niemcami. Pamiętam, jak po wyjściu Niemców uroczyście – chyba podczas dożynek – odsłonięto z powrotem godło i napis u wejścia do szkoły.

Wracając ze szkoły lubiłam zatrzymywać się przed kapliczką z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej – i figurką św. Jana Nepomucena – w murze cmentarnym starego kościoła; paliła się przed nią stale lampka oliwna.

Z zachowanego zdjęcia wynika, że brałam udział („w koronie”...) w przedstawieniach szkolnych, ale szczegółów nie pamiętam.

Niezależnie od nauki szkolnej – dużo czytałam sama. Tata kupował mi w Lublinie książeczki i bardzo kształcące loteryjki. W ostatnim

<sup>136</sup> Udało się ustalić imiona pięciu betanek mełgiewskich: s. Brygidy, s. Julii, s. Ludwiki, s. Róży i s. Teresy.



roku prenumerowaliśmy pismo *Przyjaciel. Tygodnik dla starszych dzieci*; do dziś zachował się numer z 4 lutego 1945 roku.

### 15. Moje zdrowie

Miałam spore kłopoty ze zdrowiem.

Przy urodzeniu zwichnęłam stawy biodrowe. Jeden z lekarzy niemieckich to zauważył i przez ordynansa (znającego język polski) zalecił Rodzicom, żebym nie chodziła o własnych siłach dopóty, dopóki sama w tej sprawie nie wykażę inicjatywy. Rodzice zastosowali się do rady – i długo nosili mnie na rękach. Poza tym Mama sadzała mnie w wiklinowym krzeselku na wielkim stole, dostawionym szczytem do ściany. Tak siedziałam pokornie wiele godzin dziennie. Przyniosło to na szczęście pożądany skutek: po dwóch latach zrobiłam pierwszy krok – podpierając się małą miotłką.

Miałam też objawy anemii. Doktor Lisowski uznał, że być może szkodzi mi krowie mleko, więc zalecił picie mleka koziego. Cóż było robić: Rodzice odkupili od kogoś kozę i odtąd piłam jej mleko. Kozę bardzo polubiłam, bo urodziłam nam trzy koźlątka (które Rodzice sprzedali, jak wyjeżdżali z Mełgwi).

To były choroby przewlekłe. Ale były też choroby krótkotrwałe.

Jedną taką chorobę zdiagnozowano początkowo jako zapalenie opon mózgowych. Znalazłam się w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Lublinie na dwutygodniowych badaniach; opiekował się tam mną doktor Lisowski. Na szczęście diagnoza była nietrafna, chociaż wysoka gorączka trawiła mnie przez tydzień. Drugą chorobą – był „prawdziwy” koklusz. Doktor Lisowski uznał, że najlepszym lekarstwem będzie, jak pobędę chociaż przez tydzień w jakimś lesie. Mama zawiozła mnie do leśniczówki w Lesie Mełgiewskim, gdzie spędziłam w końcu półtora tygodnia – i rzeczywiście wróciłam zdrowa jak ryba. Trzecia choroba – to ropiejące oko. Rodzice bali się, że może w oku tkwi igła i trzeba je będzie ją usuwać operacyjnie. Na szczęścia ciocia Honorcia zauważyła, że w oku tkwi igła – ale... z choinki; Tata ją wprawnym ruchem wyjął – i oko szybko się wygoiło.

### 16. Moje życie uczuciowe

Moje życie uczuciowe ukształtowała w dużym stopniu wojna. Dzięki niej już jako małe dziecko rozumiałam, co to jest tajemnica, i nauczyłam się jej przestrzegać, a także niepytana – o nic nie pytać. Nauczyłam się też zachowywać cicho, kiedy tylko o to mnie poprosili Rodzice.

Oswoiłam się ze śmiercią. Na wiosnę, kiedy jakieś pisklę wypadło z gniazda – kopałam grób i zatykałam na nim krzyżyk z patyka. Jeszcze długo po wojnie, kiedy usłyszałam lecący samolot, biegłam do drzwi i chciałam uciekać z domu. Nie lubiłam też zostawać sama w zamkniętych pomieszczeniach: wołałam „otwarte” podwórko, łąkę, pole... Bałam się szumu drzew na wietrze. I bałam się niektórych ludzi, wyglądających „inaczej” niż inni; na przykład kobiety ze śladami po ospie, która przyszła do kancelarii po metrykę.

Wojna nie zabiła jednak we mnie radości życia. Pamiętam jak wesoło mi było, gdy śpiewałam na scenie szkolnej piosenkę „W murowanej piwnicy”, a zwłaszcza jej trzecią zwrotkę:

Tańczuj, Jantoś, ze mną tyz,  
Upiekie ci w piecu mys,  
Byłabym ci upsieklą,  
Ino psiakreść uciekla.

Chichotałam w duchu, gdyż „Jantoś” to było przecież imię mego Taty.

Lubiłam zabawę w „żywy prezent”: ciocia Honorcia wsadzała mnie do dużego kosza, wchodziła do sklepu, w którym pracowała Mama, stawiała koszyk na ladę – a ja wyskakiwałam nagle z kosza ku zaskoczonej Mamie. Wielką radość sprawiało mi chodzenie boso po deszczu: zwłaszcza po rozmokłym lessie lubelskim, który na stopach pozostawiał „czarne buty”; jesienią skakałam po kupach kolorowych liści zagrabionych przez Rodziców wokół kościoła na karmę dla królików.

Z podziwem wsłuchiwałam się w bijące na dzwonnicy dzwony – dopóki nie zostały zdjęte i przetopione przez Niemców na broń. (Zdaje się, że za tę „łapówkę” odstąpili od zamiaru zburzenia całego kościoła.)



Uwielbiałam patrzeć na kwiaty w ogrodzie i liście na drzewach.  
I wszystko to rysować.

### **17. Wyjazd**

Do Mełgwi Rodzice przyjechali (oddzielnie, „goli”) pociągiem – do Minkowic, a stamtąd piechotą (?) do Mełgwi.

Na dwa dni przed wyjazdem do Puchaczowa pożegnałam się z kolegami szkolnymi (zob. zdjęcie K-13). Saniami p. Torója odwieźliśmy tam cały dobytek.

Wyjeżdżałam ze smutkiem, bo przywiązałam się do Mełgwi.

Posadę po Tacie w Mełgwi objął Józef Gorliński – dotychczasowy organista w Puchaczowie.

## **CZĘŚĆ II. ŚWIADECTWA**

## 8. Antoni Jadacki



11. Antoni (jr) Jadacki.

### Pierwsze wrażenia z Mełgwi (1938)

Rodzice nasi pobrali się 27 grudnia 1937 roku w kościele w Puchalach – parafii, do której należały Modzele Stare, skąd pochodzi Mama. Od 1 stycznia Tata objął posadę organisty w Mełgwi, a Mama przyjechała do Mełgwi na Trzech Króli (czyli 6 stycznia) 1938 roku. We fragmencie listu wysłanego z Mełgwi Tata tak opisuje swoje pierwsze wrażenia:

Mełgiew, 3 stycznia 1938 roku.

Kochana Hanulu!

List piszę do Ciebie, Ukochana, dlatego z takim opóźnieniem, że chciałem Cię powiadomić, jakie wrażenie wywrę na Mełgwi – i odwrotnie – po pierwszych dniach intensywnej pracy. Otóż trzymam się, jak to się mówi, równo.

Podobało się moim Panom wszystko. Do mego powodzenia przyczyniają się w dużej mierze świetne – z pięknymi głosami – organy; akustyka – przewyborna. Głos mój również się podobał; jeden z księży myślał, że to znany solista tutejszy, śpiewak,<sup>137</sup> popisuje się solami – a to Twój mizerny Antek! Pracy jednak w bród. Czasu nie mam na stracenie.

<sup>137</sup> Prawdopodobnie chodzi o Stanisława Dobrowolskiego, z którym później Tata się zaprzyjaźnił.

## 9. Antoni Jadacki



12. Antoni (jr) Jadacki.

### Wielkanoc 1944 w Mełgwi

#### 1. Kryjówka

9 kwietnia 1944 roku. Pogodny ranek. Niedziela Wielkanocna. Idę do kościoła na rezurekcję. Wokół kościoła – pustka. Ktoś mówi, że cała wieś otoczona jest przez żołnierzy i gestapo.

– Biorą mężczyzn!

Wpadam z tą wiadomością do domu i wracam do kościoła. Ks. Wiśliński przenosi Najświętszy Sakrament z Grobu Pańskiego do tabernakulum i wychodzi z kościoła. Biegnę z powrotem. Haneczka radzi, żebym się ukrył w schowku, który na wszelki wypadek zrobiliśmy. Ale ja nie słucham. Przed kościołem zbiera się gromadka Mełgiewian. Proponuję, żebyśmy się ukryli w podziemiach kościoła. Schodzi tam ostatecznie 33 mężczyzn. Poza mną m.in. brat Mietek, sekretarz gminy Stanisław Ludwiński i Piotr Kosmala. Żona z zakonnicą (ze Zgromadzenia Rodziny Maryi<sup>138</sup>) maskują wejście dywanem, a na nim ustawiają ciężki ołtarz polowy. Czekamy.

Po dwóch godzinach dochodzą do nas jakieś głosy. Przez zakratowany otwór okienka widzimy, jak jakiś żołnierz zabiera się do załatwienia potrzeby fizjologicznej. Młodszy z nas nie wytrzymują i parszczą

<sup>138</sup> Chodzi raczej o betanki (Zgromadzenie Sióstr Rodziny Betańskiej).

śmiechem – tak głośno, że tamten to usłyszał. Melduje gestapowcom. Wchodzą do kościoła.

Słyszymy krótką wymianę zdań między nimi a kościelnym Antonim Kulikiem. Potem odgłosy razów – i chrobot odsuwane ołtarza. Ktoś spośród nas nerwowo zagrzebuje broń, ktoś inny – jakieś papiery.

Na schodach pokazują się najpierw buty gestapowca, potem lewa ręka z granatem, prawa – z parabellum, wreszcie śniada twarz o mongolskich rysach i krótkich, ciemnych wąsikach. Widząc, że wszyscy stoimy twarzami do muru, zabezpiecza granat i chowa pistolet do kabury. Na podłodze leży deska. Chwyta ją i rycząc „Raus zurück! Raus zurück!”<sup>139</sup> zaczyna okładać nas po głowach. Wychodzimy gęsiego. Przy otworze kilku gestapowców z drzewcami od baldachimu i krzyżem procesyjnym. Dostajemy następną porcję razów. Niektórzy są okrwawieni; tylko nielicznym (w tym Mietkowi) się upiekło. Przy akompaniamencie „Banditen! Banditen!”<sup>140</sup> ustawiają nas przed ołtarzem i robią zdjęcie.

Okazuje się, że poszukują przede wszystkim księży.

## 2. Wo ist der Pfarrer?<sup>141</sup>

Zaczynają od sekretarza gminnego Stanisława Ludwińskiego. Bijąc go po głowie wrzeszczą:

– Pfarrer?! Pfarrer?!

Krew spływa mu po głowie strużkami.

– Organist?! Organist?!

– Ja jestem organistą – zgłaszam się.

– Ja, komm!

Wprowadzają mnie do zakrystii.

– Wo ist der Pfarrer?

Tłumacz powtarza:

– Gdzie jest proboszcz?

– Nie wiem – odpowiadam. Dostaję kilka ciosów w żołądek. Upadam na ziemię. Podnoszą mnie.

<sup>139</sup> „Wynosić się natychmiast!”

<sup>140</sup> „Bandy!”

<sup>141</sup> „Gdzie jest proboszcz?!”

– Wo ist der Pfarrer?

– Nie wiem.

Znów ciosy w żołądek. Upadam znowu. Gestapowiec o mongolskich rysach kopie mnie, ale nie tracę przytomności.

– Ty nam to zaraz powiesz! – słyszę.

Oprawcy paskiem od alby przywiązują mnie do drzewca od baldachimu. Jak Zagłobę. Jednym końcem opierają drzewce o brzeg stołu, drugim – o poręcz krzesła.

– Będziesz tak wisiał głową w dół przez całą noc – mówi tłumacz.

– Oby tylko tyle – przemyka mi przez myśl.

Niestety. Za chwilę gestapowiec przynosi gąsiorek w pleciance. Jak się okazało, była w nim nafta. Zaczynają mi wlewać ją do ust i nosa. Duszę się, wymiotuję.

– Wo ist der Pfarrer?!

Tłumacz próbuje łagodniej:

– Powiedz pan, gdzie są księża. Chcesz pan odpowiadać za innych?

– Nie wiem. Mam żonę i córkę. Mam dla kogo żyć. Ale nie wiem, gdzie są księża.

– Gdzie jest klucz do chóru?

– W kieszeni od płaszcza...

Po chwili słyszę, jak ktoś przebiera palcami po klawiaturze.

– Co będzie, jeśli znajdą sztandar Pułku Poznańskiego,<sup>142</sup> który dał mi do ukrycia ks. kanonik Żyszkiewicz?

Sztandar leży za organami, po lewej stronie, na poddaszu, pod podłogą, u wejścia za drzwiami...

Mija kilka minut. Niemcy rozwiązują mnie i wyprowadzają z kościoła.

## 3. Banditen!

Na zewnątrz stoją dwie grupy mężczyzn. Moi towarzysze z podziemia kościelnego – oddzielnie.

Łupem Niemców pada godło Orła Białego, przechowywane w kasie pancernej, odkrytej przez gestapowców w kaplicy. Do dziś nie wiem, jak znaleźli klucz do tej kasy i jak ją otworzyli. Byłem pewien,

<sup>142</sup> Być może chodzi o 16 Pułk Ułanów Wielkopolskich.

że szyfr do tej kasy znalazłem tylko ja i ks. kanonik, a tymczasem jakiś gestapowiec na moich oczach otworzył ją bez wahania.

Inny wyszperał gdzieś łuskę od pistoletu.

Z okrzykami „Banditen! Banditen!” ustawiono nas czwórami i w eskorcie żołnierzy z talerzowcami popędzono w kierunku stacji kolejowej w Minkowicach.

Czekałem na jakąś okazję do ucieczki, ale się mi nie przytrafiła. Piotr Kosmala próbował czmychnąć z klozetu, ale włosowcy byli czujni i szybko go schwytali. Pobili go, biedaka, kolbami niemal do nieprzytomności.

Około trzynastej załadowano nas (133 osoby) do bydlęcych wagonów i pojechaliśmy do Lublina. Tam, ze stacji, samochodami ciężarowymi przewieziono nas do więzienia na Zamek i umieszczono na górnych piętrach Baszty Daniela.

#### 4. Życie na Zamku

Warunki były tam, jak się wkrótce okazało, straszne.

Żarli nas wszy (trzeba się było «iskać» kilka razy dziennie). Ze ścian i sufitu sypały się na głowy pluskwy.

Nocą leżeliśmy jak śledzie na gołym cemencie. Dniem było trochę luźniej, bo siedzieliśmy w kucki.

Na śniadanie i kolację dostawaliśmy gorzką czarną kawę i kromkę chleba. Na obiad były buraki pastewne i trochę ziemniaków. W czwartek dawano nam tzw. kapuśniak (kwaśna woda i trochę kapusty) z gołymi gnatami wołowymi.

Porządku pilnował korytarzowy-kryminalista. Kiedyś zapowiedział mi, że wyjdę na wolność kominem.

Raz dziennie wyprowadzano nas pod strażą do ubikacji. Robił to esesman, zwany przez nas „Krową”.<sup>143</sup> Był bardzo gruby, miał wy-

<sup>143</sup> W istocie był to SS-Oberscharführer Herman Tanzhaus. Oto jego charakterystyka podana przez Czesława Górniewicza: „Duży, ociężały, cyniczny i prymitywny sadysta [...], znany był ze szpiclowania więźniów funkcyjnych i siedzących w celach. Często podpatrywał przez judasz, co się dzieje w środku. Za najmniejsze przewinienie karał osobiście. Bił po twarzy, kazał skakać żabką. [...] Był wtyczką Komendy Gestapo. Znienawidzony przez więźniów, polskich strażników i swoich kolegów

trzeszczone oczy i tępe, zwierzęce spojrzenie. Załatwialiśmy się szybko i na komendę. Kto się spóźnił – dostawał kopniaka. „Krowa” w ogóle nie żałował buta i rozdawał kopniaki przy każdej okazji. Na noc mieliśmy kibel: blaszane naczynie na moc. Wynosiło je kolejno dwóch wyznaczonych więźniów.

Mnie zwolniono z tego obowiązku, bo prowadziłem nabożeństwo majowe i inne zbiorowe modlitwy. W paczce, którą przesłała mi Haneeczka, była książeczka do nabożeństwa. O dziwo, w modlitwach nie przeszkadzali nam ani gestapowcy, ani służba więzienna. W czasie modlitw nie jeden z nas nie mógł się powstrzymać od łez...

Raz w tygodniu mieliśmy spacer na dziedzińcu zamkowym. Chodziliśmy gęsiego, z rękoma do tyłu. Podczas spacerów widywałem w oknach znajome twarze z Mełgwi. Kiwaliśmy sobie głowami ze współczuciem. Żaden z tych ludzi nie wrócił do domu.

#### 5. Obóz czy «rozwalka»?

W czasie całego maja Niemcy starali się gorączkowo obarczyć nas jakąś winą: znaleźć wśród nas przestępców. Sprawę jednego z nas wyjaśniano nawet w Wilnie.

Los chciał, że z naszej grupy tylko syn właścicielki zajazdu w Mełgwi, Stefan Gumieniak, nie przeżył. Schwytano go po raz drugi. Za pierwszym razem matka go jakoś wykupiła. Teraz nie było już ratunku i on o tym wiedział. Znajomi strażnicy więzienni dostarczali mu alkohol, a nawet... żydowskie dziewczyny, aby zapomniał o czekającej go śmierci. I rzeczywiście go rozstrzelano.

Pod koniec maja zostaliśmy podzieleni na grupy i rozlokowani w różnych oddziałach. Mnie umieszczono w oddziale czwartym, w celi 42 (Mietek trafił do innej celi). Od więźniów, którzy już byli w naszych celach, dowiedzieliśmy się, że z czwartego oddziału idzie się albo do obozu, albo na «rozwalkę» (rozstrzelanie).

Dwaj współwięźniowie z celi 42 zapadli mi szczególnie w pamięć. Jeden – to był wysoki, milczący blondyn, sanitariusz, pracujący przez

esesmanów – chodził zwykle sam i sam też prowadził działalność oprawcy i mordercy. Widać było, że sprawiało mu szczególną satysfakcję i przyjemność wywoływanie do transportu ludzi przeznaczonych na rozstrzelanie” [Górniewicz 2016: 143-144].

cały dzień w szpitalu więziennym. Przychodził do nas tylko na noc. Mówiono o nim, że ma już wyrok śmierci. Drugi – to Rosjanin spod Smoleńska, który za kradzież z pola dwóch buraków dostał dwa i pół roku więzienia. Kiedyś dałem mu kawałek placka wielkanocnego, który przesłała mi Haneczka w paczce (paczki dochodziły, choć w połowie rozkradzione przez służbę więzienną).

– У вас есть белый хлеб?<sup>144</sup> – zapytał zdziwiony.

Któregoś dnia strażnik więzienny, Polak, doniósł nam, że wyjdziemy na wolność. Starsi więźniowie ostrzegali nas, że wyjdziemy, ale do obozu.

– Bierzcie ze sobą żywność! – doradzali.

Po dwóch czy trzech dniach rano wysłano nas do łaźni. Ubrania nasze poddano dezynfekcji w parowych piecach. A nas trzymano nago kilka godzin w łaźni z wybitymi szybami i zimną wodą. Widziałem, że niektórzy byli pokryci na całym ciele gęstymi krostami, przypominającymi świerzb. Wielu cierpiało na rozstrój żołądkowy.

Wieczorem rozdano bieliznę i ubrania. Trudno było się w nią ubrać, bo była mokra i skurczona.

Wróciliśmy do cel.

## 6. Wolność

Następnego dnia<sup>145</sup> gruchnęła wiadomość:

– Nasi wychodzą!

Była dziewiąta rano. Przez okno, na dziedzińcu, zobaczyłem Mietka. Godzinę później usłyszeliśmy zgrzyt klucza. Do naszej celi wszedł w otoczeniu gestapowców Oberscharführer „Krowa” z listą w ręku. Wywołał moich współtowarzyszy, ale moje nazwisko nie padło. Po chwili przeleciał wzrokiem listę od góry do dołu, odwrócił ją i przeczytał:

An-to-ny Ja-tac-ky.

Wszedłem z celi, zostawiając w niej – wbrew radom – swoją paczkę żywnościową.

Około południa zaczęła się odprawa kancelaryjna.

<sup>144</sup> „To wy macie biały chleb?”

<sup>145</sup> Był to czwartek, 25 maja 1944 roku.

Przed piętnastą ustawiono nas przed bramą wyjściową i dziesiątkami – z kopniakiem na pożegnanie – wypuszczono za bramę więzienną. Nie wierzyłem oczom i uszom. Schodząc po schodach zamkowych bałem się odwrócić, żeby nie usłyszeć warknięcia „Komm! Komm zurück!”<sup>146</sup> Mimo głodu i chłodu świat wydał mi się piękny, wspaniały...

Każdy z nas szedł jak osłupiały – nawet kopniaki nas nie otrzeźwiły. Byliśmy wolni.

Około stu metrów od Zamku – tłum ludzi. Pytano nas o krewnych. Niewiele mogliśmy powiedzieć.

Początkowo zamierzaliśmy pojechać wieczornym pociągiem do Minkowic. Ale ostatecznie postanowiliśmy pójść piechotą. Do domu było 19 kilometrów.

Po kilku kilometrach zobaczyliśmy na drodze wozy. To Melgiewianie dowiedzieli się, że nas wyposzczono. Kiedy zajechaliśmy odbywało się właśnie nabożeństwo majowe. Przed domem zobaczyłem Bożenkę, która z okrzykiem „Tatus! Tatus!” – rzuciła mi się na szyję.

Za chwilę padłem w objęcia Haneczki.

Przed wieczorem był pierwszy nalot lotnictwa sowieckiego na Lublin. Uciekliśmy we trójkę w pole. A ja w ogóle nie czułem strachu.

Byłem na wolności...

## 7. Jeden Niemiec i stu Polaków

Później dowiedziałem się od Polaków, pracujących w starostwie lubelskim, jak doszło do tego, że nas uwolniono.

Otóż partyzanci z AK z Wierchowic<sup>147</sup> porwali w biały dzień, w południe, młodego syna landrata (starosty) lubelskiego. Dorożką, trzymając mu pod żebrami pistolety, wywieźli go do lasu. Tam zmusili go do napisania listu do ojca, że nic mu nie grozi, jeśli wypuszcza z więzienia wszystkich Melgiewian. Tak się przy tym złożyło, że siostra landrata, Niemka, była żoną wójta w Melgwi, Mariana Orzechowskiego<sup>148</sup> (Orzechowskich znałem osobiście), i ona także się za nami wstawiła.

<sup>146</sup> „Wracaj!”

<sup>147</sup> Prawdopodobnie chodzi o Wierchowiska.

<sup>148</sup> Prawdopodobnie chodzi o Jana Orzechowskiego.



Sprawa oparła się o gubernatora Hansa Franka, który podobno miał powiedzieć:

– Za jednego Niemca warto wypuścić stu Polaków.

*Antoni Jadacki.*

Wygoda, 3 maja 1991 roku.

*Informacje podane w niniejszym wspomnieniu są zgodne ze znanymi nam faktami.*

*Wygoda. 22 sierpnia 1991 roku.*

*Maria Witkowska.  
Mieczysław Jadacki.*

## **10. Halina Pietrzyk oraz Irena i Mieczysław Wiśniewscy**

### **Czarna Wielkanoc**

9 kwietnia 1944 roku, w Niedzielę Wielkanocną, Niemcy, żandarmeria i Kałmucy otoczyli Mełgiew. Pani Halina Pietrzyk mówi: „Stali na Górze Dominowskiej jeden koło drugiego jak kołki”. Wszyscy wierni parafianie wstali rano, aby udać się na rezurekcję. Niektórym udało się dostrzec żołnierzy, więc w pośpiechu powiadamiali sąsiadów i szukali kryjówek. „Józef Zajac wszedł do rury kanałowej, mój ojciec – Władysław Makowski ukrył się na posterunku w stodole” – komentuje pani Irena Wiśniewska. „Inni jednak udali się na poranną mszę. W tym czasie żołnierze gonili wszystkich mężczyzn do kościoła, tam kazali im siedzieć na placu. Aresztowano wtedy ponad 100 osób. Mieczysław Wiśniewski (wówczas 17-latek) wraz z kilkoma mężczyznami (m.in. Piotr Kosmala, Stanisław Zieliński) przemknęli do kościoła i ukryli się w piwnicy pod ołtarzem. Gdy tam wchodzili, kościelny nagle zawrócił. Wszedł na wieżę i nie wiadomo dlaczego, zaczął nakręcać wskazówki zegara. Złapali go Niemcy i prowadzili przez kościół. Wtedy jego matka spytała z żalem: „Synu, dlaczego nie schowałeś się tam gdzie wszyscy... w lochach pod ołtarzem?!”. Nie wiedziała, że któryś z Niemców zna polski. W ten sposób żołnierze odkryli, gdzie chowają się zbiedzy. Niemcy otworzyli wejście i podstawili drabinę. Jeden z gestapowców wszedł do środka i zaczął znęcać się nad ukrytymi. Karabinem i drewnem znalezionym w piwnicy bił wszystkich. Gdy hitlerowcy kazali wychodzić ukrytym, ci, przestraszeni, w popłochu rzucili się na drabinę tak, że się złamała. Inni żołnierze stali nad wejściem z drążkami od baldachimów i bili tego, który wyrzwał przez otwór. „W piwnicy była krew, mnóstwo krwi. Przed ołtarzem także.” Gdy już udało się wszystkim wydostać, żołnierze wyprowadzili chłopców za kościół i kazali im klęczeć z rękami podniesionymi do góry. Rozstawili karabiny na stopkach i mierzyli do wyprowadzonych. „Myśleliśmy, że nas rozstrzelają. Bóg nad nami czuwał, bo zamiast zabić, zabrali nas na zamek do Lublina” – wspomina ze wzruszeniem pan Mieczysław. „Niemcy wzięli nas za partyzantów. Któż inny mógłby schować

się w piwnicach kościoła? Za takie zachowanie powinniśmy być od razu rozstrzelani na miejscu albo zabrani do Oświęcimia. Na szczęście między nami byli ludzie z folwarku w Podzamczu. Rulikowski ich potrzebował. Być może dlatego on i jeden z Niemców, stacjonujących w pałacu, wstawili się za nami. Wywieziono nas na zamek. Początkowo siedzieliśmy wszyscy w baszcie. Pamiętam, że było ciemno, ciasno tak, że leżeliśmy nago na boku, na komendę przekręcaliśmy się na drugą stronę. Warunki były po prostu koszmarnie. I te grube wszy... Co jakiś czas kogoś wzywano, potem bito lub mordowano. Niemcy wypytywali o partyzantów. Strasznie bałem się, że ja będę następny. Minął może miesiąc, kiedy podzielono nas na cele według nazwisk. Tydzień przed wyzwoleniem puścili nas wolno. Pamiętam: to było po południu; pod bramą czekali ludzie, pewnie na swoich bliskich; dawali nam jedzenie. Do Mełgwi biegłem boso polami, aby być jak najszybciej w domu. Byliśmy ostatnimi więźniami, którzy opuścili zamek żywi.”

22 lipca 1944 roku, tuż przed opuszczeniem Lublina, hitlerowcy dokonali masowego mordu 300 więźniów zamku.

## 11. Anna Pisarska

### Łapanka<sup>149</sup>

1. W czasie Wielkanocy 1944 Niemcy urządzili łapankę w Mełgwi. Pamiętam, jak otoczyli Mełgiew. Mieli do pomocy Kałmuków – tak o nich mówiono, ale nie wiem, czy to właściwa nazwa.<sup>150</sup> Była to straszna dzicz. Mieszkańcy Mełgwi mieli przygotowane na święta jedzenie i wódkę. Kałmucy rzucili się na to wszystko, a potem – pijani – gwałcili dziewczyny za kościołem (niektóre z tych zgwałconych dziewczyn urodziły później dzieci).

We wsi było sporo broni; partyzanci zdobyli ją koło Dominowa. Zaczęto ją pośpiesznie chować; część ukryto w kaplicy cmentarnej, a część rozmieszczono po domach. I do nas AK-owcy przynieśli rano w Wielką Niedzielę karabin maszynowy i dwie duże paki amunicji. Tatuś początkowo postawił to za drabiną prowadzącą z sieni na strych – i przykrył jakimś workiem. Kiedy dowiedział się, że Mełgiew jest otaczana, pośpiesznie zrobił dwa doły – jeden w oborze (po żłobem), a drugi w chlewie; karabin zakopał w tym pierwszym, a amunicję w tym drugim dole. I kazał mamusi, że jak przyjdą „chłopcy”, ma im wskazać, gdzie są kryjówki; ale co w nich było – jej nie powiedział.

Kiedy we wsi puszczono rakietę, mamusia powiedziała: „No, to będą palić Mełgiew!”. Wiedzieliśmy przecież, że Niemcy palili wsie. Mamusia pozносиła więc co lepsze ubrania do piwnicy. Kiedy weszli do nas Niemcy, od razu zażądali od tatusia, żeby okazał „Ausweis”. I wtedy tatuś sobie przypomniał, że dowód jest w jego podszytej futerką pelisie, którą mamusia ukryła w piwnicy. Chcąc nie chcąc, musiał więc otworzyć klapę i wejść do piwnicy. W tym czasie jeden z Niemców trzymał gotowy do strzału pistolet – wycelowany w otwór piwnicy. To była okropna chwila...

Na szczęście Niemcy – mimo poszukiwań – nigdzie nie znaleźli broni.

<sup>149</sup> Opracowane na podstawie wywiadu, przeprowadzonego w 2018 roku przez Dagmarę Spodar.

<sup>150</sup> Wszystko wskazuje na to, że byli to istotnie Kałmucy – z tzw. Kalmücken-Kavallerie-Korps, formacji działającej w obrębie Wehrmachtu i działającej w 1944 w akcjach pacyfikacyjnych w Generalnym Gubernatorstwie. Oddziały korpusu znane były z okrucieństwa.

Tymczasem AK-owcy schowali się w podziemiach kościoła: klucze dali im księża. Zgromadziło się ich tam wielu. Początkowo Niemcy nie odkryli kryjówek. Ale w pewnej chwili jeden z mężczyzn zaczął palić, wydychając dym przez okno podziemi. Tymczasem na zewnątrz, tuż obok, znalazł się Niemiec, który tam poszedł „za potrzebą”, i zauważył ten dym. Niemcy znaleźli wejście do podziemi i zmusili zgromadzonych tam mężczyzn do wyjścia. Księża tam nie było,<sup>151</sup> ale był organista; bardzo go bili, myśląc, że jest księdzem – bo był w czarnym garniturze. Uwięziono ich wszystkich na Zamku Lubelskim. Był wśród nich także wujek Piotr Kosmała. Siedzieli tam dwa miesiące: pamiętam, że jak wujek Piotr przysłał do domu bieliznę do prania, to cała była we krwi. Siedzieli tam dwa miesiące. Potem ich wypuścili; tego samego dnia, nocą, był nalot na Lublin – i wielu więźniów wtedy zginęło.

2. W okolicach Mełgwi działały w czasie okupacji dwie podziemne grupy zbrojne: AK-owcy i „oddział” zwykłych bandytów, którzy podszywali się pod AK. Niemcy pozwalali pędzić po wsiach bimber; a partyzanci rozbijali bimbrownie, żeby ludzie się nie rozpijali, bo pijanych łatwiej pokonać. Nie podobało się to tym bandytom...

Komendantem oddziału AK był mój wujek Piotr. Bandyci próbowali zamordować wujka Piotra, ale – przez pomyłkę – zastrzelony został jego brat Leopold. A było to tak. Bandyci urządzili zasadzkę na Piotra w pobliżu warsztatu, w którym pracował, wiedząc, jak się zwykle ubiera; kiedy więc Piotr wyjechał do tartaku wyjątkowo w jasnej jesionce Leopolda, weszli do warsztatu, przypuszczając, że został tam Piotr; a był to właśnie Leopold.

Niestety członkiem AK został też Kowalczyk, który okazał się zdrajcą. Wydał Niemcom wielu ludzi, którzy byli członkami organizacji – w tym ks. Edwarda Cakałę i Wacława Zalewskiego oraz mego wujka Juliana Kosmałę. Wszyscy trzej zginęli z rąk Niemców: w Lublinie albo w Oświęcimiu. AK-owcy wydali na Kowalczyka wyrok – i na mocy tego wyroku został on zastrzelony.

W ten sposób z dzieci Kosmałów zginęło w czasie wojny trzech: Leopold, jego młodszy brat Julian i najmłodszy, Jan, który zgłosił się na ochotnika do wojska; po Kampanii Wrześniowej wrócił do domu mocno zaziębiony i wkrótce zmarł.

<sup>151</sup> Księża schowali się w kryjówek Domu Parafialnego. Zob. wyżej: Bożena Jadacka-Józków, „Moje wojenne dzieciństwo”.

## 12. Mieczysław Jadacki



13. Mieczysław Jadacki.



14. Anna Jadacka  
z d. Modzelewska.

Fot. ok. 1940.

### Kartka z więzienia do Anny Jadackiej (1944)

[Nadawca:]

Mieczysław Jadacki. Zamek-Basza 3, Lublin.

[Odbiorca:]

W-na Pani Anna Jadacka. Mełgiew, poczta Minkowice, pow. Lublin.

Dnia 1 maja 1944 roku.

[Mieczysław:]

Kochana Haniu i Honorciu!

Jesteśmy zdrowi razem [tu: obaj]. Paczki otrzymujemy, również koszule i ręcznik[i]. Jeśli możecie, przysyłajcie nieraz [tu: czasem] ciastka. Antek czuje się na żołądek zdrów; jednak lekarstwo niech Hania przysyła. Paczki przysyłajcie na każdego z osobna: jakiś kompot w butelce lub herbatę. [Dopisek:] Przyślijcie soku z jagód.

Tęsknimy za Wami i czekamy z upragnieniem [tu: utęsknieniem] zobaczenia się z Wami. Napiszcie do nas, jak żyjecie i czy jesteście zdrowe. Jak się czuje Ojciec, Bożena, Marek, Mirunia i Irka? Pozdrowiamy sąsiadów. Dajcie znać P[ani] Kotulskiej, że mąż czuje

się zdrów i pozdrawia żonę i dzieci. Napiszcie, czy spółdzielnia jest otworzona. Dajcie znać Władysławowi Witkowskiemu, że synowie Stefan i Józef są zdrowi i [przebywają] razem. Antkowi przyślij zmianę bielizny. Antoni Kulik jest zdrowy; niech żona się nie martwi. Wy także nie martwcie się.

[Antoni:] Bożenuniu! Kochaj Mamunię i bądź grzeczna! Tatusz stale myśli o Tobie i Mamuni.

P.S.

[Mieczysław:] Honorciu! Uważaj na zdrowie Mareczka i ucałuj go ode mnie. [Antoni:] Hanuś! Dziękuję Ci za książeczkę [*scil.* do nabożeństwa]. Twój Antek. [Mieczysław:] Napisz, H[onorciu], czy Mareczek już chodzi. Całuję Cię – Mietek.

[Dopisek:]

Przysyłajcie paczki w torbach lub w dobrym pudełku, bo nie mamy gdzie przechowywać.

### 13. Piotr Kosmala



15. Piotr Kosmala (jr.).

### Oświadczenie

Ja, niżej podpisany, Piotr Kosmala, s. Piotra, ur. dn. 14.04.1922 r. (dow. osobisty BR 9124775) oświadczam co następuje:

Znany mi osobiście Antoni Zygmunt Jadacki, s. Antoniego i Walerii, ur. dn. 15.11.1909 (dow. osobisty FW 2360782), był w okresie okupacji organistą w parafii św. Wita w Mełgwi k. Lublina. W dn. 9.04.1944 r. (Wielka Niedziela) podczas pacyfikacji wsi Mełgiew został aresztowany przez Niemców i torturowany – by wydał partyzantów (aresztowanych nas w tym dniu było 223 osoby). Jadacki wiedział, gdzie jesteśmy ukryci, lecz nas nie wydał. Wydał nas natomiast inny pracownik kościelny. Po aresztowaniu nas siedziałem wraz z Jadackim na Zamku Lubelskim na trzeciej baszcie przez okres kilku tygodni; potem rozdzielono nas na inne cele.

Po zwolnieniu nas z więzienia Jadacki nadal z nami współpracował. Przed aresztowaniem Jadacki przekazał mi pistolet marki walter. W 1944 r. powierzyłem Jadackiemu nadzór nad tajnym magazynem

sprzętu wojskowego, który znajdował się w podziemiach kaplicy cmentarnej.<sup>152</sup>

Jadacki w okresie okupacji wspomagał też naszą organizację materialnie.

D-ca pluton X-e-1 AK  
Plac nr 8, rejon nr 3.  
*Piotr Kosmala*  
ppor. „Kret”

### CZEŚĆ III. ZDJĘCIA

---

<sup>152</sup> Siostra słyszała, jak Tata powiedział kiedyś na ucho Mamie: Dorobiłem klucze do skrytki i schowałem w umówionym miejscu. Co było w skrytce i gdzie było „umówione miejsce” nigdy się Siostra nie dowiedziała.



## A. MEŁGIEW I JANOWICE



A-01. Mełgiew od strony pól.  
W centrum – Dom Parafialny; na prawo od niego kościół św. Wita.



A-02. Mełgiew z wieży kościelnej.  
Po prawej – budynek szkoły [1940?].



A-03. Kościół św.  
Wita od frontu.



A-04. Kościół św. Wita z boku.



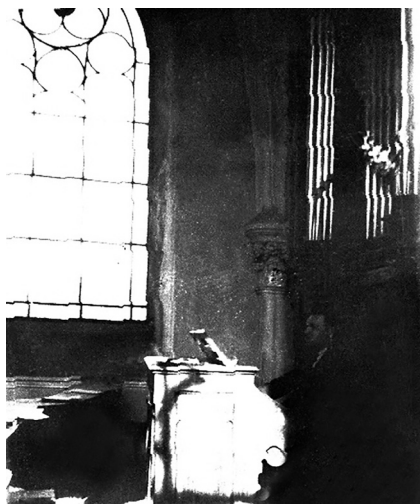
A-05. Anna i Bożena Jadackie  
na tle kościoła św. Wita.



A-06. Kościół św. Wita: ołtarz główny [1940?].



A-07. Wnętrze kościoła św. Wita podczas kazania ks. Edwarda Seredy [lata 50-te XX wieku].



A-08. Antoni Jadacki (jr) przy organach mełgiewskich.



A-09. Józef i Władysława Gorlińscy przy organach mełgiewskich [po 1946].



A-10. Budynek szkoły w Melgwi [lata 50-te XX wieku].



A-11. Dwór w Janowicach [wygląd sprzed 1939].



A-12. Szkołka Drzew Owocowych w Janowicach. Po prawej: Andrzej Szczepanik [przed 1939].





A-13. Szkółka Drzew Owocowych Andrzeja Szczepanika  
na wystawie w Lublinie.  
Przy stoliku: Zofia (siedzi) i Andrzej (stoi) Szczepanikowie [ok. 1938].

## B. PAŁAC I PARK NA PODZAMCZU



B-01. Pałac. Fasada południowa [koniec XIX wieku].



B-02. Pałac. Fasada południowa [po I Wojnie Światowej].



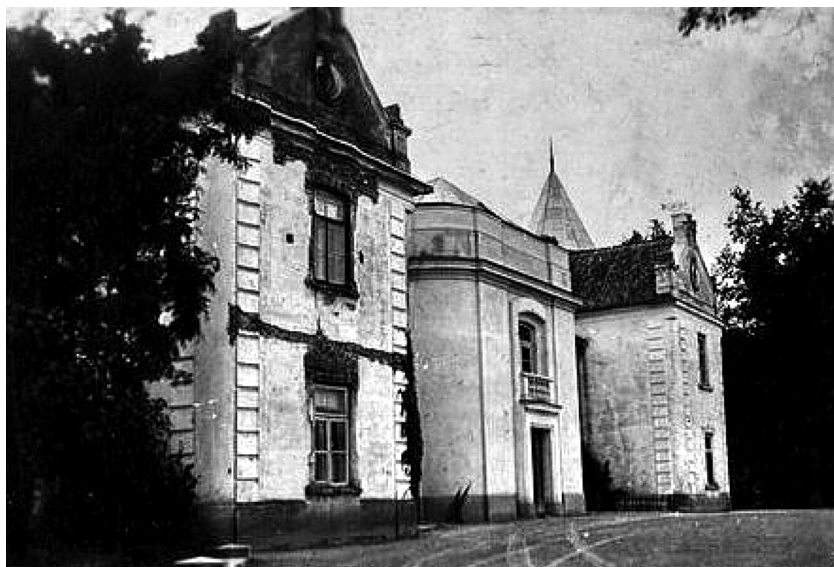
B-03. Pałac. Fasada południowa.



B-04. Pałac. Fasada południowa.



B-06. Pałac. Kuchnia [początek XX wieku].



B-05. Pałac. Fasada północna [ok. 1922].



B-07. Pałac. Wejście [XIX-XX wiek].





B-08. Pałac. Sień.



B-09. Pałac. Korytarz.



B-12. Pałac.  
Kancelaria.

B-11. Pałac. Kancelaria.



B-10. Pałac. Salon. Na lewo od drzwi u dołu:  
portret Ignacego Szlubowskiego (?).



B-13. Pałac. Pokój gościnny.



B-14. Pałac. Jadalnia.





B-15. Pałac. Wnętrze.



B-16. Brama  
północna [1922].



B-17. Brama wschodnia [pocz. XX wieku].



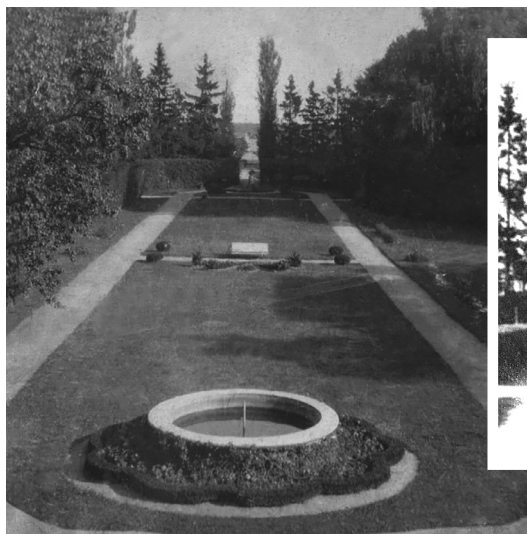
B-18. Most.



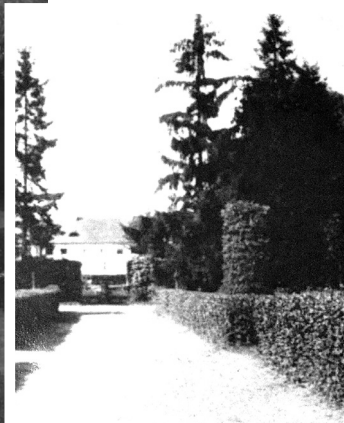
B-19. Most.



B-20. Most.



B-21. Park. Strona południowa.



B-22. Park.



B-23. Stajnie [przed I Wojną Światową].

## C. JADACCY



C-01. Anna i Antoni (jr) Jadaccy. Zdjęcie ślubne [1937].



C-02. Anna Jadacka.



C-03. Anna Jadacka.



C-04. Antoni Jadacki (jr).





C-05. Bożena Jadacka.



C-06. Bożena Jadacka na tle choinki bożonarodzeniowej [1940].



C-07. Bożena Jadacka na tle parkanu kościelnego latem.



C-08. Bożena Jadacka na tle parkanu kościelnego zimą.



C-09. Anna i Bożena Jadackie zimą.



C-10. Bożena (krótko po chrzcie) i Antoni (jr) Jadaccy.



C-11. Anna i Bożena Jadackie  
na tle wsi.



C-12. Anna i Bożena Jadackie  
z melgiewskimi bzami.



C-13. Anna Jadacka z psem Finkiem na schodach Domu Parafialnego.

## D. KREWNÍ JADACKICH



D-01. Od lewej: Antoni (jr), Bożena, Anna, Honorata i Eugenia Jadaccy  
na tle wsi [1941?].



D-02. Od lewej: Anna, Eugenia, Bożena, Mieczysław i Honorata Jadaccy  
na tle wsi.





D-03. Od lewej: Bożena, Zygmunt, Eugenia, Anna i Honorata Jadaccy na tle wsi.



D-04. Od lewej: Irena, Bożena, Anna i Mirosława Jadackie na tle wsi.  
Po prawej stronie dom wybudowany przez Stanisława Kowalczyka (obecnie ul. Patyzancka 5).



D-05. Od lewej: Mieczysław i Honorata Jadaccy na tle wsi.



D-06. Od lewej: Zygmunt, Honorata i Jadaccy na tle wsi.



D-07. Od lewej: Zygmunt, Anna, Bożena i Eugenia Jadaccy na tle kościoła.



D-08. Od lewej: Honorata, Zygmunt, Bożena, Antoni (jr) i Anna Jadaccy.



D-09. Od lewej: Honorata, Mieczysław, Marek i Bożena Jadaccy.



D-11. Od lewej: Irena, Bożena, Anna i Honorata Jadackie.



D-12. Bożena i Marek Jadaccy na ławce przed Domem Parafialnym.



D-10. Od lewej: Bożena, Anna, Irena, Mirosława, Mieczysław, Marek, Honorata i Antoni (jr) Jadaccy przed Domem Parafialnym.



D-13. Stoją z tyłu od lewej: Eugenia, Antoni (senior), Irena i Mieczysław Jadaccy. Siedzą przy stole od lewej: Anna i Honorata Jadackie. Stoją na pierwszym planie od lewej: Mirosława i Bożena Jadackie.





D-14. Stoją od lewej: Antoni (jr),  
Anna i Eugenia Jadaccy.  
Siedzi Mieczysław i Bożena Jadaccy.



D-15. Od lewej: Zygmunt i Antoni (jr)  
Jadaccy.



D-16. Od lewej: Irena i Eugenia Jadackie oraz Franciszek Pyszny.



D-17. Eugenia Jadacka.



D-18. Eugenia Jadacka.



D-19. Irena Jadacka.



D-20. Zofia z Kosmałów  
Jadacka.



D-21. Zofia z Kosmałów Jadacka.  
Kartka narzeczeńska.

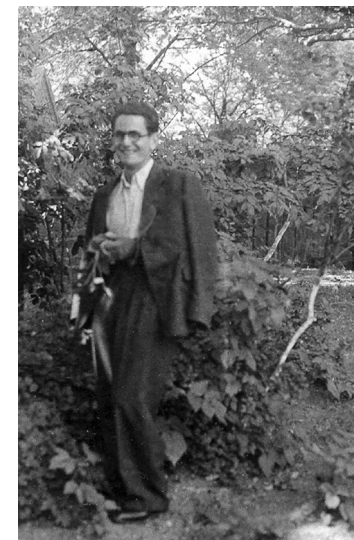
## E. UCZNIOWIE ANTONIEGO JADACKIEGO (JRA)



E-01. Bogdan Paprocki.



E-02. Bogdan Paprocki  
w ogrodzie Domu Parafialnego.



E-03. Bogdan Paprocki  
w ogrodzie Domu Parafialnego.



E-04. Stanisław  
Dobrowolski.



E-05. Stanisław  
Dobrowolski.



E-06. Stanisław  
Dobrowolski.





E-07. Leon Błazejak.



E-08. Od lewej: Leon Błazejak (1)  
Władysław Torój? (2), Antoni (jr) (3),  
Anna (4) i Bożena (na sankach) Jadacy  
przed kaplicą Matki Boskiej Częstochowskiej  
w murze cmentarnym [1940?].

## F. RULIKOWSCY



F.01. Maria Rulikowska.  
Mełgiew (?) [ok. 1931?].



F-02. Zygmunt Rulikowski.  
Mełgiew.



F-03. Maria i Zygmunt Rulikowscy. Mełgiew? [ok. 1939?].



F-04. Zygmunt i Antoni Rulikowscy [ok. 1912?].



F-05. Maria i Joanna Rulikowskie  
[ok. 1931?].



F-06. Zygmunt i Joanna Rulikowsky.  
Mełgiew? [1932].



F-07. Joanna Rulikowska.  
Mełgiew [ok. 1940?].



F-08. Joanna Rulikowska.  
Lublin, atelier Benedykta Dorysa  
[ok. 1940?].



F-09. Maria i Zygmunt Rulikowsky. Rabka [w czasie II Wojny Światowej?].



F-10. Zygmunt, Joanna i Maria Rulikowsky. Rabka  
[w czasie II Wojny Światowej?].



F-11. Mieczysław Rulikowski.

## G. OTOCZENIE RULIKOWSKICH



G-01. Elżbieta Maria Czartoryska.



G-02. Anna Drecka.

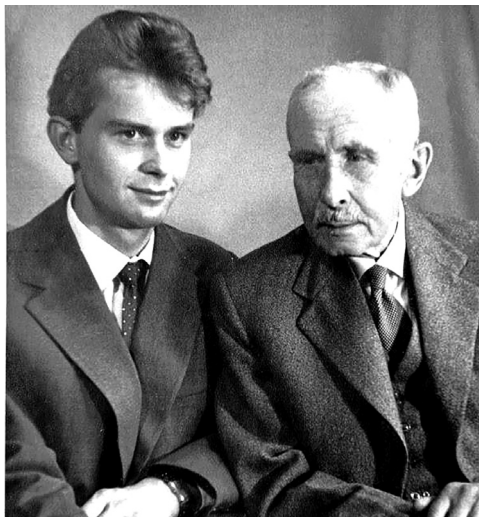


G-03. Kazimierz Drecki.



G-04. Mieczysław Fijałkowski.





G-05. Michał i Mieczysław Jałowieccy.



G-06. Od lewej: Maria i Joanna Rulikowskie oraz Michalina Modzelewska.  
Lublin, Krakowskie Przedmieście [wakacje 1939].



G-07. Od lewej: Joanna (2)  
i Maria (3) Rulikowskie.  
Mełgiew [ok. 1939?].



G-08. Od lewej: Michalina Modzelewska,  
Joanna Rulikowska i Daniela Modzelewska.  
Mełgiew [1941].



G-09. Od lewej: Joanna Rulikowska – Daniela Modzelewska.  
Mełgiew [ok. 1941?].





G-10. Od lewej: Michalina Modzelewska i Joanna Rulikowska.  
Zakopane? [w czasie II Wojny Światowej?].



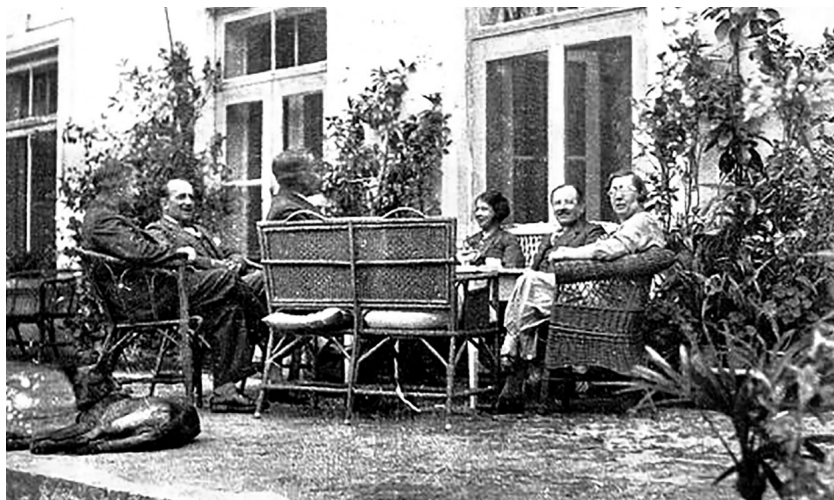
G-11. Na wozie siedzą od lewej: Hubert d'Ornano (2),  
Maria (3) i Joanna (5) Rulikowskie. Mełgiew.



G-12. Na wozie siedzą od lewej: Antoni (1) i Joanna (2) Rulikowscy  
oraz Michalina Modzelewska (6). Mełgiew, plac przed kościołem [1939].



G-13. Siedzą od lewej: Zygmunt (1), Maria (2) i Antoni (3) Rulikowscy.  
W parku pałacowym.



G-14. Siedzą od lewej: Zygmunt (5) i Maria (6). Na tarasie pałacowym.



G-15. Daniela Modzelewska. Warszawa.



G-16. Od lewej: Wikcia (1) i Michalina Modzelewska (2). Przed pałacem.

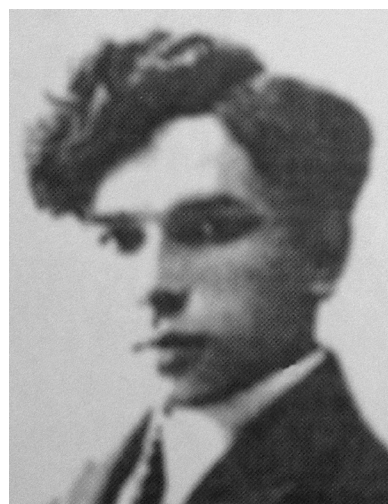


G-17. Michalina Modzelewska i Władysław Monik. Zdjęcie ślubne.

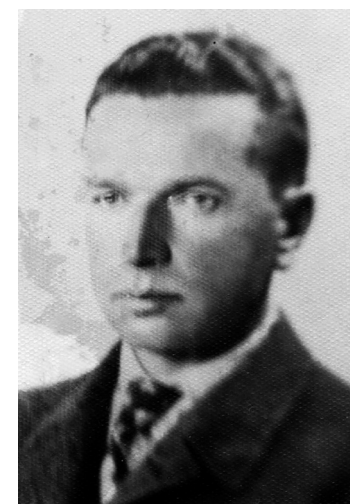


G-18. Halina Juszcakowska.

## H. LISOWSCY



H-01. Marian Lisowski.

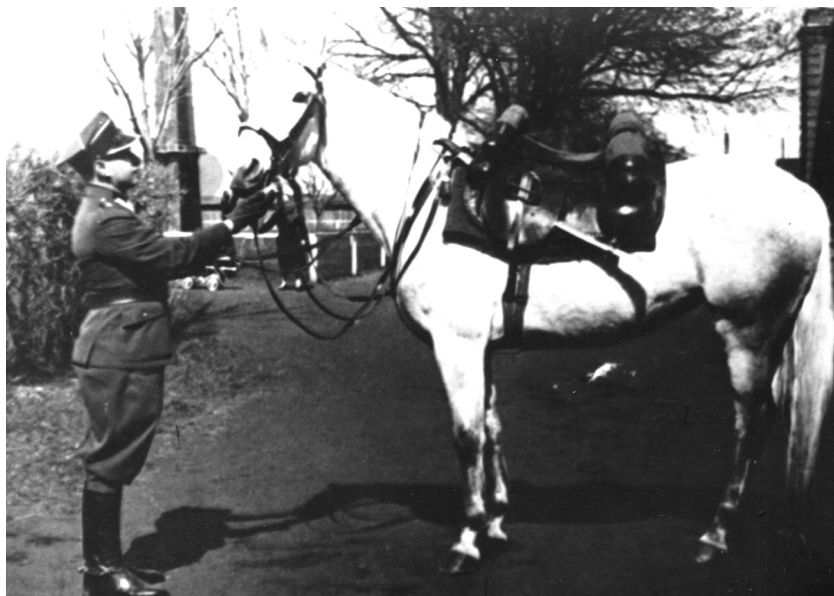


H-02. Marian Lisowski w czasach studenckich.

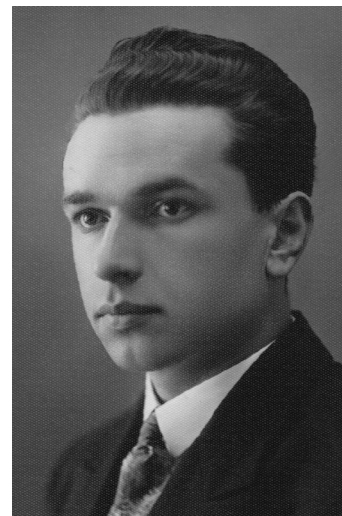




H-03. Marian Lisowski.



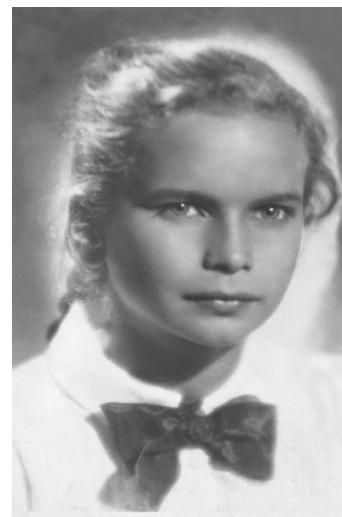
H-04. Marian Lisowski jako kawalerzysta.



H-05. Marian Lisowski.



H-06. Wanda Lisowska.



H-07. Anna Lisowska (1941).



H-08. Mirosława Lisowska (1941).



H-09. Stoją od lewej: Anna (2) i Mirosława (5) Lisowskie. Las Mełgiewski.  
Mężczyzna pierwszy od lewej: mąż starszej siostry Wandy Lisowskiej.



H-10. Stoją od lewej: Mirosława (1) i Anna (3) Lisowskie. Las Mełgiewski.  
Mężczyzna pierwszy od lewej: mąż starszej siostry Wandy Lisowskiej.



H-11. Stoją od lewej: Mirosława, Julian i Anna Lisowscy.



H-12. Stoją od lewej: Anna (5) i Mirosława (6) Lisowskie.





H-13. Stoją od lewej: Mirosława (2) i Anna (5) Lisowskie.



H-14. Stoją od lewej: Mirosława (2) i Anna (3) Lisowskie.



H-15. Stoją od lewej: Mirosława i Anna Lisowskie.



H-16. Siedzą od lewej: Anna i Mirosława Lisowskie.



H-17. Siedzą od lewej: Anna, Wanda i Mirosława Lisowskie.



H-18. Siedzą od lewej: Wanda i Mirosława Lisowskie.



H-19. Siedzą od lewej: Mirosława i Wanda Lisowskie.

## I. MELGIEWIANIE



I-01. Katarzyna Burdzanowska.





I-02. Od lewej: Wawrzyniec Wymoczył (1), Antoni Kulik (2) i Antoni Jadacki (jr) (3) [1939].



I-03. Od lewej stoją: Julia Martyńska, (2), jej córka Lilka (3); siedzi druga córka. Przed domem Julii Martyńskiej.



I-04. Od lewej: Bożena, Marek, Honorata i Anna Jadaccy – i gosposia z Cumania.



I-05. Od lewej: Anna Jadacka i gosposia.



I-06. Od lewej: Zofia Golonówna i Anna Jadacka.



I-07. Siedzą od lewej: Zofia Siudówna (siostra Marii), Mieczysław i Honorata Jadaccy, Maria Siudówna-Witkowska (biolog), Anna i Bożena Jadaccy, Krystyna Modrzewska i Józef Kotulski. Stoi: Antoni Jadacki (jr) [1942].



I-08. Maria Siudówna.



I-09. Paulina Wójcik – gosposia  
ks. Żyszkiewiczza zwana „Peruką”.



I-12. Andrzej Szczepanik.



I-13. Stanisław Ludwiński.



I-10. Piotr Kosmała („Kret”)  
z narzeczoną.



I-11. Józef Kotulski.



I-14. Melgiewianin I.  
(Józef Maczuła?)



I-15. Melgiewianin II  
(nazwisko nieznane).



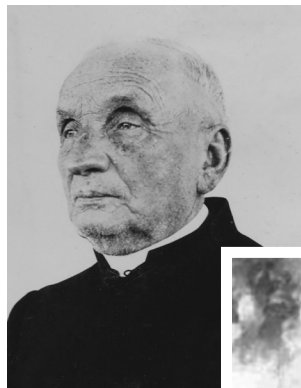
## J. KSIĘŻA I ORGANIŚCI



J-01. Ks. Józef Żyszkiewicz.



J-02. Ks. Józef Żyszkiewicz [1942?].



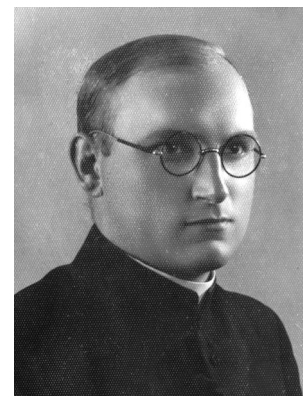
J-03. Ks. Józef  
Żyszkiewicz  
[1941].



J-04. Ks. Wacław Zalewski.



J-05. Ks. Wacław  
Zalewski.



J-06. Ks. Wacław Zalewski.



J-07. Ks. Wacław Zalewski.



J-08. Ks. Wacław Zalewski.



J-09. Ks. Wacław Zalewski  
w ogrodzie przy plebanii [1940].



J-10. Ks. Edward Cąkała. J-11. Ks. Edward Cąkała. J-12. Ks. Edward Cąkała [1940].



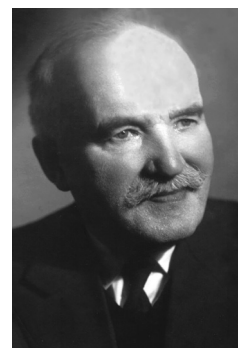
J-13. Ks. Czesław Wiśliński.



J-14. Ks. Aleksander Jędrejek. [1944].



J-15. Od lewej: ks. Wacław Zalewski (?) i ks. Edward Cąkała.



J-16. Stanisław Koszowski.



J-17. Jan Budzyński.



J-18. Józef Gorliński



## K. WŁADZE I ZWIĄZKI



K-01. Tomasz Burdzanowski (wójt).



K-02. Siedzą od lewej: Mieczysław Serwinowski, Tomasz Burdzanowski i Stefan Żmurek.



K-03. Siedzą od lewej: Tomasz Burdzanowski (1) i Stefan Żmurek (?) (2).



K-04. Stoją od lewej:  
Stefan Żmurek, Mieczysław Serwinowski  
i Tomasz Burdzanowski.



K-05. Tomasz Burdzanowski.



K-06. Przed budynkiem Urzędu Gminnego. W pierwszym rzędzie od dołu od lewej: Jan Orzechowski (?) (1), ks. Józef Żyszkiewicz (3), Marian Chmielecki (?) (4) i Roman Wrzesiński? (6).



K-07. Siedzą od prawej: Michał Pidek (1) i Tomasz Burdzanowski (2).

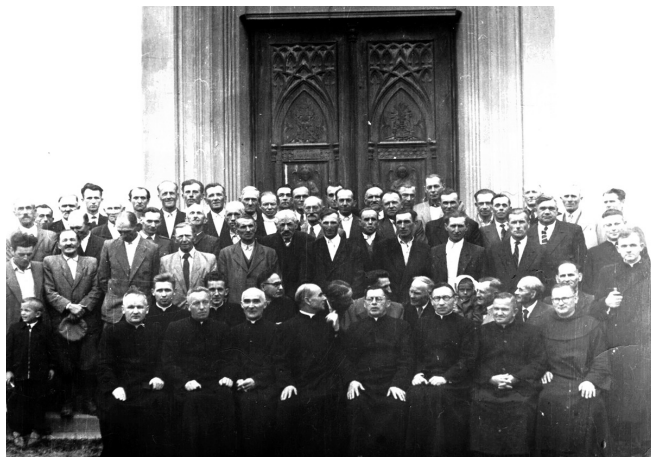


K-08. Pracownicy Urzędu Gminnego. Stoi u góry od lewej: Roman Burdzanowski (5).



K-09. Melgiewska Rada Parafialna. Stoją od lewej: Roman Burdzanowski (2) i Andrzej Fabian (16).





K-10. Melgiewska Rada Parafialna. Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: Tomasz Burdzanowski (1) i Andrzej Fabian (6).



K-11. Chór parafialny. W rzędzie środkowym od lewej: Jan Budzyński (1), Jan Wójcik (4), ks. Józef Żyszkiewicz (5), Maria Tatara (7); w tylnym rzędzie od prawej – Władysława Grzegorzczak [przed 1937].



K-12. Przed wejściem do sklepu Spółdzielni „Jedność”. Od lewej: Mieczysław, Zygmunt, Bożena i Honorata Jadaccy. Na pierwszym planie: pies Finek.



K-13. Rada Gminy w Melgwi. W pierwszym rzędzie od dołu od lewej: Tomasz Burdzanowski (3), Kazimierz Drecki (5) i Michał Pidek (9).  
W drugim rzędzie od dołu od lewej: Stefan Żmurek (3) i Mieczysław Serwinowski (5) [przed II Wojną Światową].



K-14. Zarząd Gminy w Melgwi. W pierwszym rzędzie od dołu od lewej: Stanisława Majewska, Wanda Skoczowska, Roman Wrzesiński, Jan Olechowski, Maria Siudówna, Krystyna Modrzewska i Marian Chmielecki. W drugim rzędzie od dołu od lewej: Stanisław Ludwiński, Stanisław Śliwiński, Marian (?) Rubaszkievicz i Andrzej (?) Szawłowski [1942?].



K-15. Członkinie Zarządu Gminnego. Od lewej: Krystyna Modrzewska, Maria Siudówna i Stanisława Majewska [1941].



K-16. Na odpuszcie św. Wita w Melgwi. Od lewej: Krystyna Modrzewska i Maria Siudówna [16.05.1941].

## L. OCHRONKA I SZKOŁA



L-01. Ochronka w Melgwi. Od lewej: stoją z tyłu – Mieczysław Fijałkowski (4), jego córka Magdalena (5) i żona Celina (6), Maria (7) i Zygmunt (8) Rulikowscy, s. Róża; przed Marią Rulikowską – Joanna Rulikowska, w czapce na bakier. Melgiew [1943].





L-02. Michał Pidek.



L-03. Helena Pidkowa.



L-05. Michał Pidek w otoczeniu uczniów. Od prawej w pierwszym rzędzie stoi Janina Burdzanowska (3).



L-04. Dzieci mełgiewskie przed szkołą.



L-06. Helena Pidkowa ze swoją klasą; trzyma za ręce córki (od lewej): Barbarę i Halinę. Na lewo od niej – Bożena Jadacka [1945].



L-07. Helena Pidkowa na łożu śmierci [1946].



L-08. Helena Pidkowa na łożu śmierci [1946].



L-09. Grupa dzieci w czasie przedstawienia szkolnego przed budynkiem szkoły. W pierwszym rzędzie w środku w białej pelerynie i w koronie – Bożena Jadacka; na prawo od niej – jej koleżanka z Cumania i Maria Bogusz (nauczycielka) [1945].



L-10. Grupa dzieci po występach. W tylnym rzędzie od lewej – Bogdan Pietrzyk (7), Bożena Jadacka (8), Maria Filipczak (9); w środkowym rzędzie od lewej Maria Wójcik (3) i koleżanka z Cumania (5); w pierwszym rzędzie w środku – Maria Bogusz [1945].





L-11. Grupa uczniów starszych klas przed budynkiem szkoły.  
W górnym rzędzie od prawej: Helena Bogusz;  
w środku ks. Jan Meger (?); na prawo od niego Michał Pidek (?).



L-12. Harcerze mełgiewscy z trójką księży.  
Od lewej: ks. Edward Cakała, ks. Józef Żyszkiewicz i ks. Wacław Zalewski.



L-13. Dziewczynki po procesji w Niedzielę Palmową z dwójką księży.  
Od lewej: ks. Czesław Wiśliński (?) i ks. Aleksander Jędrejek (?),  
Bożena Jadacka – u stóp ks. Wiślińskiego; jej koleżanka z Cumania  
– w pierwszym rzędzie druga od prawej.  
Z tyłu – dwie mełgiewskie betanki: s. Ludwika (?) i s. Teresa (?).



L-14. Dziewczęta z Mełgi po procesji Bożego Ciała. W pierwszym rzędzie  
od lewej: Bożena Jadacka (2). W rzędzie powyżej nad Bożenką od lewej  
córka Pidków Barbara (2); w rzędzie najwyższym na prawo od betanki,  
s. Róży (?) córka Pidków Halina (3).



L-15. Halina Pidek.



L-16. Janina Fabianówna (pierwsza z lewej).  
Bychawa [1930].



L-17. Bożena Jadacka  
z towarzyszem zabaw w domu.



L-18. Bożena Jadacka  
z towarzyszem zabaw przy kościele.



L-19. Bożena Jadacka z kolegą  
przy ukochanym drzewie.



L-20. Bożena Jadacka z koleżanką  
na schodach Domu Parafialnego.



L-21. Bożena Jadacka  
z koleżanką z Cumania.



L-22. Bożena Jadacka wśród towarzyszy zabaw.  
W pierwszym rzędzie od dołu: Anna i Bożena  
Jadackie i koledzy Bożeny; w drugim rzędzie:  
miejscowa betanka, s. Julia (?) i matka pierwszych  
dwóch chłopców.





L-23. Bożena Jadacka z kolegą.



L-25. Od lewej: Mirosława (2) i Bożena (3) Jadackie z palmą wielkanocną.



L-24. Od lewej: Bożena (1) i Mirosława (3) Jadackie przy Domu Parafialnym.



L-26. Pożegnalne zdjęcie Bożeny z kolegami.

## Ł. ZESPÓŁ



Ł-01. Zespół Pieśni i Tańca z Mełgwi.

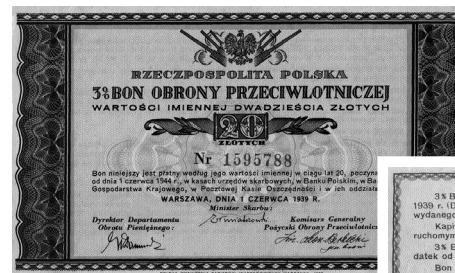


Ł-02. Dożynki. [1938? 1944?]

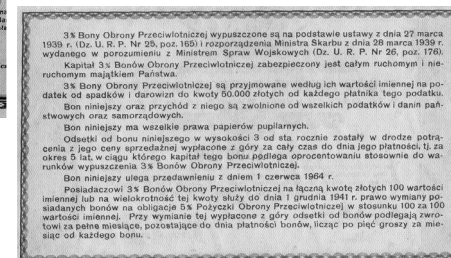


Ł-03. Dożynki.

## M. WOJNA



M-01a. Bon  
obrony  
przeciwlotniczej.



M-01b. Jw. Rewers.  
Awers. [1939]





M-02. Mieczysław Jadacki  
w Dęblinie [1938].



M-03. Otto Hoene.



M-06. Żołnierze niemieccy skoszarowani w kościele [1941].



M-04. Niemiec w kościele  
mełgiewskim.



M-05. Żołnierze niemieccy  
skoszarowani w kościele [1941].



M-07. Rek wizycja bydła. Widok zarekwirowanego bydła od ludności  
tutejszej gminy Mełgiew za niedostarczony kontyngent zbożowy z  
dni 5-7 czerwca 1941 roku przez żandarmerię niemiecką na  
naszej łączce prze Domem Parafialnym.



M-08. Honorata, Bożena i Anna Jadackie; w tle – lotnicy austriacy.



M-09. Niemcy w Janowicach.



M-10. Baszta Zamku Lubelskiego.



M-11. Antoni Jadacki (jr) (z córką) po wyjściu z więzienia na Zamku Lubelskim.



M-12. Tomasz Burdzanowski. KL Auschwitz.



M-13. Stefan Gumieniak. KL Auschwitz.



M-14. Kazimierz Opaliński. KL Auschwitz.

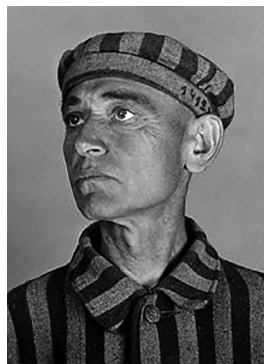




M-15. Ludwik Rulikowski.  
KL Auschwitz.



M-16. Józef Zając.  
KL Auschwitz.



M-17. Stefan Żmurek.  
KL Auschwitz.



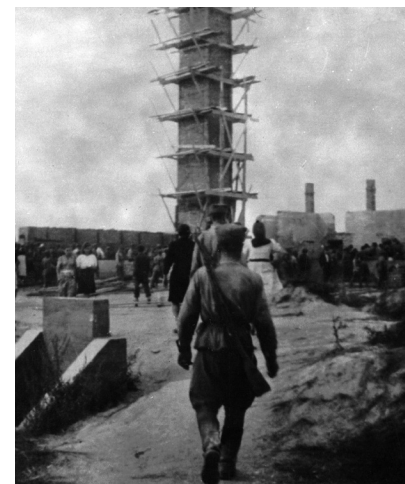
M-18. Anna, Antoni (jr) i Bożena Jadacy wśród żołnierzy polskich (z armii Berlinga?) „śpieszących na pomoc Powstaniu Warszawskiemu” – przed kościołem mełgiewskim [1944].



M-19. Odkopane z dołów zwłoki osób pomordowanych przez Niemców w Lesie Krępieckim [1943?].



M-20. KL Majdanek. Widok na komin krematorium [1944].



M-21. KL Majdanek. Widok na komin krematorium [1944].



M-22. KL Majdanek. Niedopalone szczątki ludzkie [1944].



M-24. KL Majdanek. Niedopalone szczątki ludzkie [1944].



M-23. KL Majdanek. Niedopalone szczątki ludzkie [1944].



M-25. KL Majdanek. Prze wejściem do komory gazowej [1944].





M-26. KL Majdanek. Piec krematoryjny [1944].

## N. PAMIĄTKI



N-01. Szkaplerz częstochowski.



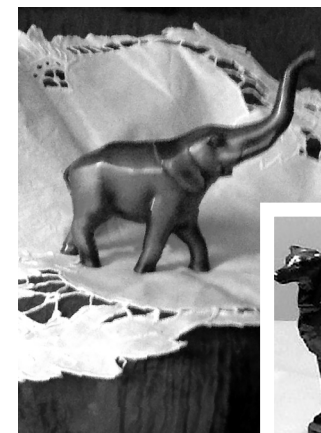
N-02. Zасuszоne kwiatki z Męłwi



N-03. Aparat fotograficzny Antoniego Jadackiego (jra). [1945].



N-04. Aparat fotograficzny *Compur* Antoniego Jadackiego (jra).



N-05. Słoń z brązu na tle serwetki z haftem *richelieu* zrobionym przez Annę Jadacką.



N-06. Pies z brązu.



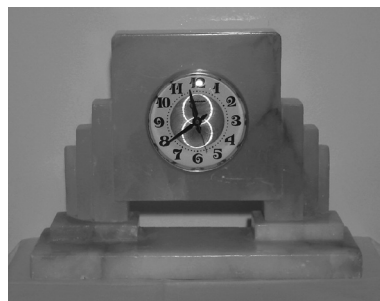
N-07. Brazowa popielnica z niewolnikiem trzymającym konia.



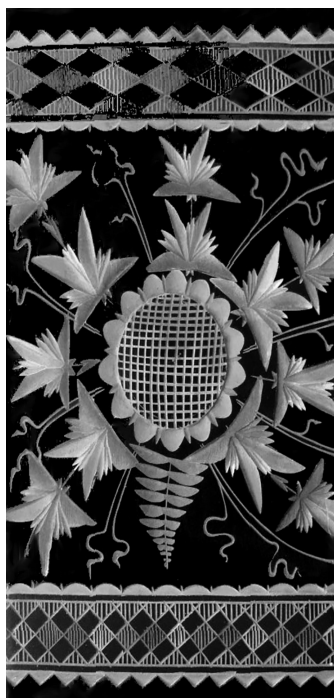
N-08. Metalowy kałamarz z orłem.



N-09. Drewniany stojak na listy.



N-10. Zegar kominkowy w marmurowej oprawce.



N-12. Drewniana szkatułka.



N-11. Drewniana szkatułka.

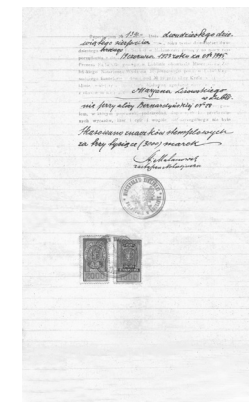
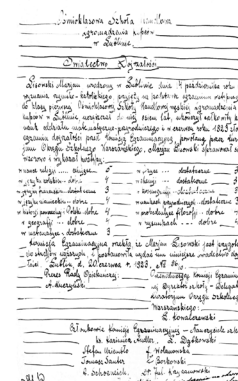


N-13. Pudełko blaszane.



N-14. Palma melgiewska.

## O. DOKUMENTY I KARTKI POCZTOWE



O-01. Świadectwo dojrzałości Mariana Lisowskiego ze Szkoły Handlowej w Lublinie [1923] podpisane przez ks. Kazimierza Audlera, Juliana (?) Borkowskiego, Leona Dąbkowskiego, Ludwika Kowalczewskiego, Alojzego Kuczyńskiego, Juliana Krzyżanowskiego, Tomasza Sautera, Aleksandra Schoeneicha, Stefana Uziembłę i Jadwigę Wolanowską. Odpis dokonany przez Stanisława Małanowskiego z kancelarii Mieczysława Zielińskiego.

RZECZPOSPOLITA POLSKA  
PROBOSZCZ  
Krym-Kol. 79. St. *określenie*  
Porait *na Bismacku*  
Parafia R.-Kat. *na Bismacku*

METRYKA ŚLUBU

Nu poświadcza kościelnych ksiąg metrykalnych z *1928* r.  
Nr *222* zawierającym, że *Marcian Świrski*  
syn *Juliana i Elżbiety*  
z *Świebickich*  
z *Wandy Głog*  
ośm. *Acemishka i Marceli o Chano.*  
*świebicki* małżonków *Głog*  
zawarli świąteczny ślubek małżeński  
dnia *22 grudnia* r. *28* roku (tytuł: dzieńciot  
czterdziesto *czterdziesto* osmego  
*Świebicki* data *30 września* 19*28* r.  
Proboszcz Parafii  
*Witkiewicz*

100 100  
100 100

[illegible]

Handwritten notes on a document page, including the date "12.12.2000" and the word "Konten".

**NOWY**  
**GŁOS LUBELSKI**

Red. V. Lublin, broda dnia 15 marca 1944 r. Nr.

[illegible]

O-04b. Nekrolog  
Mariana Lisowskiego.

WOJSKO POLSKIE  
D.O.W. WV - Wydział I  
Org. Mob. I Uzupeł.

Nr. 1222/1946.

ZASWIAADCZENIE

Niniejszym stwierdzam, że sp. kpt. lek.san. Lisowski Marian osobiście nam znany ze wspólnej służby w 2 p.s. strzelców konnych - od r.1937 do końca 1939 r. był oficerem służby stałej na stanowism naczelnego lekarza 2 p.s. strzelców konnych w Hrubieszowie.

Rostkiewicz zaw. as. k.  
I - / MA D A K I N S K I mjr. ZAWADZKI I ppłk.  
Z D.O.W.Nr.7 Z D.O.W.Nr.7

Lublin, dnia 8.IV.1946 r.

Wiarygodność podpisów wyżej wymienionych oficerów stwierdzam.

SZEF WYDZ I ORG MOB UZUP  
D.O.W.VII.  
Moksin  
M O K S I N S K I /  
ppłk.

Lublin, 8.IV.46 r.



Rzeczpospolita Polska



NA ZASADZIE ART. 5 USTAWY Z 23 CZERWCA 1923 R.  
(DZ. U. R. P. Nr 62, POZ. 458)

NADAJE

ANDRZEJOWI SZCZEPANIKOWI

z JANOWICZACH POWIATU LUBELSKIEGO

**BRAZOWY KRZYŻ ZASŁUGI**

**PO RAZ PIERWSZY**

ZA ZASŁUGI NA POLU PRACY ZAWODOWEJ

WARSZAWA, DNIA 11 SIERPNIA 1937 r.



PREZES RĄDY MINISTRÓW

*[Signature]*

Stawoj Składkowski

O-07. Dokument poświadczający nadanie Brązowego Krzyża  
Zasługi Andrzejowi Szczepanikowi [1937]  
podpisany przez Stawoja Składkowskiego.

WOJ. LUBELSKIE  
PROBOSZCZ PARAFII  
MEJGIEW

została Wskazana

Wypis aktu Urodzenia

z ksiąg Stanu Cywilnego parafii Mejgiew, sporządzonego  
w roku 1933, pod L. 16

Oświadczenie, dnia piętnastego stycznia,  
tytułu dwudziestego dwudziestego roku,  
godzinie trzynastej, Stawił się Antoni Zygmunt  
Jadacki, organista w Mejgiew, lat trzydzieści  
miejsc, w obecności pełnoletnich świadków: Pie-  
capitawa Jadackiego, studenta i Janniny Nuzanki,  
studentka z Pedagogium, obaj z Ostrowi Mako-  
wieckiej i chara i nam wnie, poci zenisz, oświad-  
czają, iż urodziła się w Lublinie, dnia dwudzie-  
tego ósmego listopada, roku ubiegłego, o godzinie  
osiemnastej z jego matronki Anny z Kłodzkiej,  
lat dwudzieścia pięć, mającej Bractwa i temu na  
chrzcie świętym, dnia poprzedzającego, doposażony  
nadane zostały imienia Bożena Lidia,  
a rodzicami chrześnymi byli: wyżej wspomniany  
Mieczysław Jadacki i Jannina Nuzanka. Ak-  
ten stawiającemu i świadkom przeczytany, po-  
saci przez nich podpisany został  
(podpisano) ks. J. Zyszkiewicz, Ak-ten Jadacki i Nu-  
zanka M. Jadacki

Zgodność niniejszego odpisu z oryginałem zaświadcza

Mejgiew, dn. 27 maja 1943 r.

Proboszcz Parafii

*[Signature]*

osno. Druk. „M. Kosakowska”-Lublin. III. 45. 100.

O-08. Wypis aktu urodzenia Bożeny Jadackiej,  
sporządzony 27 maja 1943 roku w Mejgiew przez Annę Jadacką  
i podpisany przez ks. kan. Józefa Zyszkiewicza.

*Jedność*  
w ..... *Wielkopolski* .....

**LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA**

*L. 146.*

członka *Jedności w Wielkopolsce*

zaopatrującego się w sklepie Spółdzielni

Nr .....

przy ulicy *Wielkopolskiej* .....

Pieczęć Spółdzielni:

KONSUMPTGENOSSENSCHAFT *Redakcja Zarządu:*  
„Jedność” w *Wielkopolsce*  
SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW *Wielkopolska*  
„Jedność” w *Wielkopolsce*

„Spółem” Związek Spółdzielni Spożywców w Warszawie II - 40

[illegible]

Theolog. Brief  
 Tobie Flanzenlo-  
 beinene  
 senwagrow p. elst.  
 hawigky Honora-  
 rekty. Nowe  
 Dnia 5-11-99.  
 przy ofiarowanym dy-  
 kuz.

A black and white photograph of a pond. The foreground is filled with numerous lily pads and several white, star-shaped flowers. The water reflects the light, creating a shimmering effect. In the background, a dark, silhouetted structure, possibly a bridge or a building, stands against a lighter sky. The overall mood is serene and contemplative.

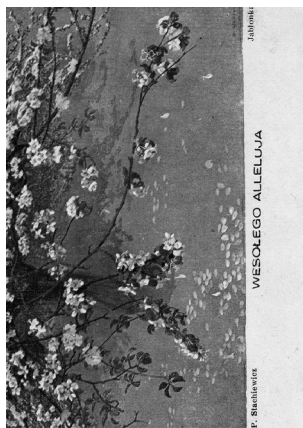
12956

*Mimosa Pam*

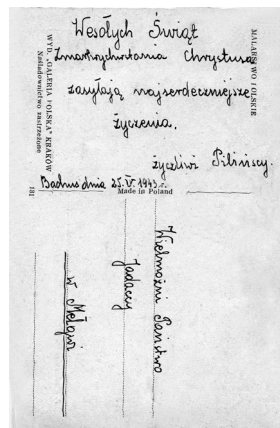
*A. Padaka*

*S. Mayen.*

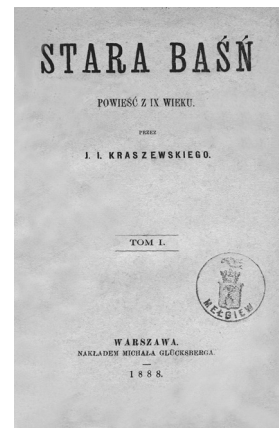
279



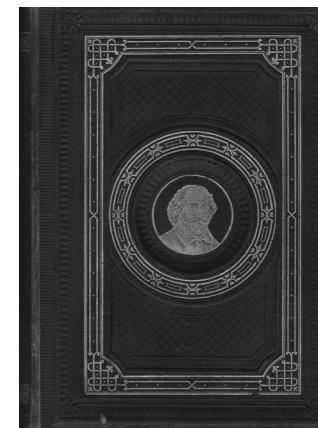
O-13a. Kartka wielkanocna od Pilińskich (z Bachusa). Awers [1943].



O-13b. Jw. Rewers.

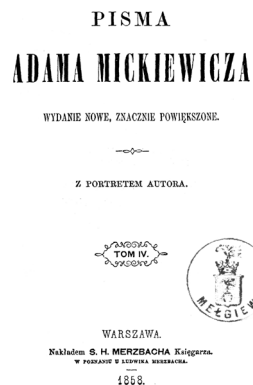


P-02. Józef Ignacy Kraszewski: *Stara baśń*. T. I. Warszawa 1888. Michał Glüksberg. Strona tytułowa z pieczęcią herbową.



P-03a. William Shakespeare: *Dzieła dramatyczne*. T. II. *Tragedie*. Warszawa 1875. Spółka Wydawnicza Księgarzy. Przednia okładka.

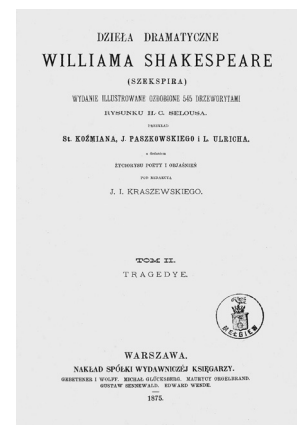
## P. KSIĄŻKI I PARTYTURY



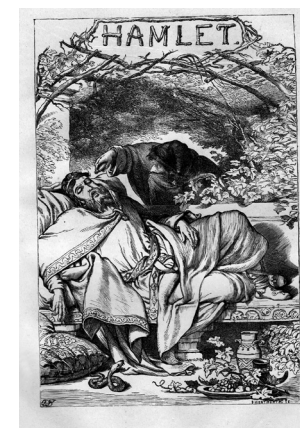
P-01a. Adam Mickiewicz, *Pisma*. T. IV. Warszawa 1858: S.H. Merzbach. Strona tytułowa.



P-01b. Jw. Ilustracja do *Grażyny*.

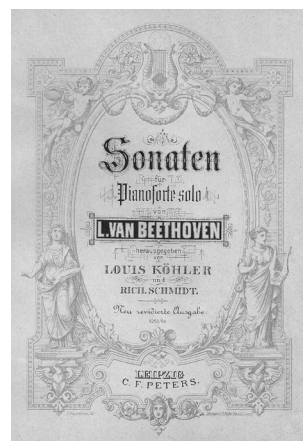
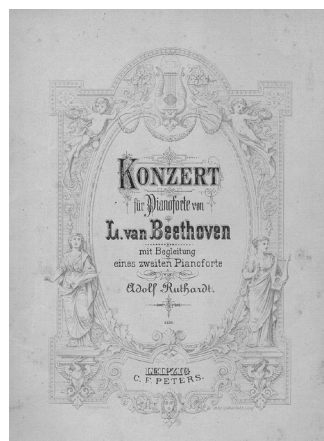
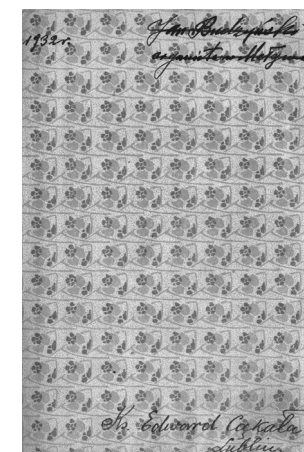
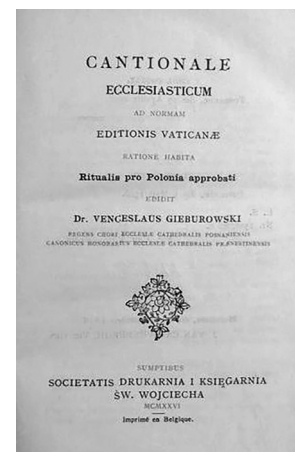
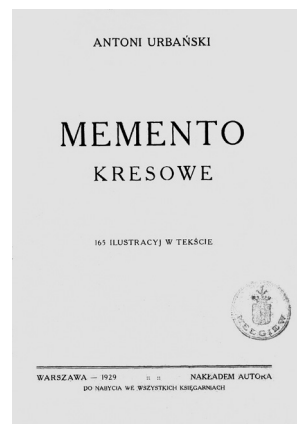
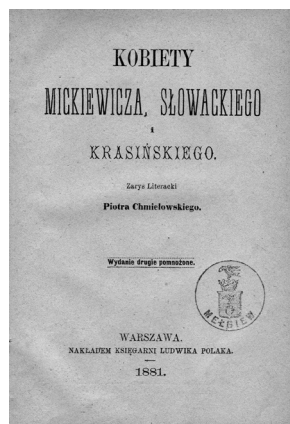


P-03b. Jw. Strona tytułowa z pieczęcią herbową.



P-03c. Jw. Ilustracja do *Hamleta*.





## Q. LITERATURA DZIECIĘCA

WITOLD ZECHENTER

### Bajdy krasnołudkowe

Z 15 ILUSTRACJAMI BARWNYMI



KRAKÓW — 1942

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ S. A. KRZYŻANOWSKI

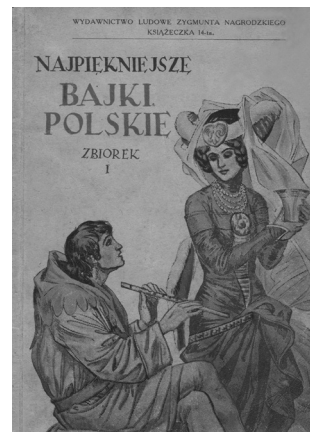


*Niemalo pracy, ale cót znaczy  
zmęczenie, trud,  
gdy ziemia wolała tak jest wesoła,  
gdy wiosny wachdół!*

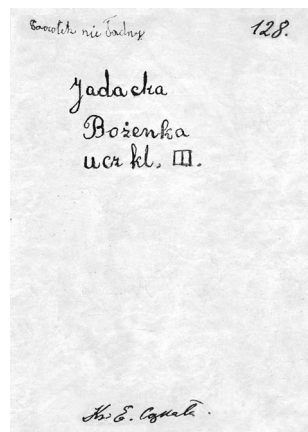
*Dalej, krasnole! pracuj wytrwale  
drutyno ma!  
Wypominasz miłe tej pracy chwile  
w zimowych snach!*

Q-01a. Witold Zechenter:  
*Bajdy krasnołudkowe.*  
Kraków 1942: S.A. Krzyżanowski.  
Strona tytułowa.

Q-01b. Jw. Jedna z ilustracji.



Q-02a. Antoni Józef Gliński:  
*Najpiękniejsze bajki polskie.*  
Wilno 1928. Przednia okładka.



Q-02b. Jw. Autografy  
Bożeny Jadackiej i  
ks. Edwarda Cąkały.

128.

WYDAWNICTWO LUDOWE ZYGMUNTA NAGRODZKIEGO  
KSIĄŻECZKA 14-16

### NAJPIĘKNIEJSZE BAJKI POLSKIE

BAŚNI, POWIEŚCI I GAWĘDY LUDOWE

WYBRANE Z BAJARZA POLSKIEGO

A. J. GLIŃSKIEGO

Zbiorek I.

Wstępował J. Hoppen

(Od 1 do 5000 egz.)

WILNO — 1928

SKŁAD GŁÓWNY U WYDAWCY  
Adres: Zygmunt Nagrodzki, Wilno, ul. Żeremia No. 11a  
(Skład maszyn i narzędzi rolniczych)



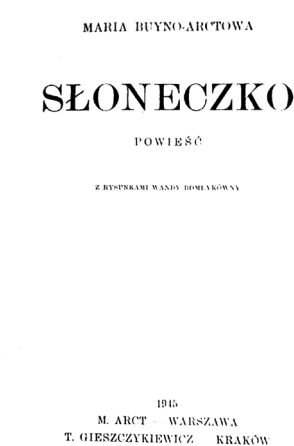
I usiadłszy na srebrnej jabłoni, już ma jabłko złote: z-  
rwać, gdy Jan królewicz ptaka za ogon chwytą.

Q-02c. Jw. Strona tytułowa.

Q-02d. Jw. Ilustracja do bajki  
„O Janie królewiczu, żar-ptaku  
i wilku wiatrolocie”.



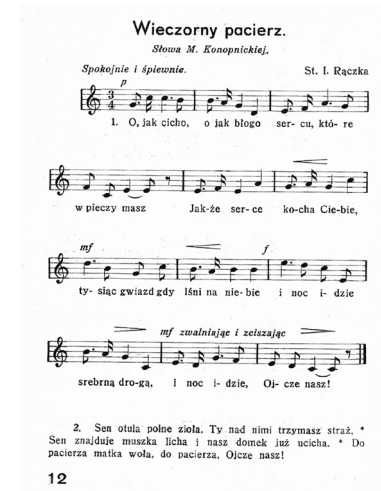
Q-03a. Maria Buyno-Arctowa: *Słoneczko.*  
Warszawa & Kraków:  
M. Arct & T. Gieszczykiewicz.



Q-03b. Jw. Strona tytułowa.



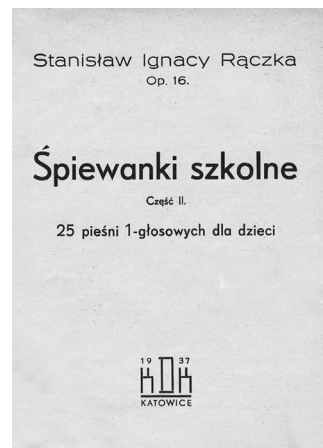
Q-03c. Jw. Dedykacja. Mieczysława Jadackiego dla Bożeny Jadackiej.



Q-04c. Jw. „Wieczorny pacierz” (s. 12).



Q-04a. Stanisław Ignacy Rączka: *Śpiewanki szkolne*. Część II. Katowice 1937. Przednia okładka.



Q-04b. Jw. Strona tytułowa.

## R. OBRAZY



R-01. Guido Reni: *Ecce homo*.



R-02. Pompeo Batoni: *Maria Magdalena pokutująca*.





R-03. Joshua Reynolds:  
*Mały Samuel.*



R-04. Wilhelm von Kaulbach:  
*Placząca Madonna.*



R-05. Heinrich Hofmann:  
*Dwunastoletni Jezus*



R-06. Heinrich Hofmann:  
*Chrystus w Ogrójcu.  
w świątyni.*



R-07. Juliusz Kossak:  
*Farys.*



R-08. Władysław Czachórski:  
*Kwiat wolności.*



R-09. Józef Guranowski:  
*Krajobraz polski.*



R-10. Mieczysław Reyzner:  
*Kobieta.*



R-11. Bronisław Olszewski: *Poranek na stepie.*



R-12. Józef Brandt:  
*Zwiastun zwycięstwa.*



R-13. Paweł Merwart:  
*Potop.*

## S. MEŁGIEW W CZORAJSZĄ (1992)



S-01. Bożena Jadacka przy wjeździe do Mełgwi.



S-02. Kościół św. Wita w Mełgwi.



S-03. Bożena Jadacka przy wejściu  
głównym do kościoła.



S-04. Godło szkoły w Mełgwi.



S-05. Bożena Jadacka  
przy wejściu do szkoły.



## T. MELGIEW DZISIEJSZA (2018-2019)



T-01. Widok na kościół z łąk.



T-02. Fasada kościoła.



T-03. Anioł z bramy.



T-04. Jw.



T-05. Krucyfiks z kruchty.





T-06. Tablica poświęcona ks. Józefowi Żyszkiewiczowi.



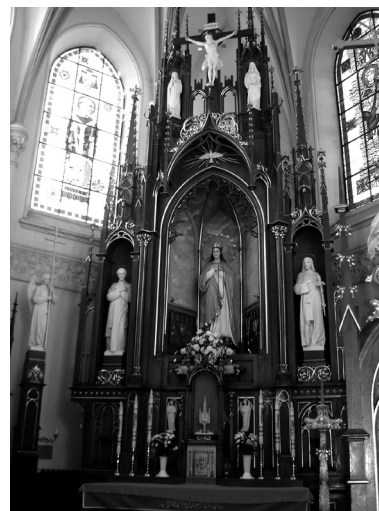
T-07. Tablica poświęcona ks. Wacławowi Zalewskiemu i ks. Edwardowi Cąkał.



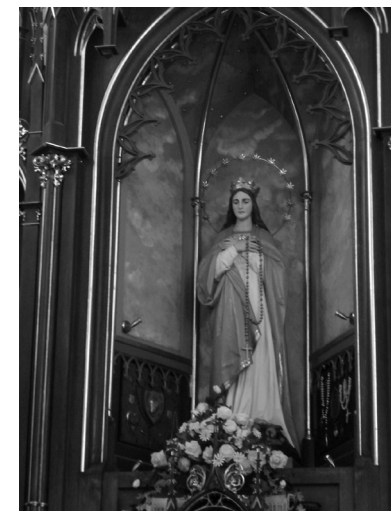
T-08. Wejście główne.



T-09. Nawa główna



T-10. Ołtarz główny.



T-11. Figura Matki Boskiej  
w ołtarzu głównym.

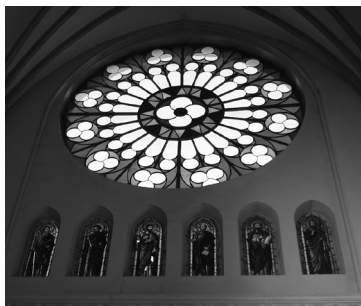


T-12. Figura Chrystusa  
w ołtarzu bocznym.



T-13. Witraż ze św. Witem.





T-14. Rozeta nad prezbiterium.



T-15. Witraże pod rozetą ze świętymi:  
Filipem, Mateuszem i Tadeuszem.



T-16. Ambona.



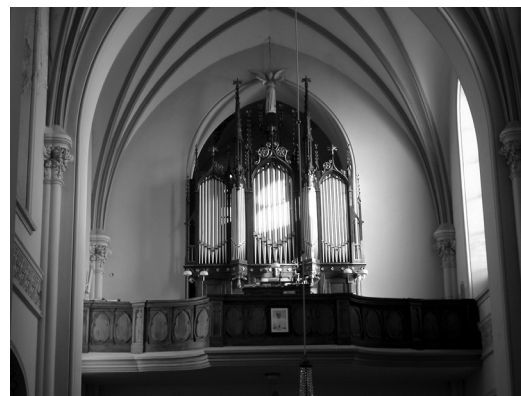
T-17. Konfesjonał I.



T-18. Konfesjonał II.



T-19. Ukryte wejście do podziemi.



T-20. Prospekt organowy.



T-21. Stół gry organów.





T-22. Widok na nawę główną z chóru.



T-23. Wejście na wieżę kościelną.



T-25. Kapliczka św. Nepomucena w parkanie kościelnym.



T-24. Okno podziemi kościoła (zamurowane).



T-26. Figurka św. Jana Nepomucena nad kapliczką.



T-27. Fragment parkanu kościelnego.



T-28. Dom Parafialny. Widok ogólny i fragment dzwonnicy.



T-29. Dom Parafialny.



T-30. Jw. Główne wejście.

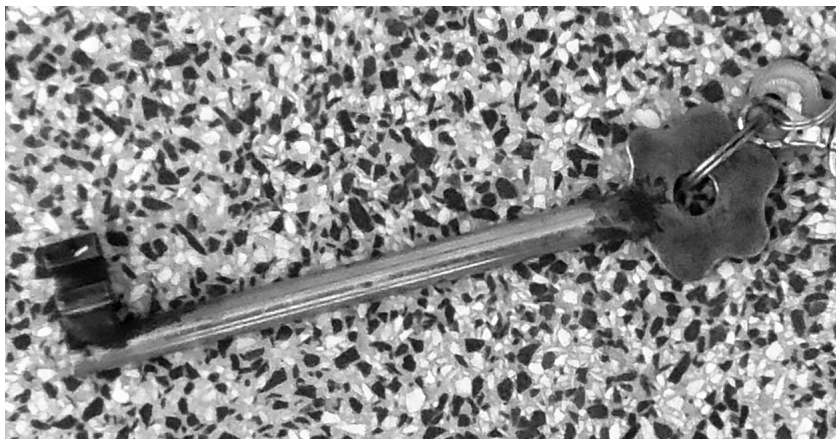


T-31. Jw. Dawne wejście do nieistniejącego sklepu.



T-32. Jw. Szyby od nieistniejącego balkonu mieszkania Jadackich.





T-33 Klucz do mieszkania Jadackich.



T-36. Skrytka w mieszkaniu Jadackich.



T-34. Piec w mieszkaniu.  
Jadackich.



T-35. Okno w mieszkaniu Jadackich  
od strony kościoła.



T-37. Budynek dawnej ochronki (od podwórka).





T-38. Budynek dawnego szpitala.



T-39. Tablica ku czci ks. Józefa Żyszkiewicza.



T-40. Pałac. Fasada północna.



T-41. Pałac. Fasada południowa.



T-44. Aleja parkowa.



T-42. Pałac. Wieża zachodnia.



T-43. Pałac. Wieża wschodnia.



T-45. Brama północna.



T-46. Brama wschodnia.

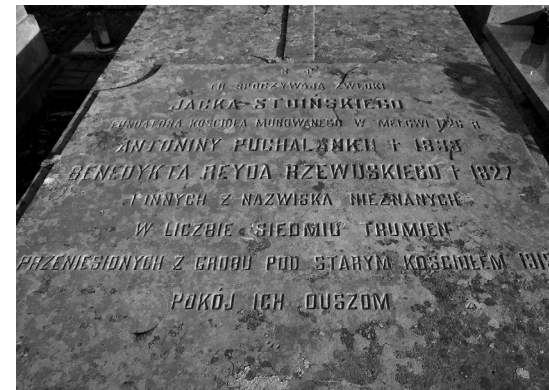


T-47. XVIII-wieczna figura św. Jana Nepomucena przy wjeździe do pałacu.



T-48. Zamek Lubelski.

## U. PAMIĘĆ (2019)



U-01. Płyta na grobie osób przeniesionych w 1919 roku spod starego kościoła na cmentarz parafialny – w tym Jacka Stoińskiego, Antoniny Puchalanki i Benedykta Rzewuskiego.



U-02. Kopiec Powstańców Styczniowych u wjazdu do Mełgwi.





U-03a-b. Nagrobek Jana Zielezińskiego,  
uczestnika Powstania Styczniowego („wypadków 63 roku”).



U-04. Widok na kościół z cmentarza.



U-05. Kaplica cmentarna.



U-06. Szczyt kaplicy cmentarnej.



U-07. Herb Szlubowskich  
(Sawickich?).



U-08. Skrytka w kaplicy cmentarnej.





U-09a. Nagrobek Katarzyny i Tomasza Burdzanowskich.



U-9b. Tomasz Burdzanowski. Fotografia nagrobna.



U-10a. Nagrobek Dreckich.



U-10b. Tablica Józefa Dreckiego.



U-11. Tablica Stefanii, Włodzimierza (seniora), Kazimierza i Włodzimierza (juniora) Dreckich.



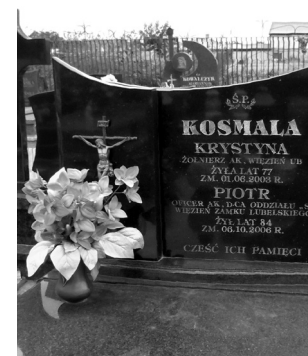
U-12. Tablica Stanisława i Stefana Gumieniaków.



U-13. Tablica Aleksandra Gzika i Marii Biskupskiej



U-14. Tablica Bolesława Gzika.



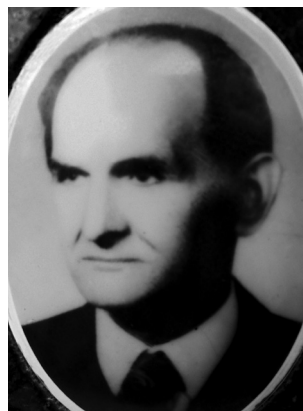
U-15. Nagrobek Krystyny i Piotra Kosmałów.



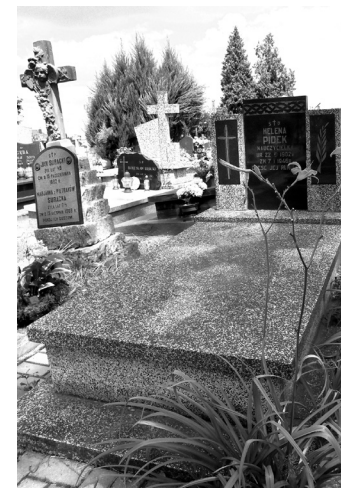
U-16. Nagrobek Heleny i Józefa Kotulskich.



U-17a. Nagrobek Heleny i Antoniego Kulików.



U-17b. Antoni Kulik. Fotografia nagrobna.



U-19. Nagrobek Heleny Pidek.



U-18. Symboliczny grób Dziaków (Antoniego i Wiktorii) i Misztalów (Anny, Ignacego, Stanisława i Zofii).



U-20. Nagrobek Michała Pidka (Lublin).

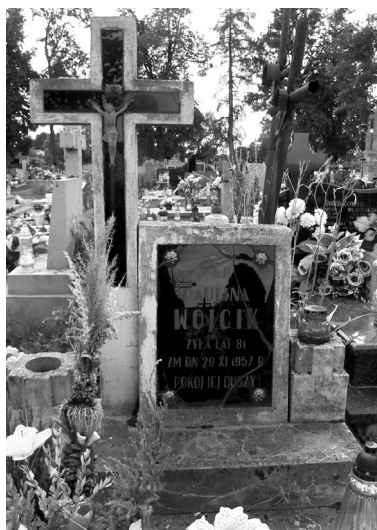




U-21. Nagrobek Władysława i Anna Torójów.



U-22. Nagrobek Witkowskich.  
(Adama, Antoniny, Bolesława, Józefa,  
Władysława (seniora) i Władysława  
(juniora)).

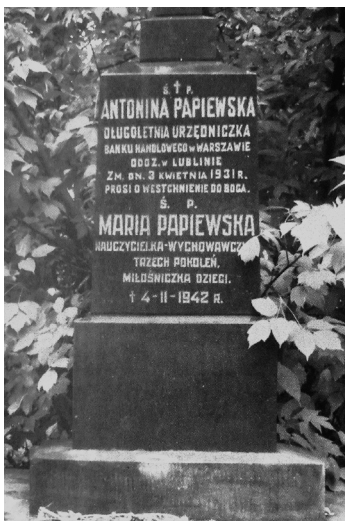


U-23. Nagrobek Pauliny Wójcik.



U-24. Nagrobek ks. ks. Józefa Żyszkiewicza, Wacława Zalewskiego i Edwarda Cąkały.





U-25. Nagrobek Marii Papiewskiej (Lublin).



U-26. Nagrobek dra Mariana Lisowskiego (Lublin).



U-27. Dzwon – wotum dziękczynne – z napisem:  
Imię moje Marya.

Matko Najśw. Błagaj Swego Syna Jezusa Chrystusa o miłosierdzie i opiekę dla całej naszej parafii. Powołały mnie do życia serca całej parafii, wdzięczne za ocalenie w czasie wojny 1939-45, a szczególnie: Kazimierza Opalińskiego, Antoniego Opalińskiego, Józefa Opalińskiego, Jana Gągoła, Mariana (?) Dobrowolskiego z Krępcą, Agnieszki Bochniarzowej i Franciszki Świrkowej. Większą ofiarę złożyła Spółdzielnia w Mełgwi, Minkowicach, Krępcu i Trzeszkowicach. Dzwon fundowany staraniem ks. dr. Wacława Staniszewskiego, proboszcza parafii Mełgiew. R.P. 1946. Z odlewni L. Felsztyński i Ska w Przemyślu.

## SŁOWO KOŃCOWE

### Jaki był bilans II Wojny Światowej w Mełgwi i okolicy?

1. Przede wszystkim okupanci zamordowali wielu Mełgiewian. A oto udokumentowane zbrodnie:

Zaraz po zajęciu Mełgwi – Niemcy zastrzelili Wawrzyńca Wymoczyła (kościelnego). W KL Auschwitz zostali zamordowani: Tomasz Burdzanowski (wójt), ks. Edward Cąkała (wikary), Stanisław Dobrowolski (śpiewak), Stefan Gumieniak (rolnik), Julian Kosmala (rolnik), Kazimierz i Waław Opalińscy (rolnicy z Janowic), Ludwik Rulikowski (ziemianin), Stefan Żmurek (sekretarz gminny) oraz co najmniej pięciu innych Mełgiewian. W KL Majdanek zginął Andrzej Jałowicki (ziemianin). W więzieniu na Zamku Lubelskim stracili życie Stanisław Gumieniak (rolnika) i ks. Waław Zalewski (wikary). We wsi Dominów rozstrzelali co najmniej 6 mieszkańców. Większość z wymienionych – należała do warstwy przywódczej narodu.

Rosjanie zamordowali w Katyniu k. Smoleńska – por. rez. Kazimierza Dreckiego (właściciela Krzesimowa), a w Miednoje k. Tweru – Mieczysława Serwinowskiego (policjanta).

Okupanci odpowiadają też pośrednio za zbrodnie miejscowych bandziorów: z ich rąk zostali zamordowani Leon Błażej (organista), Bolesław Gzik (rolnik) i kpt. dr Marian Lisowski (lekarz). W niejasnych okolicznościach zamordowana została rodzina Dziaków (Antoni i Wiktoria) i Misztalów (Anna, Ignacy, Stanisław i Zofia) z Krzesimowa, pochowana na cmentarzu w Mełgwi; była to podobno czyjaś zemsta za to, że jeden z członków tej rodziny był – jak podejrzewano – niemieckim konfidentem. Gdyby nie okupacja – zapewne do tych zbrodni by nie doszło.

Byli też oczywiście Mełgiewianie polegli w Kampanii Wrześniowej, a nawet – jak Włodzimierz Drecki (syn właściciela Krzesimowa) – w Powstaniu Warszawskim.

2. Okupacja – to były także aresztowania, które szczęśliwie nie kończyły się śmiercią – ale zostawiały niezatarty ślad w psychice więzionych. Z Mełgwi Niemcy uwięzili ponad 100 mężczyzn na Zamku Lubelskim, a z Dominowa – 18 osadzono w więzieniu w Chełmie.

W Dominowie Niemcy spalili co najmniej 6 zabudowań wiejskich.

Okupacja doprowadziła też bezpośrednio lub pośrednio do zrujnowania (Brzezice Scypiów, Janowice Szczepaników, Piaski Orzechowskich (?)) lub zburzenia (Krzesimów Dreckich, Mircze Rulikowskich, Nowy Krępiec Dobrowolskich, Suchodoły i Trawniki Michalskich, Wierzchowiska Koźmianów) dworów w okolicach Mełgwi. Kilkunastokrotnie (!) został splądrowany – przez Rosjan i okolicznych rabusiów – pałac mełgiewski. Chciałoby się powtórzyć za Antonim Urbańskim, który we „Wstępie” do *Podzwonnego na zgliszczach Litwy i Rusi* (1928) pisał:

Dziś w tych dworach światła zgasły, a pozostały tylko rany. Gospodarze odeszli od dworów w dal nieznaną...

3. Najtrwalsze i najstraszliwsze spustoszenie zrobiła wojna w świadomości ludzkiej. U wielu ludzi powstało w czasach wojny przekonanie, utrwalone przez lata indoktrynacji komunistycznej, że wolno a nawet trzeba – odebrać innym ich wieloletni a często i wielowiekowy dorobek. Tę grabież – połączoną nieraz ze zniszczeniem – nazwano jak na ironię „sprawiedliwością dziejową”, a ograbionych poddano represjom – z fizyczną likwidacją włącznie – lub dotkliwymi szykanami skłoniono do emigracji.

Dwory może dałoby się odbudować.

Ale jak przywrócić ludziom właściwą ocenę tego, w czym uczestniczyli – skoro hydrze totalitarnych ideologii wciąż odrastają głowy?

## SPIS MIEJSCOWOŚCI

### A

Adamów k. Łukowa  
Ajaccio  
Aleksandrowo k. Sejn  
Almonte  
Archangielsk  
Augustów  
Auschwitz – zob. Oświęcim

### B

Bachus k. Chełma  
Barczewo (Wartenburg)  
Bazylea  
Barczewo  
Bełżyce  
Berlin  
Beroun  
Białaczew k. Opoczna  
Białowieża  
Białynin k. Sochaczewa  
Białystok  
Biłgoraj  
Bochnia  
Bolonia  
Bonn  
Boston  
Branica Radzyńska  
Brańszczyk k. Wyszkowa  
Brasław

Bratysława  
Braunau am Inn  
Brema  
Brok  
Bronowice (dzielnica Lublina)  
Bruksela  
Brzezice k. Świdnika  
Brzeziny k. Łodzi  
Budapeszt  
Burzenin k. Sieradza  
Bychawa  
Bydgoszcz  
Bystrzejowice k. Świdnika

### C

Chełm  
Chmiel k. Lublina  
Chojnice  
Chomutów  
Christofhammer k. Chomutowa  
Ciechanki Łęczyńskie k. Łęcznej  
Ciechanów  
Cumań k. Kiwerc  
Czarnia k. Myszyńca  
Czeladź k. Będzina  
Czersk  
Częstochowa  
Czernichowce k. Zbaraża  
Czułczyce k. Chełma

### D

Dachau  
Darmstadt  
Dębica  
Dieppe  
Divitz-Spoldershagen k. Stralsundu  
Dobośnia k. Bobrujska  
Dobre Miasto  
Dobrzanów k. Siedlec  
Dominów k. Głuska  
Dorsten  
Drezdenko  
Drezno  
Dub  
Duisburg

### E

Eisleben k. Magdeburga  
Erfurt

### F

Filadelfia  
Florencja  
Frampol k. Biłgoraja  
Friedrichsruh  
Frombork

### G

Garbów k. Lublina  
Gąbin k. Płocka  
Gdańsk  
Genewa  
Germantown k. Filadelfii  
Giełczew k. Lublina  
Giżycko

Gliwice  
Głowno k. Łowicza/Zgierza  
Godziszów k. Janowa Lubelskiego  
Gori  
Gorzów Wielkopolski  
Gotha  
Grajewo  
Grodno  
Grójec  
Gwizdanów k. Lubinia

### H

Hohenheim k. Stuttgartu  
Hołowno k. Parczewa  
Horb am Neckar  
Hrubieszów

### J

Jabłonna k. Lublina  
Jachenau  
Janowice k. Mełgi  
Janów Lubelski  
Jedlanka k. Lubartowa  
Jezioro k. Łomży  
Jezioro k. Równego  
Jędrzejów

### K

Kalinówka k. Skierbieszowa  
Kałów k. Poddębicy  
Kamień Śląski  
Kargowa k. Zielonej Góry  
Karlsruhe  
Katyń k. Smoleńska  
Kawęczyn k. Świdnika



Kazimierz Dolny  
 Kęblów k. Świdnika  
 Kielce  
 Kielczewice k. Strzyżewic  
 Kijów  
 Klimkiewiczów k. Sandomierza  
 Konstantynopol  
 Kosarzew Dolny k. Lublina  
 Kossowice k. Opatowa  
 Kostrogaj k. Płocka  
 Koszalin  
 Kotlice k. Zamościa  
 Kotłas k. Archangielska  
 Koziurny k. Rostowa  
 Kraków  
 Krasnobród k. Zamościa  
 Krasnystaw  
 Kraśnik  
 Krasowo-Częstki k. Szepietowa  
 Krępiec k. Mełgi  
 Krzczonów k. Lublina  
 Krzemieniec  
 Krzesimów k. Świdnika/Mełgi  
 Kumów k. Chełma  
 Kuncowo k. Moskwy  
 Kutno

**L**  
 Lanckorona k. Krakowa  
 Landsberg am Lech k. Monachium  
 Leszkowice k. Lubartowa  
 Limanowa  
 Lipsk  
 Lisów k. Lubartowa  
 Loches

Londyn  
 Longwood na Wyspie Świętej Hele-  
 ny  
 Lozanna  
 Lubartów  
 Lubiel k. Wyszki  
 Lublin  
 Lucca  
 Lubeka  
 Lwów

**Ł**  
 Łączna  
 Łęczyca  
 Łomża  
 Łopienie k. Piekut Nowych  
 Łowicz  
 Łódź  
 Łyse k. Ostrołęki

**M**  
 Madryt  
 Majdanek  
 Manchester  
 Marwanówka k. Chersonia  
 Mejszty k. Braśławia  
 Melbourne  
 Mełgiew  
 Merczowszczyzna k. Brześća  
 Miastkowo k. Łomży  
 Miednoje k. Tweru  
 Mielec  
 Milejów  
 Minkowice k. Lublina  
 Mircze k. Hrubieszowa

Mirogonowice k. Ostrowca Święto-  
 krzyskiego  
 Mława  
 Modzele Stare k. Łomży  
 Mohylew  
 Moskwa  
 Mościska  
 Myszyniec

**N**  
 Neuilly-sur-Seine  
 Nordhausen  
 Norimberga  
 Nowe Brzesko k. Proszowic  
 Nowogródek  
 Nowy Krępiec k. Lublina  
 Nowy Sącz  
 Nowy Targ  
 Nowy Wiśnicz k. Bochni

**O**  
 Oberndorf  
 Odessa  
 Olchowiec k. Lublina  
 Olsztyn  
 Olszyny k. Łomży  
 Opatów  
 Opole Lubelskie  
 Oranienburg  
 Orsay k. Paryża  
 Osjanów k. Wielunia  
 Osowa k. Bychawy  
 Ostrołęka  
 Ostrowiec Świętokrzyski  
 Ostrów Mazowiecka

Oświęcim (Auschwitz)  
 Otwock k. Warszawy

**P**  
 Parczewo  
 Paruska k. Złotowa  
 Paryż  
 Pelkinie  
 Perth  
 Piaski Luterskie k. Świdnika  
 Piątek k. Łęczycy  
 Piekuty Nowe k. Szepietowa  
 Plymouth  
 Płock  
 Poddębice  
 Podzamcze k. Garwolina  
 Podzamcze k. Mełgi  
 Połtawa  
 Poniat k. Łomży  
 Poznań  
 Praga (czeska)  
 Prawda k. Kotlic  
 Prien am Chiemsee  
 Proszowice  
 Puchaczów k. Lublina  
 Puchały k. Łomży  
 Puławy

**R**  
 Rabka  
 Radom  
 Rajgród  
 Ratoszyn k. Opola Lubelskiego  
 Ravensbrück  
 Rejowiec k. Chełma

Richmond  
Röcken k. Weißenfels  
Rosenheim  
Rosochate k. Czyżewa  
Rostow  
Równe  
Ryżawka k. Winnicy  
Rzym

## **S**

Sachsenhausen  
Salzburg  
Sambor  
San Domenico di Fiesole  
Sandomierz  
Sawin k. Chełma  
Schönhausen  
Siedlce  
Siedliszcze k. Chełma  
Siemień k. Parczewa  
Siegburg k. Kolonii  
Skierbieszów k. Zamościa  
Skierniewice  
Skłuty k. Kutna  
Słupsk  
Sobibór  
Sochaczew  
Solura  
Sopot  
Sosnówka k. Mohylewa  
Spiczyn k. Łęcznej  
St. Gallen  
Stara Lubowla  
Stary Zamość k. Zamościa  
Stojańce k. Mościsk

Stratford-upon-Avon  
Strzelce Krajeńskie  
Strzyżewice  
Strzyżów k. Hrubieszowa  
Stuttgart  
Suchodoły k. Kraśnika  
Supraśl  
Surhów k. Krasnegostawu  
Suwałki  
Sylwanowce k. Sopoćkiń  
Szczorse k. Nowogródka  
Sztabin k. Augustowa

## **Ś**

Środa Wielkopolska  
Świdnik k. Lublina

## **T**

Tambow  
Teolin k. Grodna  
Toronto  
Toruń  
Tours  
Trawniki k. Świdnika  
Trzeszkowice k. Świdnika  
Tuczna k. Białej Podlaskiej  
Tuszów k. Jabłonnej  
Tuszów Narodowy k. Mielca  
Twer  
Tynna k. Kamieńca Podolskiego

## **U**

Unia k. Wrześni  
Uppsala  
Urzędów k. Kraśnika

## **V**

Villers-Cotterêts

## **W**

Warszawa  
Wartenburg (Barczewo)  
Waszyngton  
Waśniów k. Ostrowca Świętokrzy-  
skiego  
Wąsosz  
Wąwolnica k. Puław  
Weilheim in Oberbayern k. Mona-  
chium  
Weimer  
Weißenfels  
Wenecja  
Wiedeń  
Wielkie Soroczyńce k. Poławy  
Wierchowiska k. Świdnika  
Wierzchowo k. Drawska  
Wilga k. Warszawy  
Wilmington k. Filadelfii  
Wilno  
Winnica  
Witów k. Burzenina  
Włochy k. Warszawy  
Wojnowice k. Środy Śląskiej  
Wojśławice k. Chełma  
Wola Flaszczyna k. Poddębic  
Wólka k. Czulczyc  
Wrocław  
Września  
Wygoda k. Zambrowa  
Wyspa Świętej Heleny

## **Z**

Zabrzeźnia k. Głowna  
Zadzim k. Poddębic  
Zakrzów k. Łęcznej  
Zambrów  
Zamość  
Zaosie k. Nowogródka  
Zatory k. Pułtusa  
Zawadów k. Łęcznej  
Zawiercie  
Złotów  
Zofiówka k. Łęcznej  
Zułowo k. Święcian

## **Ż**

Żelazowa Wola  
Żmerynka k. Winnicy  
Żółkiew  
Żółkiewka k. Krasnegostawu

## SPIS OSÓB

Spis nie obejmuje imion ewangelicznych, mitycznych i literackich – oraz nazwisk osób wymienionych wyłącznie w podziękowaniach, umieszczonych na końcu „Słowa wstępnego”. Niestety informacje o wielu osobach są niepełne albo jedynie hipotetyczne; w każdym wypadku zaznaczone to zostało za pomocą znaku zapytania (?).

### A

Ajchenbaum, Szmul (1879, Radom – 1944, Radom). Przemysłowiec, właściciel jednej z garbarni w Lublinie.  
Ajchenbaum, Icek Zelik (1908, Radom – 1989/1990, Orsay). Syn Szmula Ajchenbauma.  
Alcott, Louisa May (1834, Germantown – 1888, Boston). Pisarka amerykańska.  
Artwińska, Józefa (? – ?). Zastępczyni kierownika szkoły w Mełgwi (1941). Nauczycielka klas starszych.  
Audler, ks. Kazimierz (? – ?).

### B

Bałaban, Aleksander (1915, Mełgiew? – 1994, Mełgiew). Mełgiewianin.  
Bałabanowa, Antonina (1914, Mełgiew? – 2005, Mełgiew). Mełgiewianka, żona Aleksandra.  
Bałachowicz, Stanisław – zob. Stanisław Bułak-Bałachowicz.  
Batoni, Pompeo (1708, Lucca – 1787, Rzym). Malarz włoski.  
Beethoven, Ludwig van (1770, Bonn – 1827, Wiedeń). Kompozytor niemiecki.  
Berling, Zygmunt (1896, Limanowa – 1980, Warszawa). Dowódca I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i I Armii Wojska Polskiego walczących z Niemcami po stronie Sowietów.  
„Bessy” – zob. Elżbieta Maria Jałowiecka.

Bidzińska, (?) (? – ?). Niania Joanny Ollier. Ok. 1935 roku wstąpiła do zakonu?  
Bilińska, Zofia (1878?, Rużyn – ?). Ciotka Joanny Ollier.  
Bismarck, Otto von (1815, Schönhausen – 1898, Friedrichsruh). Polityk niemiecki.  
Błażej, Leon Jan (1922, Jedlanka – 1947?). Organista w Leszkowicach. Zamordowany w Lesie Leszkowickim.  
Bochniarz(owa), Agnieszka (? – ?). Mełgiewianka.  
Böcklin, Arnold (1827, Bazylea – 1901, San Domenico di Fiesole). Malarz szwajcarski.  
„Bodo” – zob. Bohdan Eugène Junod.  
Bogusz, Henryka (Helena Bohusz?) (? – ?). Nauczycielka matematyki (geografii) w Mełgwi; prowadziła prawdopodobnie harcerstwo i Związek Strzelecki.  
Bohunowska, Helena (? – ?). Nauczycielka mełgiewska. Zginęła w niejasnych okolicznościach.  
Bonaparte, Napoleon (1769, Ajaccio – 1821, Longwood). Polityk i wojskowy. Cesarz Francuzów.  
Borkowski, Julian? (? – ?). Nauczyciel w Szkole Handlowej Męskiej w Lublinie.  
Boznańska, Olga (1865, Kraków – 1940, Paryż). Malarka polska.  
Brygida. Betanka mełgiewska.  
Brzechwa, Jan (1898, Żmerynka – 1966, Warszawa). Pisarz polski.  
Budionny, Siemion (1883, Koziuryn – 1973, Moskwa). Marszałek; dowódca rosyjskiej I Armii Konnej w okresie wojny polsko-bolszewickiej.  
Budzyński, Jan (1886, Lisów – 1961, Wąwolnica). Organista w Mełgwi co najmniej od 1932 do 1937 roku. Najpierw był organistą w kościele św. Agnieszki na Kalinowszczyźnie w Lublinie. Tam też prawdopodobnie przeniósł się w 1937 roku. Kiedy została w Mełgwi z założona Spółdzielnia *Jedność* (1922?), wszedł do jej Zarządu – wraz z Piotrem Kosmałą.  
Bułak-Bałachowicz, Stanisław (1883 Mejszty – 1940, Warszawa). Generał; dowódca Rosyjskiej Ludowej Armii Ochotniczej, która współdziałała z Wojskiem Polskim m.in. w Bitwie Warszawskiej.



Bułhak, Jan (1876, Nowogródek – 1950, Giżycko). Fotografik.  
 Burdzanowska, Katarzyna z d. Torój (1890, ? – 1977, Mełgiew). Żona Tomasza Burdzanowskiego. Więźniarka KL Ravensbrück.  
 Burdzanowski, Roman (1921, Mełgiew? – 1986, Mełgiew). Syn Tomasza Burdzanowskiego.  
 Burdzanowski, Tomasz (1891, Mełgiew – 1941, Oświęcim). Wójt gminy mełgiewskiej. Zamordowany w KL Auschwitz; numer obozowy 14523.  
 Buyno-Arctowa, Maria (1877, Brzeziny k. Łodzi – 1952, Dobrzańów k. Siedlec). Pisarka polska.  
 Bzdyk, (?) (? – ?). Mełgiewianin.

## C

Cajmer, Jan. (1911, Sambor – 1974, Lozanna). Dyrygent.  
 Cąkała, ks. Edward (1910, Adamów – 1941, Oświęcim). Wikariusz mełgiewski od 1934, prefekt szkoły mełgiewskiej. Człowiek skromny i delikatny. Był członkiem AK. Zadenuncjowany i aresztowany w 1940 – został osadzony na Zamku Lubelskim, gdzie poddano go torturom. Podczas przesłuchania – kpiono z niego jako z duchownego. 24 maja 1941 roku został przywieziony wraz z innymi więźniami z Lublina do KL Auschwitz i otrzymał numer obozowy 16227; jest to ostatnia pewna wiadomość o nim; najprawdopodobniej zmarł (zamordowano go?) zaraz potem.  
 Chmielecki, Marian (1924, ? – 1999, Częstochowa?). Mełgiewianin.  
 Chopin, Fryderyk (1810, Żelazowa Wola – 1849, Paryż). Kompozytor i pianista polski.  
 Czartoryska, księżna Elżbieta Maria z d. Radziwiłł (1917, Londyn – 1945, ?). Żona Witolda Czartoryskiego.  
 Czartoryska, księżna Krystyna (1938, Warszawa – 2004, Loches). Córka Witolda Czartoryskiego  
 Czartoryski, książę Albrecht (1939, Wiedeń). Syn Witolda Czartoryskiego.  
 Czartoryski, książę Witold (1908, Pełkinie – 1945, St. Gallen).

## D

Dąbkowski, Leon (1885?, ? – 1941?, ?). Nauczyciel matematyki w Szkole Handlowej Męskiej w Lublinie.  
 Dellmensingen, Erhart Krafft von (1906, Landsberg am Lech – 1990, Weilheim in Oberbayern). Mjr Luftwaffe.  
 Dmowski, Piotr (? – ?). Mełgiewianin, związany ze spółdzielnią *Jedność*.  
 Dobosz, Józef (1908/1898, ? – 1980/1989, Chełm?). Właściciel Lasów Krępieckich.  
 Dobrowolski, Marian (1916, Lublin – 1999, Lublin). Brat Stanisława Dobrowolskiego. Lekarz świdnicki, absolwent medycyny w Uniwersytecie Warszawskim. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Po II Wojnie Światowej należał do grupy osób, które dążyły do wybudowania w Świdniku kościoła; starania te uwieńczone zostały sukcesem dopiero w 1977 (kościół p.w. NMP Matki Kościoła). Należał do aktywnych działaczy *Solidarności*.  
 Dobrowolski, Stanisław (1919, Lublin – 1942, Oświęcim). Mieszkał w rodzinnym majątku w kolonii Nowy Krępiec (obecnie Świdnik). W czasie II Wojny Światowej działał w podziemiu. Aresztowany – zginął w KL Auschwitz. Numer obozowy: 16061.  
 Domnick, Paul Peter (1895, Wartenburg – ?). SS-Obersturmführer. Członek NSDAP. Komendant niemieckiego więzienia na Zamku Lubelskim (1939-1944). Przeżył wojnę.  
 Drecka, Anna Maria z d. Wichlińska (1903, Tuczo – 1984, Warszawa). Żona Kazimierza, córka Lucjana Wichlińskiego.  
 Drecka, Krystyna (ps. „Iza”) (1926, Tuczo – 2007, Warszawa). Córka Kazimierza Dreckiego, sanitariuszka Powstania Warszawskiego.  
 Drecki, Kazimierz (1895, Zofiówka – 1940, Katyń). Ostatni właściciel Krzesimowa. Podobnie jak Zygmunt Rulikowski ofiarował dużą kwotę na budowę nowego kościoła w Mełgwi i miał w nim ławkę kolatorską. Legionista, brał udział w wojnie 1920 roku z bolszewikami i w II Wojnie Światowej. Zamordowany w Katyniu.  
 Drecki, Włodzimierz (ps. „Kawka”) (1927, Poznań – 1944, Warszawa). Syn Kazimierza Dreckiego. Zginął jako starszy strzelec podchorąży w Powstaniu Warszawskim.

Dumas, Aleksander (1802, Villers-Cotterêts – 1879, Dieppe). Powieściopisarz francuski.  
 „Dusia” – zob. hr. Aleksandra Komorowska.  
 Dziak, Antoni (1922, Krzesimów? – 1944, Krzesimów). Zamordowany w niejasnych okolicznościach.  
 Dziak, Wiktoria (1926, Krzesimów? – 1944, Krzesimów). Zamordowana w niejasnych okolicznościach.  
 Dżugaszwili, Józef („Stalin”) (1878, Gori – 1953, Kunczewo). Dyktator komunistyczny.

## F

Fabian, Andrzej (1868, ? – 1959, Mełgiew). Mełgiewianin.  
 Fabian, Janina z d. Burdzanowska (1926, Mełgiew – 2017, Mełgiew).  
 Cóрка Tomasza Burdzanowskiego, żona Juliana Fabiana.  
 Fabian, Julian (1920, ? – 2016, Mełgiew). Syn Andrzeja Fabiana.  
 Fijałkowska, Magda(lena) (1928, Skłóty – 1996, Gliwice). Cóрка Mieczysława Fijałkowskiego.  
 Fijałkowska, Celina z d. Dangel (1889, Skłóty – 1962, Gliwice). Właścicielka Skłót k. Kutna. Wypędzona przez Niemców z rodzinnego majątku – odebranego jej przez reżim komunistyczny po II Wojnie Światowej. Żona Mieczysława Fijałkowskiego. Ziemianka i poetka; autorka m.in. tomików: *Poezje* (1918) oraz *Godziny i lata* (1995).  
 Fijałkowski, Mieczysław (1888, Kossowice – 1972, Gliwice). Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, polityk (członek Narodowej Demokracji, poseł przez dwie kadencje Sejmu RP 1928-1935). W 1941 – więziony na Pawiaku w Warszawie. Autor: komedii *Gorąca krew* (1918), *Pan Posel* (1919), *Czarodziejka* (1920), *Wierna kochanka* (1921), *Drugi mąż* (1922), *Rycerz Antychrysta* (1923), *Albatros* (1926), *Miłość czy pięść* (1930), *Sprawa honorowa* (1932), *Trzecia miłość* (1938), *Człowiek leśny* (1945), *Wielka gra* (1945), *Serce gromady* (1946), *Wyspa odmiany* (ok. 1960), *Odzyskany skarb* (ok. 1960) i *Monstrum* (1965); tomów opowiadań *Dzieło Piotra Chlebnego* (1938) i *Las* (1966); wreszcie tomu wspomnień *Uśmiechy lat minionych* (1962).

Filipeczak, Maria (? – ?). Mełgiewianka.  
 Finot, (?) (? – ?). Francuski inżynier budowy samolotów; w czasie II Wojny Światowej pracował w Lubelskiej Wytwórni Samolotów.  
 Fleck, (?) (? – ?). Zastępca kreisländwirta (?) Trauego.  
 Frank, Hans (1900, Karlsruhe – 1946, Norimberga). W latach 1939-1945 – generalny gubernator dla okupowanych ziem polskich.  
 Frenkiel, Krystyna – zob. Krystyna Modrzewska.

## G

Gaj, Icek (? – ?). Szewc mełgiewski.  
 Gajewska, Zofia? z d. Kawecka? (1910?, ? – 1988?, Lublin?). Nauczycielka lubelska.  
 Gągoł (Gongoł?), Jan (1910?, ? – ?). Mełgiewianin.  
 Gieburowski, ks. Wacław (1878, Bydgoszcz – 1943, Warszawa). Dyrygent, kompozytor i muzykolog.  
 Gliński, Antoni Józef (1817, Szczorse – 1866, Wilno). Bajkopisarz.  
 Göring, Herman (1893, Rosenheim – 1946, Norimberga). Działacz nazistowski. W latach 1935-1945 dowódca Luftwaffe.  
 Gogol, Nikołaj (1809, Wielkie Soroczyńce – 1852, Moskwa). Pisarz rosyjski.  
 Golon(ówna), Zofia (1916, Mełgiew – 2005, Mełgiew). Mełgiewianka.  
 Gorczyca, Jan (1942, Aleksandrowo – 2008, Białystok). Akordeonista i pedagog. W latach 1969-1972 studiował grę akordeonową u Włodzimierza Lecha Puchnowskiego w PWSM w Warszawie.  
 Gorlińska, Władysława z d. Szacun (1920, Chmiel – 2013, Lublin). Żona Józefa.  
 Gorliński, Józef (1911, Kielczewice – 1974, Lublin). Organista. Ukończył Szkołę Muzyczno-Organistowską w Lublinie. Był organistą kolejno w Godziszowie, Sawinie (w okresie II Wojny Światowej), Puchaczowie (1946) i Mełgwi (1946-1973).  
 Góra, Franciszek (1856, Zakrzów – 1923, Lublin).  
 Góra, Marcella z Chorosiewiczów [Horosiewiczów] (1867, Wólka – ?, ?). Żona Franciszka Góry.  
 Górniewicz, Czesław (1923, Żółkiew – 1984, Gdańsk). Lekarz weterynarii. W latach 1941-1944 był więźniem Zamku Lubelskiego.

Grohman vel Grohmanówna, Anna (1896, Supraśl – 1949, Otwock). Kierowniczka Dwuletnich Kursów Gospodarstwa Domowego ss. ukrytek w Warszawie (ul. Sewerynow 8).

Groeben, Karl von (1902, Divitz-Spoldershagen – 1989, Lubeka). Doktor prawa. W czasie II Wojny Światowej, landrat mławski a następnie łomżyński.

Grzegorzczak, Władysława – zob. Władysława Kręglińska.

Grzymałowski, Olgierd (1899, Odessa – 1940, Katyń). Pisarz polski.

Gugała, Józef (1903, ? – ?). Kowal mełgiewski. Ukończył w 1936 kurs kucia koni zorganizowany przez Izbę Rzemieślniczą w Lublinie.

Gugała, Marianna z d. Kosmala (1909, Mełgiew – ?). Żona Józefa Gugały.

Gumieniak, Jan (1901?, Mokre-Lipie? – 1943?, Majdanek?). Zginął w KL Majdanek (numer obozowy 9170).

Gumieniak, Stanisław (1920, Mełgiew – 1944, Lublin). Syn Jana; matka była właścicielką szynku w Mełgwi. W 1941 wywieziony do KL Auschwitz, skąd został wykupiony przez zamożną matkę. W 1944 roku osadzony w więzieniu na Zamku Lubelskim, został tam rozstrzelany.

Gumieniak, Stefan (1918, Mełgiew – 1941, Oświęcim). Syn Jana? Rzeźnik. Zginął w KL Auschwitz (numer obozowy: 16416).

Gumieniak, Katarzyna z d. Michalczuk (1887, ? – 1960, Mełgiew). Żona Jana Gumieniaka? Właścicielka szynku w Mełgwi. Więźniarka KL Ravensbrück.

Gzik, Bolesław (1903, Mełgiew – 1945, Mełgiew). Zamordowany w nieznanymi okolicznościami po pierwszym powojennym Świącie Matki Boskiej Zielnej.

## H

Halardzińska-Kruczek, Walentyna (? – 1986, Słupsk). Nauczycielka języka polskiego i „matematyki z geometrią” w czasie II Wojny Światowej. Po wojnie była wicedyrektorem Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Słupsku.

Hans. Żandarm niemiecki ze Świdnika.

Hartwig, Edward (1909, Moskwa – 2003, Warszawa). Fotografik, s. Ludwika.

Hartwig, Ludwik (1883, Kijów – 1975, Lublin). Fotografik lubelski.

Hitler, Adolf (1889, Braunau am Inn – 1945, Berlin). Polityk niemiecki, pochodzenia austriackiego; dyktator III Rzeszy Niemieckiej.

Höhne, Otto (1895, Wojnowice – 1969, Jachenau). Ppłk. (Oberstleutnant), głównodowodzący (Geschwaderkommodore) pułku Luftwaffe z lotniska w Świdniku.

Hofmann, Heinrich (1824, Darmstadt – 1911, Drezno). Malarz niemiecki.

## I

Ignac. Wychowanek ochronki mełgiewskiej.  
„Iza” – zob. Krystyna Drecka.

## J

Jacek Odrowąż – zob. Odrowąż, św. Jacek

Jadacka, Anna z d. Modzelewska (1913, Modzele Stare – 2002, Białystok). Żona Antoniego Jadackiego (jra). Pochodziła ze starego mazowieckiego rodu szlacheckiego herbu Syrokomla; od 1402 roku z nadania księcia Janusza I Starszego gniazdem rodzowym były Modzele Stare. Dzieciństwo spędziła w Sylwanowcach (1920-1929) u proboszcza, brata ciotecznego, ks. Rocha Modzelewskiego. Kształciła się w Gimnazjum Żeńskim im. Emilii Plater w Grodnie (1923-1927) i w Gimnazjum im. M. Konopnickiej w Łomży (1927-1929). W czasie nauki działała aktywnie w ZHP jako zastępowa i przyboczna drużynowej. Towarzyszyła ks. Modzelewskiemu na probostwie w Łysych (1929-1933). W tym czasie odbyła Dwuletnie Kursy Gospodarstwa Domowego w Warszawie „dla pań z dobrego domu” (1931-1933), kierowane przez Annę Grohmanównę. Następnie przeniosła się wraz z ks. Modzelewskim do Piekut Nowych (1933-1936), po czym wróciła na krótko do rodzinnych Modzel Starych. W latach 1934-1937 prowadziła kursy kulinarne – m.in. w Sztabinie, Teolinie i Augustowie – pod auspicjami Zrzeszenia Patronatów Młodzieży i Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej w Łomży. Potem poświęciła się całkowicie prowadzeniu domu.



Jadacka, Honorata Zyta z d. Modzelewska (1922, Modzele Stare – 1998, Wygoda). Żona Mieczysława Jadackiego.

Jadacka, Eugenia Kunegunda (1912, Czarnia – 1943, Krasowo-Częstki). Córką Antoniego Jadackiego (seniora). Kształciła się w Ostrowi Mazowieckiej; pobierała lekcje gry skrzypcowej u Antoniego Jadackiego (jra).

Jadacka, Waleria z d. Pyszna (1881, Myszyniec – 1936, Ostrow Mazowiecka). Żona Antoniego Jadackiego (seniora). Kurpianka. W latach 1900?-1902? przebywała na emigracji zarobkowej w USA.

Jadacka, Zofia Barbara z d. Kosmala (1919, Mełgiew – 2013, Łomża). Mełgiewianka. Żona Zygmunta Jadackiego.

Jadacka-Józków, Bożena Lidia (ur. 1938, Lublin). Córką Antoniego Jadackiego (jra). Kształciła się w Liceum Ogólnokształcącym w Grajewie (1952-1956) i w Państwowej Średniej Szkole Muzycznej – najpierw w Olsztynie (1960-1962), a następnie w Koszalinie (1962-1964) – oraz w Studium Nauczycielskim w Olsztynie (1959-1960). Uzupełniała wykształcenie w Instytucie Kształcenia Nauczycieli w Warszawie (1979-1981). Pracowała – głównie jako nauczycielka gry wiolonczelowej i teorii muzyki w szkołach muzycznych (i w przedszkolach) w Olsztynie, Koszalinie, Łomży i w Białymstoku. Po ojcu odziedziczyła zdolności malarskie, które wykorzystuje w praktyce dydaktycznej.

Jadacki, Antoni (senior) (1885, Zatory – 1958, Drezdenko). Kształcił się w zawodzie organisty u Jana Wieliszewskiego w Zatorach (1901-1904). Następnie pełnił funkcję pomocnika organisty w Goworowie (1905-1906) i był kolejno organistą w Czarni (1907-1914), Lubielu (1914-1915), Broku (1915-1928) i Brańszczyku (1928-1933). W 1933 roku – z powodu postępującej głuchoty – przeszedł na emeryturę i wyjechał do Ostrowi Mazowieckiej.

Jadacki, Antoni Zygmunt (jr) (1909, Czarnia – 1993, Białystok). Syn Antoniego Jadackiego (seniora). Uczył się w Gimnazjum Humanistycznym w Ostrowi Mazowieckiej (1922-1929), a następnie (1929-1933) odbył studia w Wyższej Szkole Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie u Jana Łysakowskiego (organy) i Tomasza Wiechowskiego (dyrygentura). Uzupełniał wykształcenie muzyczne

we Wszechnicy Muzycznej Białostockiego Towarzystwa Muzycznego (1966-1971) w zakresie gry akordeonowej u Jana Gorczycy. W latach 1933-1935 prowadził chór Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej w Ostrowi Mazowieckiej; następnie był organistą kolejno w Piekutach Nowych (1935-1937), Mełgwi (1937-1946), Puchaczowie (1946-1949) i Rajgrodzie (1949-1957). W latach 1957-1968 był nauczycielem muzyki w Liceum Pedagogicznym w Augustowie, a w latach 1968-1972 – w Liceum Ogólnokształcącym w Zambrowie. Poza muzyką uprawiał malarstwo i fotografię (w 1978 roku został Honorowym Współzałożycielem Muzeum Historii Fotografii w Krakowie). W 1993 roku, tuż przed śmiercią, otrzymał krzyż kawalerski *Polonia Restituta*.

Jadacki, Marek (1943, Mełgiew – 2015, Dobre Miasto). Syn Mieczysława Jadackiego. Uczył się najpierw w Liceum Ogólnokształcącym w Łomży (1956/1957), w Technikum Leśnym w Białowieży (1957-1960), a następnie w Liceum Pedagogicznym w Łomży (1960-1962). Pracował początkowo jako nauczyciel; później prowadził własne gospodarstwo rolne.

Jadacki, Mieczysław (1914, Lubiel – 1997, Wygoda). Syn Antoniego Jadackiego (seniora). W 1937 roku ukończył Gimnazjum w Ostrowi Mazowieckiej, a w 1938 – Kurs Podchorążych Rezerwy w Dęblinie w stopniu kaprała. Następnie wstąpił do Pedagogium Lubelskiego, ale z powodu wybuchu II Wojny Światowej musiał przerwać studia. Brał udział w Kampanii Wrześniowej 1939 roku; wzięty do niewoli – uciekł z obozu w Częstochowie. Po wojnie pracował w szkołach podstawowych białostockizny: najpierw jako nauczyciel w Wygodzie (1945-1948), a później jako kierownik szkół w Puchałach (1948-1949), Miastkowie (1949-1953), Olszynach (1953-1961), Jeziorku (1961-1964) i Poniacie (1964-1975).

Jadacki, Zygmunt (1916, Brok – 2010, Łomża). Syn Antoniego Jadackiego (seniora). Był organistą w Czarni (1945-1951) i Wąsosz (1952-1979). Potem osiedlił się z rodziną w Łomży.

Jałowiecka, Elżbieta Maria („Bessy”) (1935, Poznań – ?). Córką Andrzeja Jałowieckiego.

Jałowiecka, Konstancja z d. Zabłocka (1908, ? – 1981, Sopot). Żona Andrzeja Jałowieckiego. Ciotka Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Jałowiecki, Andrzej (1911, ? – 1943, Majdanek). Ekonomista i publicysta. W okresie II Wojny Światowej – dyrektor Rady Głównej Opiekuńczej. W 1942 – uwięziony na Pawiaku, a następnie odtransportowany do KL Majdanek i tam zamordowany.

Jałowiecki, Michał (1937, ? – 2019, Perth). Syn Andrzeja Jałowieckiego. Absolwent Politechniki Gdańskiej. Od początku lat 80. Mieszkał w Perth (Australia). Opublikował m.in. trylogię wspomnieniową: *Na skraju imperium*, *Wolne Miasto*, *Requiem dla ziemiaństwa* – a także *Bardovsky*.

Janek. Służący w pałacu mełgiewskim.

Janusz I Starszy (ok. 1346, ? – 1429, Czersk). Książę mazowiecki.

Jasiek. Wychowanek ochronki mełgiewskiej.

„Jastrząb” – zob. Leon Taraszkiewicz.

Jędrejek, ks. Aleksander (1909, Garbów – ?). Pełnił funkcję wikariusza w Siedliszczu (od 1937) i w Mełgwi (do 1944). W latach 1944–1946 był proboszczem parafii w Olchowcu, a w latach 1946–1950 – parafii w Kalinówce. Dalsze jego losy nie są znane.

Józia. Służąca w pałacu mełgiewskim.

Józków, Małgorzata Maria (ur. 1964, Koszalin). Córką Bożeny Jadackiej-Józków. Sudiowała w Akademii Muzycznej w Łodzi (1985–1990). Uzupełniała studia w *Mozarteum* w Salzburgu (1991–1995). Jest koncertującą wiolonczelistką; od 1997 roku pracuje w Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku. Ma na swoim koncie wiele nagrań CD.

Julia. Betanka mełgiewska.

„Julia” – zob. Jadwiga Rulikowska.

Junod, Bohdan Eugène („Bodo”) (1899, Genewa – 1943, Kotłas). Aktor polski.

Juszczakowska, Halina (1917, Lublin – 2004, Warszawa). W 1953 roku aresztowana przez reżim komunistyczny za działalność niepodległościową i skazana na 8 lat więzienia. Bibliolog i historyk literatury, romanistka, pracownik BUW. Pochowana na Cmentarzu Wojskowym.

## K

Kaczyński, Władysław (1899, Krasowo-Częstki – 1943, Krasowo-Częstki). Mieszkaniec Krasowa-Częstek.

Kaliszczak, Mirosława Róża z d. Jadacka (1938, Ostrów Mazowiecka – 1989, Strzelce Krajeńskie). Córką Ireny Jadackiej. Ukończyła Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli w Białymstoku (1955) i studia magisterskie w zakresie pedagogiki przedszkolnej w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gorzowie Wielkopolskim (1977). Kierowała przedszkolami w Strzelcach Krajeńskich.

Kalużyński, Jan (1843, Lublin – 1908, Warszawa). Organista katedralny w Warszawie.

„Kasia” – zob. Katarzyna Opalińska.

„Kawka” – zob. Włodzimierz Drecki.

Kimaczyński, ks. Antoni (1889, Krasnobród – 1945, Krzczonów). Wyświęcony na księdza w 1912. W latach 1928–1943 był proboszczem tarnogrodzkim. W czasie II Wojny Światowej ukrywał się w różnych miejscowościach Lubelszczyzny, m.in. w Biłgoraju i w Mełgwi.

Komorowska, hr. Aleksandra („Dusia”) (1896, ? – 1962, Łódź). Właścicielka majątku Zabrzeźnia k. Głowna. Ciotka Joanny Clifford. Po odebraniu jej majątku przez reżim komunistyczny – przeniosła się do Łodzi, gdzie mieszkała do śmierci. Pochowana została w grobie rodzinnym na cmentarzu w Głownie.

Konopnicka, Maria (1842, Suwałki – 1910, Lwów). Pisarka polska.

Kopernik, Mikołaj (1473, Toruń – 1543, Frombork). Astronom polski.

Kosmala, Jan (? – 1939?, Mełgiew). Mełgiewianin.

Kosmala, Julian (1906, Mełgiew – 1944, Oświęcim). Uwięziony w KL Auschwitz w 1941; zginął tam 3 lata później. Numer obozowy 16012.

Kosmala, Leopold (? – ok. 1943, ?). Mełgiewianin.

Kosmala, Piotr (senior) (1881, Mełgiew – 1982, Mełgiew). Mełgiewianin. Pełnił m.in. funkcję przewodniczącego Rady Parafialnej.

Kosmala, Piotr (jr) (1922, Mełgiew – 2006, Mełgiew). Syn Piotra Kosmali (seniora). Partyzant AK, ps. „Kret”; dowódca oddziału „S”. Więzień Zamku Lubelskiego.

Kossak, Juliusz (1824, Nowy Wiśnicz – 1899, Kraków). Malarz polski.  
 Koszowski, Stanisław (1888, Giełczew – 1970, Lublin). Organista i kompozytor lubelski. Wykładowca Szkoły Muzyczno-Organistowskiej w Lublinie prowadzonej w latach 1930-1938 przez Zgromadzenie Misjonarzy Kresowych.  
 Kościuszko, Tadeusz (1746, Mereczowszczyzna – 1817, Solura). Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej podczas Powstania 1794 roku.  
 Kotulska, Helena (1907, Mełgiew – 1980, Mełgiew). Żona Józefa.  
 Kotulski, Józef (1906, Mełgiew – 1989, Mełgiew). Dekarz; gospodarz spółdzielni Jedność w Mełgwi.  
 Kowalczevska, Regina z hr. Dąbskich (1873, ? – 1955, ?). Dziedziczka Woli Flaszczyniej.  
 Kowalczewski, Ludwik (1866, Jędrzejów – 1954, Zadzim). Mąż hr. Reginy Dąbskiej. Pracował w Szkole Handlowej w Tomaszowie Rawskim (1903-1908), a następnie był dyrektorem Szkoły Handlowej Męskiej w Lublinie (1908-1935). Nauczyciel przyrodoznawstwa.  
 Kowalczyk, (?) (? – ok. 1943?, Mełgiew). Niezidentyfikowany konfident niemiecki.  
 Kowalczyk, Stanisław? (1914, ? – 1986, Mełgiew?). Mełgiewianin. Kamieniarz; autor wielu nagrobków na cmentarzu w Mełgwi.  
 Kowalska, Irena Maria z Jadackich (1911, Czarnia – 1990, Strzelce Krajeńskie). Córka Antoniego (seniora).  
 Koźmian, Jan (1896, ? – 1975, Warszawa?). Właściciel Wierzchowisk. Pochowany w Mełgwi; potem zwłoki przeniesiono do Wierzchowisk.  
 Koźmianowa, Liliana z d. Tkaczyk (? – ?). Śpiewaczka. Żona Jana Koźmiana.  
 Kraszewski, Józef Ignacy (1812, Warszawa – 1887, Genewa). Pisarz. „Kret” – zob. Piotr Kosmala (jr).  
 Kręglińska, Władysława z d. Grzegorzczak (1912, Mełgiew – 1998, Mełgiew). Mełgiewianka.  
 Krzyż(owa), Barbara z d. Pidek (1928, Bychawa). Córka Michała Pidka. Ukończyła UMCS (1951), gdzie też uzyskała doktorat z matematyki (1962). Jeszcze jako studentka została zatrudniona w tej

uczelni (1948); w latach 1969-1981 była prodziekanem Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii. Przeszła na emeryturę w 1994 na stanowisku docenta.

Krzyżanowski, Julian (1892, Stojanów – 1976, Warszawa). Historyk literatury polskiej. Nauczyciel języka polskiego w Szkole Handlowej Męskiej (od 1921), a później w Gimnazjum Żeńskiego w Lublinie.

Kuczyński, Alojzy (? – ?). Inż. mechanik. Prezes Rady Opiekuńczej (1918-...1923...) Szkoły Handlowej Męskiej w Lublinie.

Kulik, Antoni (1917, Mełgiew – 1995, Mełgiew). Kościelny w Mełgwi.

Kulikowa, Helena (1920, Mełgiew? – 2008, Mełgiew). Żona Antoniego Kulika.

## L

Lambertini, Imelda (ok. 1320, Bolonia – 1333, Bolonia). Dominikanka włoska.

Łaskiewicz, Teofil (1869, Skierniewice – 1925, Lublin). Inżynier; współwłaściciel „Zakładów Mechanicznych E. Plage i T. Łaskiewicz”).

Lebioda, Jan (1911, Osjaków – 1992, Ostrów Mazowiecka). Kształcił się w Wyższej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie?. Najpierw był organistą w Myszyńcu; w latach 1952-1985 – w Ostrowi Mazowieckiej.

„Lilisia” – zob. ks. Leonia Lubomirska.

„Lilka” – zob. ? Martyńska.

Linke, Richard (1909, Gwizdanów – 1995, Siegburg). Kpt. (Hauptmann) Luftwaffe.

Lisowska, Anna (1931, Lublin). Jedna z córek-bliźniaczek Mariana Lisowskiego, siostra Mirosławy Świeczko. Pracowała do emerytury jako urzędniczka.

Lisowska, Elżbieta z d. Lubicka (1872, Lublin – ?, Kielce). Żona Juliana Lisowskiego.

Lisowska, Wanda z d. Góra (1902, Surhów – 1977, Nowy Sącz). Córka Franciszka Góry. Żona Mariana Lisowskiego. Nauczycielka; władała – poza polskim – m.in. językami greckim oraz francuskim,



niemieckim i rosyjskim. W 1946 wyjechała do Kielc, gdzie do 1964 prowadziła prywatną wypożyczalnię książek *Alfa* (przy ul. Dużej 15), której przedtem właścicielkami były: jej szwagierka Stefania Sobańska i matka – Elżbieta Lisowska. Potem zamieszkała z córkami w Nowym Sączu.

Lisowski, Julian (1874, Skierbieszów – Lublin, 1939). Rzeźbiarz lubelski. Nagrodzony srebrnym medalem na Wystawie Higienicznej w Lublinie, w 1908 roku. W 1939 miał pracownię przy ul. Bernardyńskiej 14. Ok. 1913 wykonał sztukaterię w kościele w Różance. W 1936 – jeden z założycieli Związku Artystów Plastyków w Lublinie. Zamordowany przez Niemców na Zamku Lubelskim.

Lisowski, Marian (1904, Lublin – 1944, Mełgiew). Syn Juliana Lisowskiego. W 1923 ukończył Szkołę Handlową (Męską) Zgromadzenia Kupców w Lublinie i wstąpił na Wydział Lekarski UW. Dyplom dra w.n.l. otrzymał w 1929. Po studiach rozpoczął pracę w Czeladzi, ale wkrótce wrócił do Lublina, gdzie został ordynatorem Szpitala Dzieciątka Jezus; pracował również w lubelskiej filii Państwowego Zakładu Higieny (ok. 1936) i Szpitalu Powszechnym św. Jadwigi w Hrubieszowie (ok. 1938). Po Kampanii Wrześniowej, w październiku 1939 – został zatrudniony jako lekarz w Rejonowym Ośrodku Zdrowia w Mełgwi. Będąc lekarzem wojskowym wchodził kolejno w skład kadry: jako ppor. rezerwy 6 Batalionu Sanitarnego WP (we Lwowie?), 2 Batalionu Sanitarnego WP w Lublinie i lekarz filii II Szpitala Okręgowego WP w Lublinie (od 1926); jako ppor. służby czynnej VIII Pułku Piechoty Legionów w Lublinie (od 1934); jako kpt. służby czynnej II Pułku Strzelców Konnych Ziemi Hrubieszowskiej, wchodzącego w skład Wołyńskiej Brygady Kawalerii (od 1939). Został zamordowany przez nieznaną sprawcę (według określenia aktu zgonu: „przez bandy”): otrzymał dwie śmiertelne rany postrzałowe w głowę. Pochowany w Lublinie na cmentarzu przy u. Lipowej (kwartał 29, rząd XXIV, nr 25).

Lubomirska, Leonia („Lilisia”) (1890, Kraków – 1978, Kraków). Księżniczka.

Ludwika. Betanka mełgiewska.

Ludwiński, Stanisław (1902?, ? – ?). W latach 1920-1923 w Wojsku

Polskim. Zastępca sekretarza gminy Mełgiew. Więziony i maltretowany przez Niemców na Zamku Lubelskim.

## L

Łanczont, Jan Michał Cyryl (1890/1891, Lwów – 1976, Lublin). Szofer pp. Rulikowskich z Mełgwi.

Łopuszańska, Halina Emilia z d. Pidek (1925, Bychawa – 1998, Wrocław). Córka Heleny i Michała Pidków. Zdała maturę przed podziemną Komisją Kwalifikacyjną (1943). Studiowała najpierw w UMCS; potem (1948) przeniosła się do UJ, gdzie się doktoryzowała (1951). Od 1954 pracowała w Politechnice Wrocławskiej – najpierw na stanowisku docenta, a następnie profesora; była działaczką Solidarności Walczącej.

Łysakowski, Jan (1867, Tynna – 1937, Warszawa). Organista i kompozytor. Uczeń Jana Kałużyńskiego (organy) i Zygmunta Noskowskiego (dyrygentura).

## M

Maczuła, Józef (Osip) (ok. 1880, Tambow? – ?). Księgowy u pp. Rulikowskich z Mełgwi. Rosjanin.

Majewska, Stanisława (? – ?). Mełgiewianka.

Makowski, Tadeusz (1882, Oświęcim – 1932, Paryż). Malarz polski.

Makowski, Władysław (? – ?). Mełgiewianin.

Malanowski, Stanisław (Wacław?) (? – ?). Zastępca notariusza Mieczysława Zielińskiego.

Malczewski, Jacek (1854, Radom – 1929, Kraków). Malarz polski.

Mandelbaum, Krystyna – zob. Krystyna Modrzewska.

Mandelbaum, Regina (Rebeka) (? – 1942, Warszawa). Właścicielka sklepu pasmanteryjno-zabawkarskiego w Lublinie. Babka ojczysta Krystyny Modrzewskiej. Zmarła w getcie warszawskim.

Martyńska Julia (1891, Mełgiew? – 1976?, ?). Akuszerka z Mełgwi. W 1923 ukończyła Warszawską Miejską Szkołę Położnych. Po II Wojnie Światowej opuściła Mełgiew.

Martyńska, (?) („Lilka”) (? – ?). Córka akuszerki z Mełgwi.

Martyńska, (?) (? – ?). Córka akuszerki z Mełgwi.

Matyjaśkiewicz, Bolesław (1907, Białaczów – 1985, Mełgiew). Kammerdyner w pałacu mełgiewskim.

Meger, ks. Jan Joachim (1915, Berlin – 1991, Złotów). W latach 1946-1948 był proboszczem w Wierzchowie, a w latach 1948-1968 – w Kargowej, a w latach 1968-1980 – w Paruszcze.

Merwart, Paweł (1855, Marwanówka – 1902, Paryż). Malarz francuski pochodzenia polskiego.

Michalska, Aleksandra z d. Morchonowicz (1864, ? – 1945, Głowno). Żona Józefa Bolesława Michalskiego.

Michalski, Józef Bolesław (1854, ? – 1911, Trawniki). Właściciel Trawnik, a w nich – dużej stadniny koni.

Michalski, Wojciech (1891, Trawniki – 1976, Kraków). Syn Józefa Bolesława Michalskiego.

Mickiewicz, Adam (1798, Zaosie – 1855, Konstantynopol). Poeta.

Mielnik, (?) (? – ?). Nauczyciel lubelski.

Mikołajczyk, Stanisław (1901, Dorsten – 1966, Waszyngton). Polityk.

„Milcia” – zob. Michalina Monikowa.

„Mira” – zob. Maria Rulikowska.

Miształ, Anna (1938, Krzesimów? – 1944, Krzesimów). Zamordowana w niejasnych okolicznościach.

Miształ, Ignacy (1898, Krzesimów? – 1944, ?). Zamordowany w niejasnych okolicznościach.

Miształ, Stanisława z d. Ciesielko (1908, Krzesimów? – 1944, Krzesimów). Zamordowana w niejasnych okolicznościach.

Miształ, Anna (1928, ? – 1944, Krzesimów). Zamordowana w niejasnych okolicznościach.

Modrzewska, Krystyna (1919, Warszawa – 2008, Uppsala). Antropolog. Do 1939 nosiła nazwisko „Mandelbaum”, a po 1970 – „Frenkiel”. W latach 1941-1943 pracowała jako tłumaczka w Urzędzie Gminnym w Mełgwi, wprowadzona tam przez Marię Siudównę. Była członkinią AK. Po ukończeniu studiów w UMCS w 1947 była wykładowcą w Uniwersytecie Poznańskim (1949), w Akademii Medycznej w Białymstoku (1950-1955) i w UMCS (1955-1970). Odbiła też studia lekarskie w Akademii Medycznej w Białymstoku (1950-1955). W 1970 wyemigrowała do Szwecji. Opublikowa-

ła kilka tomów opowiadań (pod pseudonimem „Adam Struś”) i wspomnień (pod nazwiskiem „Krystyna Modrzewska”).

Modzelewski, ks. płk. Roch (1883, Modzele Stare – 1961, Tykocin). Brat cioteczny Anny Jadackiej. Uczestniczył jako kapelan w I Wojnie Światowej (odznaczony Krzyżem Walecznych). Więziony przez NKWD w Białymstoku (1941). Proboszcz w Sylwanowcach (1920-1929), Łysych (1929-1933), Piekutach Nowych (1933-1945), Rosochatem (1945-1951) i Kałowie (1951-1957).

Monik, Władysław (1902, Mełgiew – 1988, Mełgiew). Kancelista (od 1921).

Monikowa, Michalina („Milcia”) z d. Modzelewska (1913, ? – 1997, Mełgiew). Siostra przyrodnia Danieli Wójcik (Danieli Opalińskiej?). Żona Władysława Monika. Guwernantka Joanny Ollier.

Montgomery, Lucy Maud (1874, New London – 1942, Toronto). Pisarka kanadyjska.

Morsztynkiewicz-Czermińska, Maryta (? – 1990, ?). Pisarka polska.

Müller, Johannes Herman (Hans) (1895, Gotha – 1961, Erfurt?). SS-Sturmabführer; komendant gestapo w Lublinie (1940-1943).

Myszkini, Iwan (? , Tambow – ?). Spadochroniarz rosyjski.

Myśliwiec, Jan (1901, Mełgiew – 1957, Mełgiew). Od 1919 – stróż w majątku mełgiewskim.

## N

Napoleon – zob. Napoleon Bonaparte.

Niećko, ks. Edward (1901, ? – 1983, Lublin?). Wikariusz (1925-1932) parafii św. Michała na Bronowicach w Lublinie, proboszcz w Wojsławicach (1940-1941). Dziekan lubelski (od 1948).

Nietkin, (?) (? - ?). Kapitan Armii Czerwonej, stacjonujący w Mełgwi.

Nietzsche, Friedrich Wilhelm (1844, Röcken – 1900, Weimar). Filozof niemiecki.

Noskowski, Zygmunt (1846, Warszawa – 1909, Warszawa). Kompozytor i dyrygent polski.

Nowowiejski, Feliks (1877, Barczewo – 1946, Poznań). Kompozytor, organista i dyrygent polski.

## O

- Obniski, Marian (1906, ? – ?). W czasie II Wojny Światowej – administrator majątków na Lubelszczyźnie. Członek AK. W 1945 wyjechał na Pomorze, gdzie wstąpił do WiN. W 1946 skazany na 10 lat więzienia przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Bydgoszczy. Od 1950 – tajny współpracownik UB.
- Odrawąż, św. Jacek (1183, Kamień Śląski – 1257, Kraków). Dominikanin, święty katolicki; patron Polski.
- Olechowski, Jan (? – ?). Mełgiewianin.
- Ollier, Clifford (1931, Manchester). Geograf i geolog australijski.
- Ollier, Joanna (Janetta/Żaneta) z d. Rulikowska (ur. 1931, Warszawa). Córką Zygmunta Rulikowskiego. Mieszkała kolejno w Mełgwi (do 1939), w Lublinie (1939-1940), w Warszawie (1940-1944), w Głownie (1944-1945) i w Łodzi (1945-1958), gdzie ukończyła geografię w miejscowym uniwersytecie. W 1958 wyemigrowała do Australii i tam wyszła za mąż za Clifforda Olliera. Mieszka obecnie wraz z mężem w Perth.
- Opalińska, Daniela (1932, ? – 2018, Mełgiew). Siostra przyrodnia Michaliny Monik? Być może siostrą przyrodnią była Daniela Wójcik?
- Opalińska, Katarzyna („Kasia”) z d. Gągoł (?) (1888?, ? – 1941?, ?). Kucharka w pałacu mełgiewskim.
- Opaliński, Antoni (1913, ? – 1999, Mełgiew?). Mełgiewianin.
- Opaliński, Józef (1909, ? – 1994, Mełgiew?). Mełgiewianin.
- Opaliński, Kazimierz (1911, Janowice – 1941, Oświęcim). Zamordowany w KL Auschwitz; numer obozowy 16234.
- Opaliński, Wacław (1917, Janowice – 1941, Oświęcim). Zamordowany w KL Auschwitz; numer obozowy 16420.
- d’Ornano, Elżbieta z d. Michalska (1901, ? – 1954, ?). Córką Józefa Michalskiego, żona Wilhelma d’Ornano, ciotka Joanny Ollier.
- d’Ornano, Hubert (1926, Mełgiew – 2015, ?). Syn Wilhelma d’Ornano.
- d’Ornano, hr. Wilhelm (1898, Tours – 1985, Paryż). Francuski dyplomata i przemysłowiec.
- Orzechowski, Marian (Jan?) (1875? – 1942?). Komisaryczny wójt mełgiewski w okresie okupacji. Volksdeutsch z Łodzi. Być może chodzi o Jana (1889, Bogucin – 1942, Oświęcim), cieślę zamordowanego w

KL Auschwitz (numer obozowy 46839), lub o Henryka Orzechowskiego (1914, Łódź – 1942, KL Majdanek (numer obozowy 15825).

## P

- Papiewska, Maria (1859, Klimkiewiczów – 1942, Lublin). Pedagog, działaczka oświatowa, właścicielka szkoły powszechnej (1918-1939) i Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli (1929-1939) w Lublinie, przy ul. Niecałej 8. Po wybuchu II Wojny Światowej organizowała paczki żywnościowe wysyłane do więzień i obozów niemieckich. Zmarła śmiercią naturalną.
- Paprocki, Bogdan (1919, Toruń – 2010, Warszawa). Śpiewak operowy (tenor). W czasie II Wojny Światowej przebywał m.in. w Rejowcu, gdzie jego ojciec, Stanisław, był kierownikiem miejscowej szkoły, a następnie w Minkowicach (1942-1943), gdzie pracował w tartaku, i skąd przeniósł się do Lublina.
- Paprocki, Stanisław (? – ?). Nauczyciel. Pracował m.in. w szkołach w Chojnicach, Chełmie i Rejowcu.
- Pawłowska, Emilia z d. Matyjaśkiewicz (? – ?). Córką Bolesława Matyjaśkiewicza.
- Peryt, ks. Marian (1907, Łuków – 1996, Chełm). Więzień Zamku Lubelskiego (1939-1940), KL Sachsenhausen i KL Dachau (nr obozowy 22683). Po uwolnieniu z obozu został proboszczem parafii mełgiewskiej (1945-1955); w latach 1955-1966 był proboszczem w Chełmie.
- Pidek, Adam (ur. 1961, Bychawa). Członek Strzyżewickiego Towarzystwa Regionalnego; współredaktor wydawnictw dotyczących Strzyżewic i okolic.
- Pidek, Feliks (1903, Kielczewice – 1941, Oświęcim). Brat Michała Pidka. Ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Lublinie (1926). Nauczyciel kolejno w Osowej, Ratoszynie, Zawadowie i (od 1938) w Gielczwi. Członek Baonów Zemsty (Batalionów Chłopskich). Zamordowany w KL Auschwitz (nr obozowy 14848).
- Pidek, Helena z d. Wawrzycka (1902, Lublin – 1946, Mełgiew). Nauczycielka w szkole mełgiewskiej.



Pidek, Michał (1898, Kielczewice – 1971, Lublin). Brat Feliksa Pidka. Nauczyciel. Kierownik szkoły w Bychawie (1923-1930) i Mełgwi (1930-1947). (Według innych źródeł przeniósł się z Bychawy do Mełgwi w 1932.) W latach 1946-1947 korzystał z urlopu zdrowotnego; w 1948 przeszedł na emeryturę.

Pietrzyk, Bogdan (? – ?). Mełgiewianin.

Pietrzyk, Halina (ur. 1936, Mełgiew). Mełgiewianka.

Piliński, Stanisław (? – ?). Uczeń Antoniego Jadackiego (jra).

Piłsudski, Józef (1867, Zułowo – 1935, Warszawa). Polityk, Naczelnik Państwa i Marszałek Polski.

Piotr Wielki (1672, Moskwa – 1725, Petersburg). Car Rosji.

Pisarska, Anna (Marta) z d. Gugala (1929, Mełgiew). Córka Józefa Gugaly.

Plage, Emil (1869, Lublin – 1909, Lublin). Mechanik; współzałożyciel Zakładów Mechanicznych E. Plage i T. Laśkiewicz.

Puchalanka, Antonina (? – 1833, Mełgiew). Ziemianka mełgiewska.

Puchała, Kazimierz (ok. 1789, Mełgiew? – 1852, Warszawa). Właściciel Mełgwi. Członek-założyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie. Pochowany w Katakumbach Cmentarza Powązkowskiego w Warszawie.

Puchnowski, Włodzimierz Lech (1932, Warszawa – 2014, Warszawa). Akordeonista i pedagog. Wieloletni profesor gry akordeonowej w Akademii Muzycznej w Warszawie.

Pyle, Howard (1853, Wilmington – 1911, Firenze). Pisarz amerykański.

Pyszny, Franciszek (ok. 1914, Myszyniec – ok. 1990, Ostrołęka). Bratanek Walerii Jadackiej.

## R

Radziwiński, Michał (1896, ? – ?). Mjr 2 Pułku Strzelców Konnych Ziemi Hrubieszowskiej.

Rączka, Stanisław Ignacy (1893, Nowy Sącz – 1971, Zawiercie). Kompozytor polski.

Reklewski, Wincenty Sebastian (1877, Mirogonowice – 1939, Waśniów). Ostatni właściciel Mirogonowic.

Reni, Guido (1575, Bolonia – 1642, Bolonia). Malarz włoski.

„Reniusz” – zob. Henryk Scipio del Campo.

Reynolds, Joshua (1723, Plymouth – 1792, Richmond). Malarz angielski.

Rokossowski, Konstanty (1896, Warszawa – 1968, Moskwa). Marszałek Armii Czerwonej.

Rostworowska, hr. Maria z d. Broel-Plater (1900, Białaczew – 1972, Kraków). Żona Stanisława Rostworowskiego.

Rostworowski, Stanisław Kostka (1901, Milejów – 1977, Lanckorona k. Krakowa). Właściciel Milejowa, a później także Wilgi k. Warszawy, którą przekształcił w ośrodek wypoczynkowy.

Róża. Betanka mełgiewska.

Rubaszkiwicz, Marian? (Sławomir?) (1892?, Lublin? – ?). Członek Zarządu Gminy w Mełgwi. Były właściciel majątku na Wołyniu?

Rulikowska, hr. Elżbieta z d. Mycielska (1888, ? – 1962, Witów k. Burzenina). Żona Edwarda Władysława Rulikowskiego.

Rulikowska, Helena z d. Rozwadowska (1917, Lwów – ?). Żona Ludwika Rulikowskiego (ślub ok. 1940).

Rulikowska, Jadwiga (1875, Kotlice – 1934, Dub). Córka Edwarda Eugeniusza Rulikowskiego. Wstąpiła do zakonu misjonek (imię zakonne: Julia). W 1910 podarowała swemu zgromadzeniu majątek Prawda w Kotlicach.

Rulikowska, Maria („Mira”) z d. Michalska (1888, Grzymalina Wola – 1951, Łódź). Pochowana w Głownie. Córka Józefa Michalskiego, żona Zygmunta Rulikowskiego (1908).

Rulikowska, Stefania z d. Szlubowska (1842, Mełgiew – 1928, Mełgiew). Pochowana w Dubie. Siostra Antoniego Szlubowskiego, żona Edwarda Eugeniusza Rulikowskiego. Współwłaścicielka majątku mełgiewskiego.

Rulikowski, Antoni (1909, Mełgiew – 2001, Melbourne). Syn Zygmunta Rulikowskiego, starszy brat Joanny Ollier.

Rulikowski, Edward (1909, Branica Radzyńska? – 1940, Warszawa). Syn Edwarda Władysława Rulikowskiego. Prawnik? – zamordowany przez Niemców?

Rulikowski, Edward Eugeniusz (1837 Mircze – 1910, Kotlice k. Zamościa). Syn Władysława Wacława Rulikowskiego. Właściciel Kotlic. Członek Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Rulikowski, Edward Władysław (1867, Kotlice – 1936, Branica Radzyńska). Syn Edwarda Eugeniusza. Właściciel Branicy Radzyńskiej.

Rulikowski, Józef Kajetan (1875, Mircze – 1955, Nałęczów). Inżynier-chemik. Syn Wincentego Rulikowskiego. Udziałowiec cukrowni w Strzyżowie.

Rulikowski, Ludwik (1913, Branica Radzyńska – 1942, Oświęcim). Syn Edwarda Władysława Rulikowskiego. W 1941 wywieziony do KL Auschwitz (nr obozowy 13559), gdzie został zamordowany.

Rulikowski, Wincenty Wawrzyniec (1839, ? – 1922, ?) Syn Władysława Waclawa Rulikowskiego. Właściciel majątku Mircze; współzałożyciel cukrowni w Strzyżowie (1899).

Rulikowski, Władysław Waclaw (1793, ? – 1869, ?). Właściciel majątku Mircze; założyciel cukrowni tamże.

Rulikowski, Zygmunt („Zygmuś”) (1874, Kotlice – Łódź, 1960). Syn Edwarda Eugeniusza Rulikowskiego. Pochowany w Dubie. Właściciel majątku mełgiewskiego. Rulikowscy byli kolatorami kościoła mełgiewskiego, do którego wybudowania się walczyli; zarezerwowana dla nich była jedna z ławek przy ołtarzu.

Rużanka, Janina (? – 1942, Ravensbrück). Mieszkanka Ostrowi Mazowieckiej. Studentka Pedagogium Lubelskiego; koleżanka Mieczysława Jadackiego. W czasie II Wojny Światowej aresztowana w Warszawie i zamordowana przez Niemców w KL Ravensbrück.

Rzewuski, Benedykt Reyd (1788, Kawęczyn? – 1827, Bystrzejowice). Właściciel m.in. Wierzchowisk. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Mełgwi.

## S

Salmon, (?) (? – ?). Dekarz lubelski.

Salmon, Rebeka (? – ?). Córnka ? Salmona.

Sasinowska, (?) (1910? – 1993?). Mieszkanka Łopieni k. Piekut Nowych.

Sauter, Tomasz (1893, ? – ?). Dyrektor Niższej Szkoły Handlowej (1913-1933) i Gimnazjum Męskiego Szkoły Handlowej (1935-1939). Nauczyciel języka polskiego i niemieckiego.

Schoeneich, Aleksander (1861, Warszawa – 1939, Lublin). Superintendent Diecezji Warszawskiej (1902-1937) i Wołyńskiej (1937-

1939) Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce. Proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej w Lublinie (od 1888). Nauczyciel języka niemieckiego i propedeutyki filozofii w Lubelskiej Szkole Handlowej.

Scipio del Campo, hr. Edmund (1858, Sobibór – 1923, Lublin). Właściciel Brzezic. Entuzjasta lotnictwa.

Scipio del Campo, hr. Henryk („Reniusz”) (1922, Brzezice? – 2007, ?). Syn Włodzimierza Scipia del Campo.

Scipio del Campo, Maria Placyda Jadwiga z d. Morchonowicz (1844? (1884?) – ?). Żona Edmunda Scipia del Campo. Siostra Aleksandry Michalskiej.

Scipio del Campo, hr. Włodzimierz (1885, ? – 1959?(1972?), ?). Syn Edmunda Scipia del Campo, wuj Joanny Ollier. Właściciel Brzezic. Jeden z prezesów Aeroklubu Lubelskiego.

Sereda, ks. Edward (1931, Kumów – 2017, Chełm). Wikariusz w Mełgwi (1958-1961), Kraśniku (1961-1967), Puławach (1967-1970) i Sawinie (1970-1977); proboszcz w Sawinie (1977-2001), tamże pochowany.

Serwinowski, Mieczysław (1898, Warszawa – 1940, Miednoje). Legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Od 1922 – policjant. Pracował na posterunkach w Piaskach Luterskich (1922-1926), Bełżycach (1926-1930), Jabłonnej (1930-1934) i Mełgwi (od 1934), gdzie był komendantem posterunku. Zamordowany w Miednoje.

Shakespeare (Szekspir), William (1564, Stratford-upon-Avon – 1616, Stratford-upon-Avon). Dramatopisarz angielski.

Sikorski, Władysław (1881, Tuszów Narodowy – 1943, Gibraltar). Wojskowy i polityk. Naczelnny Wódz Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Siuda, Antoni (1908, Mełgiew – 1987, Mełgiew). Mełgiewianin.

Siud(ówn)a, Zofia – zob. Zofia Tyndel.

Składkowski, Sławoj Felicjan (1885, Gąbin – 1962, Londyn). Lekarz, gen. dywizji. Premier RP w latach 1936-1939.

Skoczowska, Wanda (? – ?). Mełgiewianka.

Słowacki, Juliusz (1809, Krzemieniec – 1849, Paryż). Poeta polski.

Smorgoński, (?) (? - ?). Major Armii Czerwonej, stacjonujący w Mełgwi.

Sobańska, Stefania z d. Lisowska (1904, ? – 1942, Kielce). Córką Julią na Lisowskiego, siostrą Marianą. Właścicielka wypożyczalni *Alfa* w Kielcach.

Sopoćko, Tadeusz (1896, Sosnówka – 1937, Bruksela). Pisarz polski.

Spodar, Dagmara (ur. 1996, Mełgiew). Historyk; pracownica ośrodka *Brama Grodzka* w Lublinie.

Stalin, Józef – zob. Józef Dżugaszwili.

Staniszewski, ks. Waław (1907, Nowe Brzesko – 1978, Kazimierz Dolny). Doktoryzował się w 1936. W latach 1940-1945 więziony w KL Oranienburg i KL Dachau. Proboszcz w Mełgwi (1945-1949), Chełmie (1949-1955) i Starym Zamościu (1955-1965). Z jego inicjatywy odlano dzwon „Maria” – jako wotum wdzięczności Mełgiewian.

Stanowczy?, L? (? – ?). Urzędnik.

Stoiński, Jacek (1664, ? – 1744, Mełgiew). Prawdopodobnie studiował w Akademii Krakowskiej. Łowczy lubelski (1714-1715), sędzia grodzki i ziemski lubelski (1715-1744), marszałek Trybunału Głównego Koronnego (1725). Fundator starego kościoła w Mełgwi (1726-1730; konsekracja w 1739). Właściciel Mełgwi (od ok. 1720), gdzie na fundamentach dawnego zamku wybudował zachowany do dziś barokowy pałac.

Stoß, Veit (Wit Stwosz) (ok. 1448, Horb am Neckar – 1533, Norymberga). Rzeźbiarz niemiecki.

Striagin, ? (? - ?). Porucznik Armii Czerwonej, stacjonujący w Mełgwi.

Struś, Adam – zob. Krystyna Modrzewska.

Surzyński, Mieczysław (1866, Środa Wielkopolska – 1924, Warszawa). Polski kompozytor, organista i dyrygent.

Szalay-Groele, Waleria (1872, Czernichowce – 1957, Dębica). Polska pisarka, autorka powieści historycznych.

Szawłowski, Andrzej? (? – ?). Agronom. Mełgiewianin.

Szczepanik, Andrzej (1879, Kębłów – 1954, Lublin). Ogrodnik z Janowic. W 1916 stał się właścicielem liczącego ok. 10 ha majątku Janowice (dworek, zburzony podczas I Wojny Światowej, odbudował w latach 1918-1920), gdzie prowadził wzorową szkołę drzew owocowych, za co w 1937 roku otrzymał Brązowy Krzyż

Zasługi. Po II Wojnie Światowej majątek został rozsprzedany, a nowi właściciele nie kontynuowali tradycji szkółkarskich.

Szczepanik, Zofia z d. Frejt vel Freyd (1895, Lublin – 1983, Janowice). Żona Andrzeja Szczepanika (ślub w 1917). Pochowana w Mełgwi.

Szłubowska, Joanna z d. Puchała (ok. 1823, Mełgiew – po 1875, ?). Żona Józefa Szłubowskiego.

Szłubowski, Antoni (1849, Warszawa – 1906, Lublin). Syn Józefa Szłubowskiego. Współwłaściciel Mełgwi.

Szłubowski, Józef (ok. 1812, Hołowno – 1866, Warszawa). Właściciel Branicy Radzyńskiej.

Szmul. Handlarz żydowski.

Szuch, Jan Chrystian (Johann Christian Schuch) (1752, Drezno – 1813, Warszawa). Architekt niemiecki.

## Ś

Ślewiński, Władysław (1856, Białynin – 1918, Paryż). Malarz polski.

Śliwiński, Stanisław (1913, ? – 1954, Mełgiew). Mełgiewianin.

Śmiech, Antoni (1894? – ?). Kościelny? w Mełgwi.

Świeczko, Ludomir (1930, Kielce – 1988, Warszawa). Instruktor lotniczy; na I Spadochronowych Mistrzostwach Polski w Nowym Targu (1954) zajął II miejsce, reprezentując Aeroklub Kielecki. Pochowany na Starych Powązkach w Warszawie.

Świeczko, Mirosława z d. Lisowska (1931, Lublin). Jedną z córek-bliźniaczek Mariana Lisowskiego („starsza” od swej siostry o godzinę). Żona Ludomira Świeczki. Pracowała do emerytury jako urzędniczka.

Świrkowa, Franciszka (? – ?). Mełgiewianka.

## T

Tanzhaus, Hermann (1906, Christofhammer – 1944, Lublin). SS-Oberscharführer. Członek załogi więzienia niemieckiego na Zamku Lubelskim, nazywany przez więźniów „Krową”. Znany z donosicielstwa i ze szczególnego okrucieństwa. Zabity lancetem przez jednego z więźniów.

Taraszkiewicz, Leon („Jastrząb”) (1925, Duisburg – 1947, Siemień). Dowódca oddziału WiN działający na Polesiu Lubelskim.



Tatara, Maria (1911, ? – 1985, Mełgiew?). Mełgiewianka.  
Teresa. Betanka mełgiewska.  
Torój, Władysław? (1899, Mełgiew? – 1948, Mełgiew). Mełgiewianin.  
Traue, Wilhelm? (1906? – 1985?, Brema). Kreislandwirt w lubelskim.  
Tyndel, Zofia z d. Siuda (1921, Mełgiew – 2011, Lublin). Siostra Marii Witkowskiej.

## U

Urbański, Antoni (1873, Ryżawka – 1950, Kosarzew Dolny). Historyk sztuki.  
Uziembło, Stefan (1870, ? – ?). Działacz Rady Szkolnej w Lublinie, prezes Towarzystwa Przyjaciół Uczącej się Młodzieży i prezes Lubelskiego Oddziału PTK (1912). Członek loży masońskiej Wolni Oracze, działającej w Lublinie w latach 1912-1916. Nauczyciel fizyki i chemii w Szkole Handlowej Męskiej w Lublinie.

## W

Wagner, Richard (1813, Lipsk – 1883, Wenecja). Kompozytor niemiecki.  
Wajcman, Fajga z d. Ajchenbaum (1906/1907, Radom – ?, ?). Córka Szmula Ajchenbauma.  
Wasilewska, Wanda (1905, Kraków – 1964, Kijów). Działaczka komunistyczna.  
Wendler, Richard (1898, Oberndorf – 1972, Prien am Chiemsee). Członek NSDAP, SS-Gruppenführer. W latach 1943-1944 był gubernatorem dystryktu lubelskiego Generalnego Gubernatorstwa.  
Wichliński, Lucjan (1871, Unia – 1928, Tuczo). Ziemianin, założyciel spółki handlowej w Warszawie.  
Widmann, Hans (1908, Mainz – 1941, Front Wschodni). Kpt. (Hauptmann) Luftwaffe. Zestrzelony nad Rosją.  
Wiechowski, Tomasz (1891, Mława – 1965, Warszawa). Dyrygent i kompozytor. Uczeń Mieczysława Surzyńskiego (organy). W okresie międzywojennym był profesorem Wyższej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina. W latach pięćdziesiątych uczył w ogniskach muzycznych Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego; współpra-

cował też z chórem Jutrznia przy parafii św. Jana Kantego w Warszawie. Wśród jego kompozycji są m.in. msze, pieśni chóralskie i kołedy.

Wieliszewski, Jan (1861?(1863?), Kamieńczyk k. Wyszkowa? – ?). Długoletni organista w Zatorach.  
Wikcia. Służąca w pałacu mełgiewskim.  
Wilczek, Stanisław? (1919, ? – 1985, ?). Czech. Inspektor rolniczy. Być może: Józef Wilczek, ps. „Siwy” i „Kmieć”. Członek Batalionów Chłopskich na Lubelszczyźnie (grupa „Roch”)? „Witkacy” – zob. Stanisław Ignacy Witkiewicz.  
Witkiewicz, Stanisław Ignacy („Witkacy”) (1885, Warszawa – 1939, Jeziory). Malarz, pisarz i filozof polski.  
Wiśliński, ks. Czesław (1911, Bełżyce – 1988, Lublin). Wyświęcony na księdza w 1940. Był wikariuszem w Piaskach (1940-1943) i Mełgwi (1943-1944) oraz parafii św. Mikołaja w Lublinie (1945-1946), a także prefektem w szkołach w Lublinie (1945-1946) i Zamościu. Następnie pełnił funkcję rektora kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Lublinie (1956-1974). Piastował stanowisko prefekta szkół w Lublinie (1945-1946, od 1949) i Zamościu (1946-1948) oraz kapelana Szpitala Klinicznego w Lublinie (1957-1978). W 1978 przeszedł na emeryturę. W 1985 został kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej Lubelskiej.  
Wiśniewska, Irena z d. Makowska (1933, Mełgiew). Mełgiewianka. Córka Władysława Makowskiego.  
Wiśniewski, Mieczysław (1926, Mełgiew). Mełgiewianin.  
Witkowska, Antonina (1881, ? – 1952, Mełgiew?). Mełgiewianka.  
Witkowska, Maria (vel Marianna) z d. Siuda (1916, Mełgiew – 2007, Białystok [pochowana w Mełgwi]). W 1950 ukończyła Wydział Rolniczy UMCS w Lublinie; w 1969 uzyskała doktorat na Wydziale Rolniczym Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie. W latach 1950-1951 pracowała jako asystentka w UMCS, a w latach 1951-1952 i 1957-1976 była wykładowcą Akademii Medycznej w Białymstoku. Pochowana w Mełgwi.  
Witkowski Józef (1921, Mełgiew – 1996, Mełgiew). Syn Władysława.  
Witkowski, Adam (1903, ? – 1938, Mełgiew?). Mełgiewianin.

Witkowski, Bolesław (1913, Mełgiew – 1939, ?). Mełgiewianin, poległ w Kampanii Wrześniowej.

Witkowski, Józef (1922, ? – 1996, Mełgiew?). Mełgiewianin.

Witkowski, Stefan (1916, Mełgiew – 1976, Mełgiew). Syn Władysława.

Witkowski, Władysław (senior) (1878, Mełgiew – 1949, Mełgiew). Mełgiewianin.

Witkowski, Władysław (jr) (1918, Mełgiew – 1939, ?). Brat Bolesława. Mełgiewianin; poległ w Kampanii Wrześniowej.

Wodziński, Stanisław? (1883, ? – ?). Odznaczony srebrnym krzyżem orderu *Virtuti Militari* V klasy za wojnę 1918-1920. Ppłk.

Wojtkowska, Irena z d. Tajchert (1919, ? – 1986, Włochy). W czasie okupacji niemieckiej – nauczycielka i tłumaczka w Mełgwi. Żołnierz NSZ (pseudonim „Basia”). Po wojnie ukończyła studia wyższe w Warszawie i zamieszkała w podwarszawskich Włochach.

Wolanowska, Jadwiga (1874, ? – 1952, Kielce). B. właścicielka Szkoły Handlowej Żeńskiej w Kielcach (1907-1908); nauczycielka języka francuskiego w Szkole Handlowej Męskiej w Lublinie (1912-1921).

Wójcik, Daniela z d. Modzelewska (1928/1929, ? – 2007, Ciechanów?). Siostra przyrodnia Michaliny Monikowej.

Wójcik, Jan (? – ?). Mełgiewianin.

Wójcik, Magdalena z d. Jasińska (ur. 1983?, Mełgiew). Absolwentka Akademii Rolniczej w Lublinie. Wójt gminy Mełgiew (od 2018).

Wójcik, Maria (? – ?). Mełgiewianka.

Wójcik, Paulina („Peruka”) (1876, Mełgiew? – 1957, Mełgiew). Gospośka ks. Józefa Żyszkiewicza.

Wrona-Merski, Stanisław (1883, Żółkiewka – 1963, Warszawa). Lekarz. Polityk.

Wrzesiński, Roman (? – ?). Mełgiewianin. Sekretarz gminny w Mełgwi; później wyjechał do Lublina.

Wymoczył, Wawrzyniec (1889, ? – 1939, Mełgiew). Kościelny. Zamordowany przez Niemców na cmentarzu w Mełgwi.

## Z

Zajac, Józef (1913, Tuszów – 1941, Oświęcim). Wywieziony do KL Auschwitz (numer obozowy 19316) i tam zamordowany przez Niemców.

Zalewski, ks. Wacław (1903, Kostrogaj – 1941, Lublin). Pochodził z rodziny ziemiańskiej. Wyświęcony na księdza w 1919. Wikariusz mełgiewski (zwolniony z tej funkcji na własną prośbę w 1930), prefekt szkolny w Mełgwi. Chrzcił Bożenę Jadacką-Józków. Aresztowany w 1941 i osadzony na Zamku Lubelskim, gdzie został dotkliwie pobity – za to, że plunął jednemu z oprawców w twarz – w wyniku czego zmarł.<sup>153</sup> Pochowany w Lublinie. Mówił piękne kazania, do których się starannie przygotowywał (robił zwykle próby). Mimo to nie chciał być proboszczem, mówiąc: „Ja się na proboszcza nie nadaję”. Wspierał finansowo Stanisława Pilińskiego – ucznia Taty.

Zamoyska, Izabela Alfonsa z d. Burbon-Sycylijska (1904, Madryt – 1985, Madryt). Żona Jana Kantego Zamoyskiego.

Zamoyska, Maria Krystyna (1932, Budapeszt – 1959, Madryt). Córką Jana Kantego Zamoyskiego.

Zamoyska, Maria Teresa (1938, Bratysława). Córką Jana Kantego Zamoyskiego.

Zamoyski, Jan Kanty (1900, Stara Lubowla – 1961, Monte Carlo). Właściciel Podzamcza k. Garwolina.

Zamoyski, Józef Michał (1935, Neuilly-sur-Seine – 2010, Almonte). Syn Jana Kantego Zamoyskiego.

Zamoyski, Karol Alfons (1930, Bratysława – 1985, Madryt). Syn Jana Kantego Zamoyskiego.

Zawadzki, Żelisław (1895, ? – 1963, Wrocław). Ppłk. 2 Pułku Strzelców Konnych Ziemi Hrubieszowskiej. Skazany przez sąd wojskowy PRL w tzw. Sprawie Zamojskiej) w 1951; zwolniony w 1956.

Zechenter, Witold (1904, Kraków – 1978, Kraków). Pisarz polski.

Ziegenmeyer, Emil (1906, Duisburg – 1991, Duisburg). Członek NSDAP, W latach 1939-1944 naczelnik (Kreishauptmann) powiatu lubelskiego Generalnego Gubernatorstwa.

<sup>153</sup> Według innych źródeł został tam rozstrzelany.

Zieliński, Jan (1872, Mełgiew – 1938, Mełgiew). Polityk. Senator RP III kadencji z województwa lubelskiego z listy BBWR (1932-1935).  
 Zieliński, Mieczysław (? – ?). Prowadził kancelarię notarialną w Lublinie (1922- 1933).  
 Zieleziński, Jan Ignacy (1838, ? – 1913, Mełgiew). Uczestnik Powstania Styczniowego.  
 Zimmermann, Herbert (1907, Eisleben – 1965, Bielefeld. Obersturmbannführer SS. Szef gestapo białostockiego.  
 Zörner, Ernst (1895, Nordhausen – 1945, prawdopodobnie w okolicach miasta Beroun). Szef administracji cywilnej w Dystrykcie Lubelskim GG.  
 „Zygmuś” – zob. Zygmunt Rulikowski.

## **Ż**

Żmurek, Stefan (1897, Puchaczów – 1941, Oświęcim). Długoletni sekretarz gminy Mełgiew. W 1941 wywieziony do KL Auschwitz (nr obozowy 14121), gdzie został zamordowany.  
 Żółtowska, br. Janina z d. Puttkamer (1889, Wilno – 1968, Londyn). Żona Adama Żółtowskiego. Pisarka polska.  
 Żółtowski, hr. Adam (1881, Lwów – 1958, Londyn). Filozof polski.  
 Żyszkiewicz, ks. Józef (1865, Urzędów – 1944, Warszawa). Wyświęcony na księdza w 1889. Proboszcz parafii frampolskiej w latach 1893-1898 i mełgiewskiej w latach 1901-1910 i 1913-1944. Kanonik Kapituły Kolegiaty Zamojskiej (od 1935). We Frampolu zasilął Bibliotekę Ludową zakupionymi przez siebie książkami i czasopismami patriotycznymi. W Mełgwi z jego inicjatywy wybudowano nowy kościół św. Wita (konsekrowany w 1910) oraz uporządkowano cmentarz grzebalny i sporządzono jego plan. Sprowadził do Mełgwi ss. betanki (w 1937 roku) i osadził je w budynku ofiarowanym parafii przez Antoniego Szlubowskiego; prowadziły one szwalnię (gdzie też uczyły Mełgiewianki krawiectwa; taki kurs przeszła również Eugenia Jadacka) i dzieciniec dla sierot. Założył ośrodek zdrowia (z małym szpitalikiem) – w którym do dyspozycji chorych był lekarz i pielęgniarka (siostra zakon-

na) – a także przytułek dla starców. Powołał do życia spółdzielnię spożywców, udzielając wielu biedniejszym mieszkańcom Mełgwi pożyczki na wkłady. Po wybuchu II Wojny Światowej – ukrywał się. Z powodu raka prostaty trafił do Szpitala Lubelskiego, gdzie został operowany; po jakimś czasie przewieziony został do Szpitala Bielańskiego w Warszawie, gdzie po pewnym czasie zmarł; są różne wersje przyczyny jego śmierci: komplikacje pooperacyjne, głód (rzecz miała miejsce w czasie Powstania Warszawskiego) i czerwotka. Zwłoki po wojnie przewieziono do Mełgwi.



Яцек Ядацький

## **МЕЛГЕВ**

**під час Другої світової війни**

згадують

Йоанна Руліковська-Ольєр, Целіна та Мечислав Фіялковські,  
Кристина Моджевська, Анна та Антоні Ядацькі,  
Божена Ядацька-Юзьків, Галина Петжик,  
Ірена та Мечислав Вісневські та Ганна Пісарська

## **MELGIEW**

**podczas II Wojny Światowej**

we wspomnieniach

Joanny Rulikowskiej-Olier, Celiny i Mieczysława Fijałkowskich,  
Krystyny Modrzewskiej, Anny i Antoniego Jadackich,  
Bożeny Jadackiej-Józków, Haliny Pietrzyk, Ireny i  
Mieczysława Wiśniewskich oraz Anny Pisarskiej

Комп'ютерна верстка: Наталія Кальченко

Обкладинка: Андрій Кальченко

Формат 60x84/16. Умовн. друк. арк. 21.

Підписано до друку 12.04.2020

Наклад 100 прим. Зам. №

Віддруковано ТОВ „Друкарня „Рута”

(свід. Серія ДК № 4060 від 29.04.2011 р.)

м. Кам'янець-Подільський, вул. Руслана Коношенка, 1

тел. (+038)494-22-50, drukruta@ukr.net